

POLSKI UNIWERSYTET LUDOWY

MŁODZIEŻ ♦ KULTURA
WIEŚ

KWARTALNIK TOWARZYSTWA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH



WARSZAWA 2024

Wydawcy:

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych

01-445 Warszawa, ul. Erazma Ciołka 15
e-mail: redakcja.kwartalnik2022@gmail.com



Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

02-730 Warszawa, Al. Wilanowska 204
e-mail: mhprl@mhprl.pl

Kwartalnik nr 4/119/2024 jest realizowany w ramach projektu: „TUL łączy pokolenia”. Zadanie jest finansowane ze środków otrzymanych z NIW-CRSO w ramach Programu Wspierania Rozwoju Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030.



Na okładce: „August Zamoyski” – wycinanka Elżbiety Gniazdowskiej na podstawie grafiki Filipa Sobierajskiego, w zasobach Muzeum Augusta Zamoyskiego w Jabłoni

Zespół Redakcji kwartalnika Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych

„Młodzież, Kultura, Wieś – Polski Uniwersytet Ludowy”:

Aldona Czerwińska (red. nacz.), prof. dr hab. Izabela Kępka,

dr hab, prof. ucz. Jacek Pniewski, dr Janusz Gmitruk,

Elżbieta Gniazdowska, Dorota Żebrowska

Skład komputerowy: Jacek Pniewski

Nakład: 300 egz.

Druk: SOWA sp. z o.o., ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno, <https://sowadruk.pl/>

Spis treści

Od redakcji	5
-------------------	---

I. TOWARZYSTWO UNIwersYTETÓw LUDOWYCH

Elżbieta Gniazdowska , Tu i teraz Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w kontekście nadchodzących przemian	7
Barbara Wikło , XXX-lecie upamiętnienia życia i twórczości Augusta Zamoyskiego w Jabloniu	14
Zbigniew Kuriata , Moje wrażenia z letniej sesji TUL w Janowie Lubelskim.....	23
Janina Tobera , 47. Letnia sesja Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w Janowie Lubelskim. Spotkanie z „Jarzębiną” w Kocudzy Trzeciej	37
Danuta Bąk , Rotmistrz Pilecki w Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. Jana Pawła II w Toruniu	41
Mieczysław Brzezicki , Dlaczego trzeba zobaczyć Drohiczyn?	46
Brunon Ceszke , Uniwersytet ludowy w Gminie Puck pokłosem działalności... Związku Młodzieży Wiejskiej	51

II. ZOSTAWILI PO SOBIE TRWAŁY ŚLAD

Nekrolog ś.p. Elżbiety Giętkowskiej	61
---	----

III. EDUKACJA

Katarzyna Kogut , Moje refleksje na temat systemów edukacji w Polsce, Wielkiej Brytanii i Włoszech	63
--	----

IV. EKOLOGIA

Jacek Pniewski , Czy wodór rozwiąże kryzys klimatyczny?	65
Kacper Kępka , „Wieczne chemikalia” – jak zabijają związki, ułatwiające życie	70

V. POZNAJEMY ŚWIAT

Aldona Czerwińska , Wizyta studyjna w duńskich uniwersytetach ludowych	73
---	----

VI. KSIĄŻKA DLA CIEBIE

Tadeusz Pilch , Recenzja pracy Gabrieli Grzegórskiej pt. „Najpiękniejsza przygoda mojego życia”	93
Sławomir Kępa , Recenzja książki Mateusza Wyżgi pt. „Chłopstwo. Historia bez krawata”	96

VII. VARIA

Andrzej C. Leszczyński , „Więc wyobraźmy sobie...”	98
Tadeusz Pilch , Wyboiste drogi polskiej tolerancji	105
Izabela Kępa , Kilka słów o Bożym Narodzeniu i tradycjach świątecznych	120
Aldona Czerwińska , Niekończąca się opowieść o drabinie do nieba, którą każdemu iść trzeba wg scenariusza widowiska pasyjnego Sławomira Konarzewskiego pt. „...i widzę niebo otwarte...”	126
Joanna Mudzikowa , Wspomnienia z okresu II wojny światowej (transkrypcja wywiadu radiowego)	128

VIII. KALENDARIUM TUL.....142

IX. INDEKS AUTORÓW.....144

Drodzy Czytelnicy!

Z radością oddajemy do rąk Czytelników najnowszy, 119 numer naszego *Kwartalnika*. Jego zawartość w znacznym stopniu wiąże się z licznymi wydarzeniami, w których braliśmy udział w ostatnim czasie, a które bez wątpienia dawały asumpt do jeszcze silniejszego zacieśniania więzi i uczenia się od siebie nawzajem. Na myśl przychodzi więc piosenka, która w ostatnich miesiącach często wybrzmiewała podczas naszych wspólnych wycieczek, rozmów, spotkań: *Ale fajnie z Wami jest!*

Pierwsza część *Kwartalnika*, jak zwykle omawia wszystkie bieżące wydarzenia związane z naszą działalnością. Tym razem wiele miejsca poświęcamy wspomniani letniej sesji TUL w Janowie Lubelskim. Artykuł Zbigniewa Kuriaty bardzo szczegółowo opowiada o każdym dniu tego niezwykłego spotkania (za które dziękujemy jego Organizatorom – Jadzi i Tomkowi Pietrasom), a także o doświadczeniach Autora z podróży na sesję z dalekiego Wrocławia. Kolejny tekst, autorstwa Janiny Tobery, wspomina nasz pobyt w gościnnej Kocudzy, gdzie uczestnicy sesji spotkali się z przedstawicielkami słynnego zespołu „Jarzębina”, które prócz śpiewów i tańców, opowiedziały o pracy związanej ze zbieraniem piosenek ludowych oraz o miejscowych obyczajach – zarówno tych codziennych, jak i świątecznych. O innym interesującym wydarzeniu, zorganizowanym przez Oddział Regionalny TUL w Łomży – wycieczce do Drohiczyzna – napisał z kolei Mieczysław Brzezicki, zachęcając Czytelników ciekawymi opisami do odwiedzenia tego intrygującego miasteczka. Tekst ten to kolejny przykład świetnej atmosfery, która sprzyja integracji Tulowców podczas wspólnych imprez. Brunon Ceszke z kolei dzieli się swoimi wspomnieniami z początków uniwersytetu ludowego w gminie Puck, zaś Danuta Bąk przedstawiła swoje wrażenia z wyjazdu grupy z Oddziału Regionalnego TUL w Pile z siedzibą w Brzostowie na świetny spektakl „Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie”, w reżyserii naszego Kolegi, Sławomira Konarzewskiego. Czytelnik znajdzie tu również informacje, dotyczące życia bohatera spektaklu. W ostatniej chwili udało się zamieścić w naszej publikacji krótki artykuł Aldony Czerwińskiej, zawierający zapis przeżyć, towarzyszących udziałowi w innym widowisku naszego Kolegi Sławka, noszącemu tytuł „...i widzę niebo otwarte...” Bardzo ciekawy jest także tekst Barbary Wikło, wspominający postać Augusta Zamoyskiego, doskonałego polskiego rzeźbiarza i prezentujący niezwykle dzieło (którego inicjatorką i główną realizatorką była Autorka) – powstałe w Jabłoniu Muzeum Samorządowe Augusta Zamoyskiego. Wreszcie prezes ZK TUL Elżbieta Gniazdowska podsumowała cały rok aktywności TUL – nie tylko w Polsce, ale też na arenie międzynarodowej. Nakreśliła także najważniejsze cele i zadania, przed którymi staniemy w najbliższym czasie.

W *Kwartalniku* wspominamy tych, którzy odeszli. Tym razem zamieszczamy uzupełnienie pożegnania śp. Elżbiety Giętkowskiej autorstwa Gabrieli Grzegórskiej z poprzedniego numeru. Jest nim przesłany przez Gabrysię piękny nekrolog-wspomnienie, napisany przez dawnych współpracowników i byłych uczniów Zmarłej.

Do kącika edukacyjnego zaprasza Katarzyna Kogut, doświadczona nauczycielka, która miała okazję zmierzyć się z trzema systemami edukacyjnymi: polskim, brytyjskim i włoskim. W artykule dzieli się swoimi spostrzeżeniami na ten temat. O ekologii piszą natomiast Jacek Pniewski, odsłaniający fakty i mity dotyczące wpływu wodoru na klimat i Kacper Kęпка, opisujący działanie związków chemicznych, które co prawda „ułatwiają” życie, ale są też bardzo groźne dla zdrowia.

Aldona Czerwińska dzieli się natomiast z Czytelnikami obszerną i bardzo interesującą relacją ze swojej wizyty studyjnej w duńskich uniwersytetach ludowych. Tekst zachęca także do refleksji nad tym, czym są uniwersytety ludowe i co stanowi o ich tożsamości?

Do lektury zapraszają nas tym razem dwaj autorzy. Jerzy Pilch z fascynacją opisuje książkę naszej Koleżanki – Gabrysi Grzegórskiej „Najpiękniejsza przygoda mojego życia”, zaś Sławomir Kęпка przedstawia recenzję ważnej monografii Mateusza Wyżgi pt. „Chłopstwo. Historia bez krawata”.

W *Variach* znajdziemy tym razem cztery teksty. Niezwykle poetycki i filozoficzny jest artykuł Andrzeja C. Leszczyńskiego „Więc wyobraźmy sobie...”. Głównymi bohaterami artykułu są drzewa, ich piękno, różnorodność, siła, ich wartość dla ludzi. Jest też refleksja nad niszczeniem drzew, wycinką lasów i zagrożeniem, jakie te działania niosą. Fascynująca, bardzo głęboka jest refleksja Tadeusza Pilcha dotycząca tolerancji – „Wyboiste drogi polskiej tolerancji”. Ten niezwykle tekst powstał ćwierć wieku temu (!). Niestety, nic nie stracił na swej aktualności. Problemu nietolerancji i mowy nienawiści doświadczamy na co dzień, w każdym zakątku nie tylko kraju, ale całego świata.... Godna polecenia jest transkrypcja wywiadu z Joanną Mudzikową, wspominającą okres II wojny światowej. Ten poruszający tekst przygotował do druku Jacek Pniewski. Jak na numer wydany w okolicach Bożego Narodzenia przystało, pojawił się w nim także artykuł o historii Bożego Narodzenia i wybranych tradycjach świątecznych, autorstwa Izabeli Kęпка.

Kwartalnik jak zwykle kończy starannie sporządzone „Kalendarium TUL” oraz „Indeks autorów”.

Z okazji zbliżającego się Bożego Narodzenia, życzymy sobie nawzajem spokojnych i pięknych świąt, szczęścia w nowym roku oraz wielu radości i wzruszeń podczas wspólnych spotkań.

Redakcja

Elżbieta Gniazdowska

Tu i teraz Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w kontekście nadchodzących przemian

Rok 2024 był dla nas szczególny. Mam tu na myśli wielość i różnorodność naszych inicjatyw dla dobra wspólnego, zarówno tych dofinansowanych ze środków NIW – CRSO, jak i innych tradycyjnych działań, realizowanych przez poszczególne Oddziały Regionalne TUL w swych lokalnych środowiskach. W poniższym tekście odniosę się do kilku z nich, natomiast więcej miejsca poświęcę tym zadaniom, w których swój udział zaznaczył Zarząd Krajowy naszego stowarzyszenia, tradycyjnie odpowiedzialny za organizację corocznych spotkań ogólnopolskich. Ich celem jest nie tylko integracja środowiska TUL, ale też poznawanie historii miejsca, a co za tym idzie – historii Polski. To jednocześnie nabywanie i doskonalenie umiejętności organizacyjnych oraz logistycznych przez wszystkie osoby, bezpośrednio zaangażowane w przygotowanie danego wydarzenia.

W bieżącym roku odwiedziliśmy kolejno: Łomżę, Janów Lubelski i Jabłoń. Wielkanocne spotkanie w Łomży połączone było ze świętowaniem jubileuszy: 35 lat działalności Oddziału Regionalnego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w Łomży oraz 20. lat działalności „Wszechnicy tulowskiej” w ramach tegoż oddziału. Od samego początku na czele oddziału stoi koleżanka Gabriela Dziekońska-Olszańska, odpowiedzialna za jego rozwój i kolejne sukcesy. Gospodarze przygotowali na nasze wiosenne seminarium wspaniałą wystawę, obrazująca historię oddziału, udostępnili swoje kroniki, jak zawsze – poczęstowali smacznym jadem regionalnym i co ważne – zaprosili zespół ludowy, prezentujący muzykę i śpiew kurpiowski. Kolejne spotkanie ogólnopolskie to 47. letnia sesja TUL w Janowie Lubelskim pt. „Wielokulturowe oblicze Janowa Lubelskiego”. W kwartalniku znajdują się obszerne informacje na temat ostatniej sesji, ja pragnę podzielić się własnymi obserwacjami.

W naszym wędrowaniu po Polsce często szukamy miejsc, w których jeszcze nie byliśmy. W ten sposób, jak wcześniej pisałam, poprzez poznawanie historii miejsca utrwalamy w swej świadomości historię Polski – zarówno tę najstarszą, jak i współczesną. Odwiedzając kolejne miejsca, poznajemy wspaniałych ludzi, od których uczymy się nowych umiejętności, ale też odkrywamy siebie często zupełnie przypadkiem. Tak było i w bieżącym roku, bacznie obserwowałam uczestników warsztatów, zarówno tych, które sama prowadziłam oraz zajęć tworzenia z wikliny papierowej. Uczestnicy obu, poza tym, że sami się wspaniale bawili, wykazali się

ogromną cierpliwością robiąc rzeczy, które były dla nich zupełnie obce. Takie przebywanie w grupie, we wspólnocie, to też rozmowy, poznawanie siebie nawzajem, dzielenie się spostrzeżeniami, czasami jakieś nowe i ciekawe pomysły.

W Janowie Lubelskim byliśmy po raz pierwszy, miasteczko urzekło nas swą historią, urodą i czystością. Ciekawe wykłady i miejsca, które odwiedziliśmy – poruszyły. Na mnie duże wrażenie zrobiła pięknie zachowana, unikalna Bożnica Żydowska w Modliborzycach – dziś Gminny Dom Kultury oraz pomnik Czynu Partyzanckiego na Porytowym Wzgórzu. Historia obu tych miejsc wiąże się bowiem z bólem, cierpieniem i tragedią ludzi, związaną z okresem II wojny światowej. Szczegółową relację z sesji znajdziecie w kronice, którą od kilku lat opracowuje koleżanka Dorota Żebrowska – wiceprezes ZK TUL. Za organizację sesji dziękujemy serdecznie Jadvidzie i Tomaszowi Pietrasom z Janowa Lubelskiego.

Pierwszy weekend grudnia spędziliśmy w tym roku w Jabloniu. To też tradycyjne już seminarium, związane ze świętami Bożego Narodzenia, połączone tym razem z uroczystymi obchodami XXX-lecia powstania Izby Regionalnej im. Augusta Zamoyskiego, która z czasem została przemianowana na Muzeum Samorządowe Augusta Zamoyskiego. W tym miejscu warto wspomnieć o naszej koleżance Barbarze Wikło, inicjatorce tego dzieła.

Barbara Wikło od początku swej pracy zawodowej w Jabloniu bardzo aktywnie włączyła się w utrwalanie w pamięci zbiorowej mieszkańców Jablonia osoby wielkiego polskiego rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego, miejscowego właściciela dóbr ziemskich. W dniu 5 listopada 1994 r., przy istotnym wsparciu Zarządu Krajowego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, dokonano uroczystego otwarcia Izby Regionalnej im. Augusta Zamoyskiego, czego dokonał ówczesny prezes ZK TUL prof. Tadeusz Pilch. Basia od tego czasu systematycznie zbiera pamiątki, zaprasza do Jablonia rodzinę Augusta Zamoyskiego, pisze scenariusze widowisk i organizuje przedstawienia, w których aktorami są mieszkańcy Jablonia. W 2003 r. z inicjatywy naszej koleżanki Basi Wikło powstało Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Jabłońskiej, a ona została jego prezesem. W 2011 r. Izba Pamięci Augusta Zamoyskiego uzyskuje status Muzeum Samorządowego oraz dyrektora w osobie naszej koleżanki Basi. Po 30 latach działalności w zasobach muzeum, głównie dzięki jej wytrwałości, znalazło się wiele oryginalnych pamiątek po Augustcie Zamoyskim, odzyskanych od mieszkańców bądź darowanych przez rodzinę, czy wreszcie znalezionych w zakamarkach pałacu Zamoyskich w Jabloniu. W uznaniu wieloletniego zaangażowania i pracy koleżanki Barbary Wikło, Zarząd Krajowy TUL wystąpił do Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z wnioskiem o nadanie Jej Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Jak się domyślicie, Jabłoń to miejsce szczególne na trasie naszych wędrówek po Polsce, nie tylko ze względu na urodę miejsca, ale przede wszystkim wspaniałych ludzi, którzy tam mieszkają. W trakcie seminarium gościliśmy zespół „Kalina” oraz chór nauczycieli „TenTon” z Parczewa. Wśród artystów tego ostatniego mamy naszego TUL-owskiego kolegę Arkadiusza Lotka. Odwiedziliśmy także Radzyń Podlaski i Muzeum Kraszewskiego w Romanowie. Uroczystości XXX-lecia Muzeum Au-

gusta Zamoyskiego zgromadziły licznych gości z władzami resortu kultury, przedstawicielami NIW-CRSO oraz samorządów lokalnych. W samej wieczery wigilijnej poza członkami TUL-u i gośćmi muzeum udział wzięło wielu mieszkańców Jabłonia i najbliższych okolic. Za organizację wydarzenia na miejscu odpowiadał Arkadiusz Lotek – dziękujemy!

Jak co roku od ponad 35 lat wydaliśmy kolejne numery Kwartalnika PUL „MŁODZIEŻ * KULTURA * WIEŚ”. Na przestrzeni ostatnich czterech lat pozyskaliśmy wielu nowych autorów tekstów, którzy dzielą się z nami własnymi przemyśleniami na różne tematy, posiadaną wiedzę, pokazują różnorodne oblicze współczesnego świata, piszą o podejmowanej działalności w swoich lokalnych społecznościach na rzecz dobra wspólnego. Lektura kolejnych numerów wzbogaca nas samych, często mobilizuje do pogłębienia wiedzy na interesujące tematy. W tym roku wydaliśmy 3 numery kwartalnika, pierwszy podwójny 1–2/117/2024 oraz dwa pojedyncze: nr 3/118/2024 stanowi jednocześnie publikację pokonferencyjną, zaś kolejny numer 4/119/2024 to nasza tradycyjna publikacja.

W dniach 22–24 września 2024 r. wspólnie z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego zorganizowaliśmy Ogólnopolską Konferencję pt. „METODY PEDAGOGII GRUNDTVIGIAŃSKIEJ W POLSKIEJ EDUKACJI FORMALNEJ I POZAFORMALNEJ”. Celem naszym było pokazanie holistycznego modelu uczenia się zarówno w szkołach od podstawowej po wyższe uczelnie, jak i w placówkach kultury oraz organizacjach pozarządowych, reprezentowanych przez Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych oraz Ogólnopolską Sieć Uniwersytetów Ludowych. Konferencja zgromadziła ponad 70 osób, a prowadzone w kuluarach dyskusje pozwalają sądzić, że podobne inicjatywy budzą w uczestnikach potrzebę głębszej refleksji, czasami weryfikacji działań, są też inspiracją dla nowych pomysłów na przyszłość. Konferencję objął Patronatem Honorowym pan Rektor Uniwersytetu Gdańskiego prof. dr hab. Piotr Stepnowski, zaś rolę gospodyni wydarzenia w murach Uniwersytetu Gdańskiego pełniła nasza koleżanka prof. Izabela Kępka. Dzięki jej staraniom to główna sala wykładowa Wydziału Filologicznego UG stała się miejscem naszych wykładów i dyskusji. Dziękuję koleżankom Izabeli Kępcy oraz Aldonie Czerwińskiej za wzięcie na siebie ciężaru organizacji tego wydarzenia, dziękuję także Kacprowi Kępcy za wszelką pomoc organizacyjną w czasie konferencji.

Od kilku lat staramy się systematycznie zaznaczać swoją obecność na mapie aktywnych organizacji pozarządowych, działających na rzecz lokalnego środowiska w zakresie pozaformalnej edukacji dorosłych. W dniu 31.08.2024 r. Aldona Czerwińska, Marzenna Dębek i Elżbieta Gniazdowska wzięły udział w drugim Ogólnopolskim Festiwalu Uniwersytetów Ludowych w Radawnicy. Nasze stoisko, wśród innych uniwersytetów z całej Polski, pozwoliło poznać wzajemnie specyfikę pracy, realizowane działania, oryginalne pomysły, ale co ważniejsze – sytuacja ta stworzyła możliwość nawiązania relacji. Zobaczyłyśmy różnorodność działań realizowanych przez poszczególne UL-e, mogłyśmy też bliżej przyjrzeć się specyfice ich pracy, skupionej na wybranej tematyce, co wydaje się bardzo cenne. Uważamy, że w tym tkwi nasza siła i nasz największy potencjał – wszyscy nie mogą jednak zrobić tego samego!

Przekonałyśmy się również, że nasze oddziały, specjalizujące się w określonej ofercie, skierowanej do konkretnego, lokalnego środowiska – to jest właściwy kierunek działania we współczesnym świecie, zdominowanym przez Internet i AI. Na festiwalu zaprezentowałyśmy nasze wydawnictwa, które rozeszły się jak przysłowiowe „cieple buleczki”. Wróciłyśmy do domu pełne pozytywnej energii, a Gospodarzom gratulujemy sprawnej organizacji i umiejętności stworzenia tak przyjaznej atmosfery! Liczymy, że wydarzenie będzie kontynuowane, a my zyskamy możliwość nie tylko uczestnictwa, ale i współtworzenia tak wartościowego przedsięwzięcia.

W dniach 19–24 października 2024 r. koleżanka Aldona Czerwińska uczestniczyła w organizowanej przez NIW-CRSO wizycie studyjnej w duńskich uniwersytetach ludowych. Jej celem było zapoznanie się z aktualnym stanem formalno-prawnym uniwersytetów ludowych w Dani, a także dłuższe wizyty w wybranych uniwersytetach, różniących się miejscem lokalizacji oraz specyfiką realizowanych programów. Relacja z wizyty studyjnej znajduje się w bieżącym numerze kwartalnika.

W dniach 5 i 6 listopada br. uczestniczyłam w 7. dorocznej Konferencji NIW-CRSO w Warszawie, która zgromadziła ponad 350 uczestników z wielu nurtów III Sektora i obfitowała w różnorodne wydarzenia. Zaczęło się od debaty głównej, w której uczestniczyli znani nam wszystkim przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego, tj. Janina Ochojska z Polskiej Akcji Humanitarnej, Danuta Przywara z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, Paula Sawicka, reprezentująca Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita”, Zbigniew Gluza z Fundacji Ośrodka KARTA oraz Jakub Wygnański z Fundacji Stocznia. Gospodarzem konferencji był Michał Braun – dyrektor NIW-CRSO. Dyskusja związana była z 35-leciem III Sektora w demokratycznej Polsce i jego osiągnięciami, ale też problemami. Konkluzja z tegoż panelu jest następująca: nasza obecność (tj. organizacji pozarządowych), działalność a tym samym trwanie – są niezbędne w przestrzeni publicznej. Jesteśmy inspiracją dla zwykłych obywateli, często wsparciem szczególnie władz lokalnych w ich inicjatywach na rzecz lokalnego środowiska – to ujęcie przedstawione w wielkim skrócie. Druga połowa dnia obfitowała w liczne warsztaty o różnorodnej tematyce, np.: dotyczące mediów obywatelskich, Funduszu Młodzieżowego czy uniwersytetów ludowych. Wybrane tematy to: „Jaka jest misja mojej organizacji”? czy „Prawa pracownicze w organizacjach pozarządowych”. Ja sama uczestniczyłam w warsztatach poświęconych uniwersytetom ludowym, w trakcie dyskusji podjęliśmy próbę odpowiedzi na następujące pytanie: co nam pomaga, a co przeszkadza w naszej pracy w środowisku? We wszystkich wystąpieniach przewijał się problem braku odpowiednich przepisów prawa, wpisujących uniwersytety ludowe w system pozaformalnej edukacji dorosłych, co zdaniem uczestników, pozwoliłoby na stałe, choćby minimalne finansowanie ze środków publicznych, bez konieczności ubiegania się o finanse drogą konkursów. Dyskusja wywołała pytanie: jakie są, a jakie powinny być uniwersytety ludowe? To pytanie było jednocześnie tematem burzliwej dyskusji drugiego dnia konferencji. Stanowisko kilku przedstawicieli UL sprowadza się do wniosku, że uniwersytetem ludowym ma prawo mienić się ta placówka, która ma w swych zasobach majątkowych internat. Nasze doświadcze-

nia pokazują, że nie jest to warunek konieczny, aktywność w środowisku lokalnym zwykle nie wymaga noclegów. Niezbędne jest z całą pewnością miejsce, w którym możemy być razem w grupie, tworzyć swoistą wspólnotę – to może być zwykła świetlica wiejska, zaprzyjaźniona szkoła, bursa czy inne miejsce. Zdziwienie może budzić fakt, że nagle tak dużo miejsca poświęca się uniwersytetom ludowym. Łączy się to ściśle z ogłoszeniem rządowego „Programu Wsparcia Rozwoju Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030”. Jednostką organizacyjną, powołaną do jego realizacji jest Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego. W ramach ogłaszanych konkursów można pozyskać poważne środki finansowe, stąd w krótkim czasie powstało wiele nowych uniwersytetów ludowych, które z powodzeniem ubiegają się o granty. W krótkim czasie okazało się, że przysłowiowa koldra robi się za krótka, bo wniosków o dofinansowanie jest coraz więcej, a pieniędzy zaczyna brakować. Między innymi z tego właśnie względu powstała konieczność/potrzeba konkretnego zdefiniowania pojęcia uniwersytetu ludowego we współczesnej, polskiej rzeczywistości. W tym zakresie również Zarząd Krajowy Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych przygotował i złożył rekomendacje do NIW-CRSO, w których zawarł następujące postulaty:

1. Wypracowanie wspólnego stanowiska w sprawie uznawania/nieuznawania danej organizacji za uniwersytet ludowy; określenie jakie warunki musi spełniać dana organizacja, aby uzyskać prawo do nazywania się uniwersytetem ludowym, a co za tym idzie – opracowanie przez NIW wykazu działających w Polsce uniwersytetów ludowych.
2. Podjęcie działań w celu powołania jednej reprezentacji wszystkich uniwersytetów ludowych w Polsce, która będzie na bieżąco współpracować z Narodowym Instytutem Wolności.
3. Wprowadzenie w regulaminie konkursu zapisów, pozwalających na uzyskanie dofinansowania jedynie tym uniwersytetom ludowym, które potrafią się wykazać minimum pięcioletnią działalnością na rzecz swoich lokalnych środowisk.
4. Stworzenie możliwości swobodnego przeniesienia środków finansowych w obrębie jednego działania (projekt). Koszty planowanych działań są orientacyjne, dlatego czasami istnieje potrzeba przeniesienia w obrębie działania.
5. Umożliwienie w generatorze wniosków (projekt) wcześniejszego otwarcia sprawozdania ze zrealizowanych działań tak, aby wydłużyć czas na jego przygotowanie.

Drugi dzień konferencji to też rozmowy uczestników z przedstawicielami rządu. Spotkały się z nami: Adriana Porowska – ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego, Marta Cienkowska – podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Katarzyna Nowakowska – podsekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, Karolina Dreszer-Smalec – prezeska OFOP. W dyskusji brał także udział Michał Braun – dyrektor NIW-CRSO. Usłyszeliśmy między innymi odpowiedź na pytanie, w jaki sposób rząd będzie pomagał w działalności organizacjom III Sektora? Chodzi o to, abyśmy mogli działać na rzecz ludzi, a nie myśleć wciąż o tym, jak „związać koniec z końcem”. W swej działalności powinni-

śmy upominać się o innych, jednocześnie dbając o siebie nawzajem, wniosek: należy budować sojusze organizacji pozarządowych. W treści mojego podsumowania poświęciłam sporo miejsca konferencji NIW-CRISO, ale sprawa jest ważna i wymaga dyskusji również, a może przede wszystkim, w naszym własnym gronie.

Wracamy do kolejnych zadań, wchodzących w zakres naszej działalności statutowej. Na bieżąco uzupełnimy naszą stronę <https://www.tul.org.pl/>. Znajdziecie tu najnowsze numery kwartalnika i kronik, kalendarium oraz inne informacje, które do nas przysyłacie. Jeżeli Was tam nie ma – znaczy to tylko tyle, że nie przekazaliście nam żadnych materiałów. Staramy się też umieszczać krótkie informacje w naszej zakładce na FB. Dobrze byłoby, aby oddziały stworzyły swoje zakładki na FB, wówczas sami będziecie mogli promować własne działania, tym bardziej, że w oddziałach dużo się dzieje. OR TUL w Łomży rozpoczął kolejną edycję „Wszechniczy Tulowski”. W dniu 23 listopada br. odwiedziliśmy Ostrów Mazowiecką, aby obejrzeć spektakl pt. „...i widzę niebo otwarte” wg scenariusza i w reżyserii Sławomira Konarzewskiego – prezesa OR TUL w Lubiejewie. Z kolei OR TUL w Śremie praktycznie przez cały rok prowadzi dla uczniów Zespołu Szkół Rolniczych w Grzybnie warsztaty filmowe. Ewa i Wojciech Liskowie ponadto dokumentują nasze działania o zasięgu ogólnopolskim oraz digitalizują obecnie nasze wydawnictwa, zapisując je na elektronicznych nośnikach pamięci. Podobnie jak w latach poprzednich, członkowie OR TUL w Kozuchowie doskonali swe umiejętności i pogłębiają wiedzę w zakresie produkcji wina z własnych, przydomowych winnic. W bieżącym roku zaangażowali się również w stworzenie grup, w której chętni mogli nauczyć się gry w szachy. OR TUL w Głuchowie tradycyjnie od 30 lat organizuje wielką, środowiskową Wigilię „...to już pora na wigilię, to już czas”, skupiając wokół wspólnego stołu społeczność wsi i okolic. Członkowie oddziału prowadzą też corocznie warsztaty kulinarne, poświęcone nauce przygotowania różnorodnych dań regionalnych z przepisów starszego pokolenia. Często mamy i babcie również w nich uczestniczą razem z młodzieżą Zespołu Szkół w Głuchowie. Powstałe w trakcie zajęć potrawy trafiają następnie na stoły gości, często obdarowanymi są uczestnicy ogólnopolskich spotkań TUL. Koło w Sławie, należące do OR TUL we Wrocławiu angażuje się w prowadzenie edukacji teatralnej młodzieży oraz dorosłych. Sukces tego pomysłu polega na stworzeniu wielopokoleniowej grupy teatralnej, której aktorzy pochodzą z kilku gmin i, co jest bardzo cenne, współpracują z teatrami z Wrocławia, angażując w swe działania profesjonalnych aktorów, co jest swoistą wartością dodaną projektu.

W swoim podsumowaniu 2024 roku, szczególnie drugiej jego połowy, skupiłam się głównie na działaniach w ramach projektu „TUL łączy pokolenia”. Pamiętać należy także o codziennej naszej aktywności, którą prowadzimy w lokalnych środowiskach, o niej napiszę w następnym numerze, kiedy zapoznam się z Waszymi szczegółowymi sprawozdaniami za mijający rok. Pamiętać musimy o tym, że nic nie dzieje się samo, za każdym działaniem kryją się ludzie. Organizacja dużych ogólnopolskich spotkań zaczyna się co najmniej pół roku wcześniej i obejmuje: przygotowanie programu, pozyskanie wykładowców i prowadzących warsztaty, opracowanie

tras wycieczek i wreszcie logistykę całego przedsięwzięcia, wszystko to wymaga zaangażowania wielu osób. Podobnie jest z naszymi publikacjami, zebranie materiałów trwa często kilka miesięcy. Tej pracy nie widać, ale ona toczy się nieustannie – za to Wam dziękuję!

W mijającym roku nie próżnowaliśmy, dzięki środkom finansowym z projektu udało się zrealizować działania stałe, ale też po raz pierwszy od wielu lat zorganizowaliśmy konferencję, zacieśniliśmy współpracę z innymi uniwersytetami ludowymi, mieliśmy swoją reprezentację podczas wizyty monitorującej w Danii oraz na konferencji NIW w Warszawie.

Jednak trzeba wyraźnie powiedzieć, że aktywność muszą wykazywać wszystkie oddziały, że należy bardzo poważnie podejść do nadchodzących zmian i wypracować wspólne wobec nich stanowisko. Rzeczywistość nie pyta, ona wymaga od nas przystosowania się do nowych warunków, do zmieniających się zasad, którym musimy sprostać, jeśli dalej chcemy istnieć na mapie polskich uniwersytetów ludowych.

Stoimy przed koniecznością wprowadzenia być może poważnych zmian w naszej organizacji, co niektórym może się wydać zniechęcające, jednak życie to wszak nieustające zmiany!

Na nadchodzący Nowy Rok życzę Wam przede wszystkim zdrowia oraz wielu nowych pomysłów i chęci do kontynuowania naszej wspólnej, tulowskiej pracy!

XXX-lecie upamiętnienia życia i twórczości Augusta Zamoyskiego w Jabłoniu

Miejsce poświęcone pamięci Augusta Zamoyskiego, wybitnego rzeźbiarza, który urodził się w Jabłoniu (1893–1970) zostało utworzone w 1994 r. nie z nakazu władz, ale z potrzeby serca mieszkańców miejscowości. A wszystko zaczęło się w połowie lat 80. ubiegłego wieku, pracowałam wówczas w internacie męskim Technikum Rolniczego, usytuowanym w oficynie pałacowej. Poznałam wówczas Panią Jadwigę Tokarską, córkę rządcy i nauczycielkę zaprzyjaźnioną z Zamoyskim. Pani Jadwiga przychodziła do internatu i opowiadała o dawnym Jabłoniu, o Zamoyskim oraz ludziach, którzy tu żyli i pracowali. W oparciu o książkę pani dr Zofii Kossakowskiej-Szanajca pt. „August Zamoyski”, wydanej w 1974 r. w internacie męskim w oficynie zorganizowaliśmy pierwszą wystawę zdjęć dzieł Artysty. Uczniowie sami docierali do różnych materiałów, związanych z postacią Zamoyskiego. Ważnym wydarzeniem był wyjazd grupy młodzieży do Muzeum Narodowego w Warszawie w 1993 r., gdzie prezentowane były po raz pierwszy w Polsce po II wojnie światowej dzieła Zamoyskiego.

Prężnie działający wówczas w szkole Oddział Wojewódzki Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych wpłynął w poważnym stopniu na utworzenie „Izby Pamięci Augusta Zamoyskiego” w internacie męskim w listopadzie 1994 r. oraz „Izby Wsi Podlaskiej” w internacie żeńskim (obecnie izba ta nie istnieje, chociaż eksponaty wciąż czekają na swe nowe miejsce).

Nie bez znaczenia były wcześniejsze wizyty w Jabłoniu historyka sztuki z Paryża Andrzeja Wata, syna znanego pisarza – Aleksandra Wata. Ważne były również kontakty z autorem pierwszej pracy magisterskiej o zespole pałacowym, Henrykiem Łusiewiczem, a także z Euzebiuszem Majem, prof. dr Lechosławem Lameńskim, Teresą Olszewską – autorką ciekawej pracy pt. „Kontakty Augusta Zamoyskiego z mieszkańcami Jabłonia”. Wszystkie te działania wpłynęły na wzrost zainteresowań artystą. Po czterech latach funkcjonowania Izby Zespół Szkół Rolniczych postanowił przyjąć Augusta Zamoyskiego za patrona. I znowu wspaniała uroczystość w Jabłoni, przyjeżdża Helena Zamoyska, dr Zofia Kossakowska-Szanajca, Anna Grocholska oraz wielu innych, znamienitych gości.

Mimo ogromnego wysiłku młodzieży i pracowników Internatu, doświadczenia prawie 10. lat wykazały, że usytuowanie Izby w tym miejscu nie było najszcześniejsze. Internat czynny przez pięć dni w tygodniu nie dawał możliwości zwiedzania Izby w pozostałe dni – święta, ferie czy wakacje. W maju 2003 r. powstało Stowa-

rzyszenie Miłośników Ziemi Jabłońskiej, którego jednym z zadań statutowych była opieka merytoryczna nad „Izbą Pamięci Augusta Zamoyskiego”. Po powstaniu stowarzyszenia rozpoczęły się działania, zmierzające do przeniesienia siedziby Izby. Dnia 08 września 2003 r. Rada Gminy Jabłoń na podstawie uchwały Nr X/52/2003 przekazała lokal przy ul. Zamoyskiego 9 c/6 dla SMZJ z przeznaczeniem na „Izbę Pamięci Augusta Zamoyskiego”. 05 października 2003 r. w ramach obchodów 500-lecia Jabłonia odbyło się uroczyste otwarcie nowej siedziby Izby (była to pierwsza przeprowadzka).

W przygotowania do otwarcia Izby włączyło się bardzo wiele osób – nauczyciele i uczniowie miejscowych szkół, pracownicy Urzędu Gminy i Gminnego Ośrodka Kultury - jednym słowem wszyscy, których cieszył fakt powstawania załóżka przyszłego Muzeum Augusta Zamoyskiego. Muszę przyznać, że byli i tacy, którzy patrząc na naszą pracę – stukali się w czoło. Ale Izba zaczęła już funkcjonować i cieszyć się coraz większym zainteresowaniem, organizując co roku w maju tzw. „Spotkania z Augustem Zamoyskim”. Odbywają się wówczas: sesje popularno-naukowe, wystawy, konkursy, koncerty, spektakle teatralne, itp. Równie ważnym i ciekawym wydarzeniem były Ogólnopolskie Plenery Rzeźbiarskie im. Augusta Zamoyskiego. Czasem plener łączony był z wyścigiem kolarskim, przypominając tym samym o wielkiej pasji sportowej artysty.

Stały kontakt z wieloma osobami i instytucjami kultury, interesującymi się twórczością Zamoyskiego pozwalał na odkrywanie nieznanych faktów z Jego życia. W 2007 r. Wójt Gminy Jabłoń, Dariusz Łobejko, podpisał porozumienie o współpracy z merem Sylvanes Michelem Wolkowitskym i o. Andre Gouzem, a w 2008 r. zbiory Izby powiększyły się o rzeźbę – Portret Marii Brydzińskiej-Potockiej, aktorki z lat międzywojennych, dłuta Augusta Zamoyskiego, która przekazali przyjaciele z Francji.

Szczególnie ważną datą był rok 2007, kiedy to dzięki ogromnemu zaangażowaniu Andrzeja Wata Helena Zamoyska przekazała całe archiwum artysty do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Od tego roku SMZJ utrzymuje stały kontakt z Muzeum Literatury. W 2009 r. p. Irena Mospinek odnajduje w czworaku folwarcznym – „rządówce” – całe archiwum folwarczne ostatnich właścicieli Jabłonia. Dzięki dobrej woli p. Ireny i przekazaniu znalezionych materiałów Stowarzyszeniu, można było podpisać umowę o współpracy między SMZJ a Muzeum Literatury, w myśl którego muzeum przeprowadziło wstępną renowację archiwum. Wszystkie te wydarzenia łącznie z wyjazdami do Sylvanes na otwarcie pierwszego Muzeum Augusta Zamoyskiego (2009 r.) wpłynęły na rozpoczęcie starań o przekształcenie IZBY w Muzeum. W tych dążeniach ogromne wsparcie okazały następujące instytucje: Urząd Gminy i Rada Gminy Jabłoń, Zarząd Krajowy Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, Muzeum Literatury w Warszawie, Muzeum Zamoyskich w Kozłowie, Muzeum J. Kraszewskiego w Romanowie. Ponadto nasze działania popierali członkowie Stowarzyszenia Historyków Sztuki oddziału lubelskiego i jak zawsze niezawodni mieszkańcy gminy Jabłoń. Starania nasze zostały zwieńczone decyzją Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego o powstaniu samorządowe-

go Muzeum Augusta Zamoyskiego w Jabloniu. Uroczystości odbyły się w 2011 r., a gościem specjalnym był Jacek Miler dr dep. Dziedzictwa Kulturowego w Ministerstwie, wielki przyjaciel Jablonia.

Kolejnym ważnym wydarzeniem w funkcjonowaniu muzeum było przekazanie w 2015 r. przez Fundację Kossakowskich archiwum autorki pierwszej pracy o Augustacie Zamoyskim ś.p. dr Zofii Kossakowskiej-Szanajcy. Od początku istnienia miejsca poświęconego Augustowi Zamoyskiemu odkrywane są nowe fakty z jego życia, do Muzeum przekazywane są również nowe, nieznane dotąd eksponaty, np. Feliks Bronikowski przekazał krokodyla wykutego przez młodego Augusta wspólnie z kowalem w kuźni folwarcznej w Jabloniu, Jerzy Oleksiewicz – m.in. skórę na zelówki, którą wysyłał August z Brazylii dla swoich byłych pracowników. Dzięki bliskiej współpracy z Muzeum Literatury w Warszawie placówka nasza posiada kopie starych filmów, nakręconych przez samego A. Zamoyskiego w drugiej połowie lat 20. ubiegłego wieku oraz listów mieszkańców Jablonia do artysty (około 90 szt.), z których czerpiemy wiedzę o powojennym Jabloniu. Muzeum posiada biograficzną wystawę pt. „August Zamoyski”, opracowaną przez Andrzeja Cebulaka – historyka sztuki. Wystawa często wypożyczana jest do różnych placówek oświatowych i kulturalnych. Prezentowana była już w wielu miejscowościach, m.in. w Puławach, Lublinie, Zakopanym, Białej Podlaskiej i wielu innych.

Od 2016 r. muzeum w Jabloniu, obok Muzeum Narodowego w Warszawie i w Poznaniu, Centrum Rzeźby w Orońsku, Muzeum Tatrzańskie im. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem oraz Muzeum Literatury im. Adam Mickiewicza w Warszawie jest partnerem projektu pt. „August Zamoyski 2017–2020. Projekt jest kontynuacją szerokiego cyklu „powroty”, zainaugurowanego wystawą „Skarby Kultury Polskiej ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu”. W 2019 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zakupiło wszystkie rzeźby i prawa autorskie do spuścizny artystycznej rzeźbiarza z niewielkiego Muzeum w Prieure des Granges-Sylvanes na południu Francji.

Od 23 maja 2021 r. zainteresowani życiem i twórczością Augusta Zamoyskiego mogą zapoznać się z tym wybitnym artystą w jedynym na świecie Muzeum Augusta Zamoyskiego w Jabloniu. Powstało ono dzięki realizacji projektu pt. „Dostosowanie obiektu konserwatorskiego na potrzeby Muzeum Augusta Zamoyskiego w Jabloniu”, współfinansowanego ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego 2014–2020 i środkom finansowym pozyskanym od Gminy Jabłoń, która była wnioskodawcą projektu. Dla potrzeb Muzeum dostosowano dawny czworak dworski, wzniesiony na początku XX wieku przez Tomasza Zamoyskiego, ojca artysty. Wewnątrz prezentowane są pamiątki po rodzinie Zamoyskich, fotografie, listy a także nagrania opowieści osób, które знаły osobiście Augusta Zamoyskiego.



Rok 1994, Helena Peltier-Zamoyska dokonuje wpisu w Księdze Pamiątkowej podczas otwarcia Izby Pamięci Augusta Zamoyskiego. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Augusta Zamoyskiego



1994 r. Otwarcie Izby Wsi Podlaskiej, uczniowie ZSR i zespół ludowy podczas obrzędu ludowego „Wieczór Panieński”. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Augusta Zamoyskiego.



1994 r. „Wieczór Panieński” – od lewej: Olga Melaniuk, prof. Tadeusz Pilch, Zofia Kaczor-Jędrzycka, Stanisław Masalski, Helena Peltier-Zamoyska. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Augusta Zamoyskiego.



Izba Pamięci w Czworaku. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Augusta Zamoyskiego



2012 r. Ogólnopolski Plener Rzeźbiarski im. Augusta Zamoyskiego w Jabloniu. Zdjęcie ze zbiorów Lucjana Kowalskiego



2014 r. Ogólnopolski Wyścig Kolarski im. Augusta Zamoyskiego w Jabloniu. Zdjęcie ze zbiorów Lucjana Kowalskiego



Jacek Miler – zdjęcie ze zbiorów Muzeum Augusta Zamoyskiego



Zdjęcia Muzeum Augusta Zamoyskiego w nowej siedzibie, ze zbiorów muzealnych.



Zdjęcia Muzeum Augusta Zamoyskiego w nowej siedzibie, ze zbiorów muzealnych.

Moje wrażenia z letniej sesji TUL w Janowie Lubelskim

Udział w sesji letniej w Janowie Lubelskim był pierwszym spotkaniem w tak szerokim gronie osób działających w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych, a przyjeżdżających z całej Polski. Pierwszy problem do rozwiązania: jak dojechać? Czy samochód, czy może pociąg i autobus? Zwyciężyła opcja transportu publicznego, bo i spokojniej, i taniej, i można wszystko załatwić przez Internet. Po drodze pojawiła się jeszcze opcja zwiedzania Rzeszowa, w którym nigdy nie byłem. Przez Internet ustaliłem, co można i co warto w tym mieście zobaczyć.

Podróż w piątek, 5 lipca do Rzeszowa i dalej przebiegła bez problemów, a zaplanowana przerwa dała możliwość zwiedzenia starówki miasta i trzech przepięknych, rzeszowskich kościołów. To co mnie urzekło, to kameralność oglądanych miejsc i ich zadbane wygląd. W samych kościołach rzuciło się w oczy bogactwo i przepych nagromadzonych przez wieki dzieł sztuki i wyposażenia. Widać, że walec ostatniej wojny zbyt srogo nie potraktował tych obiektów. Odmiennie niż na przykład we Wrocławiu, gdzie większość zabudowy uległa ogromnemu zniszczeniu, w dużej mierze wypaleniu i z dawnego wyposażenia mało co zostało. To ważne, że jednak nie wszędzie los obszedł się tak okrutnie i dzisiaj można doznawać tak wielu wrażeń, oglądając piękne wnętrza i poznając ich historię.

Piątkowe popołudnie to podróż autobusem do miejsca docelowego. Cały dzień to prawie bezchmurna, słoneczna pogoda, a więc mogłem podziwiać przepiękne krajobrazy, jakie rozciągały się dookoła. W tym momencie doceniłem trafność wyboru sposobu dojazdu. Całą uwagę mogłem poświęcić podziwianiu piękna ziemi rzeszowskiej. Obok mnie, na sąsiednim fotelu, usiadła pani jadąca też do Janowa Lubelskiego. Od słowa do słowa doszliśmy do tego, że jedziemy w to samo miejsce – Hotel Myśliwski i 47. Letnia Sesja TUL. Dla dopełnienia sprawy, osobą tą okazała Janina Golec spod Żywca, która jest przypisana do TUL-u we Wrocławiu. Takie to niespodziewane zbiegi okoliczności!

I tak po półtorej godziny przyjemnej jazdy znaleźliśmy się na rynku w Janowie Lubelskim, a zarazem nowym dworcu autobusowym w tym miasteczku. Pierwsze wrażenie bardzo pozytywne. Niska, zadbane, bardzo kolorowa zabudowa dookoła rynku, ze sporą ilością zieleni wysokiej. Dało to pozytywny odbiór tego miejsca uwzględniając, że dzień był prawie upalny. Do tego na dworcu autobusowym spotkaliśmy organizatora sesji letniej – Tomka Pietrasa. Wprawdzie przyjechał samochodem po inne osoby, ale zabral nasze bagaże i tym sposobem mogliśmy spokojnie odbyć pierwszy spacer po miasteczku. Trudno nie było, bo już sprawdziłem, że na-

leży przejść jedynie główną ulicę Jana Zamoyskiego. Z jednej strony ulicę tę zamyka zespół Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej Różańcowej, z górującymi nad nim dwoma wieżami, przy którym byliśmy, a z drugiej rondo, przy którym usytuowany jest Hotel Myśliwski, miejsce naszego zakwaterowania. Nie spiesząc się dotarliśmy do celu, mijając po drodze ważne obiekty, jakie przy tej ulicy się znajdują. Budynki, jak i charakter całej zabudowy wzdłuż tej ulicy i ulic sąsiednich, przywodził na myśl XIX-wieczne małe miasteczko wschodnie, znane z literatury bądź filmu. Wszystko odremontowane, zadbane, dużo zieleni, po drodze park miejski, wszystko sprawiało bardzo pozytywne wrażenie. Jedynie cel naszej podróży, Hotel Myśliwski, odbiegał od tego, co po drodze oglądaliśmy. Budynek współczesny, różniący się swoją architekturą od tego, co mijaliśmy. W hotelu zastaliśmy już sporo osób, które przyjechały wcześniej, część jeszcze dojeżdżała. Dla mnie to w większości styczność z osobami, które dopiero poznawałem. Ale od tego było wieczorne spotkanie integracyjne i możliwość kontaktu z osobami z całej Polski.

Sobota, 6 lipca, to dzień oficjalnego rozpoczęcia 47. Letniej Sesji TUL pt. „Bogactwo kulturowe Janowa Lubelskiego”. Sesję otworzyła Elżbieta Gniazdowska, a następnie Barbara Nazarewicz, była Dyrektorka Muzeum Regionalnego w Janowie Lubelskim, bardzo ciekawie przedstawiła zawiłą historię oraz bogactwo kulturowe Janowa Lubelskiego. Okazało się, że to, co dnia poprzedniego oglądałem wzdłuż ulicy Jana Zamoyskiego i nie tylko, już na początku II wojny światowej zostało zbombardowane i uległo zniszczeniu. Determinacja ludzi i trud odbudowy zniszczeń w latach powojennych doprowadziły do tego, że dzisiaj jesteśmy zafascynowani tym miejscem i możemy cieszyć się tym, że jest tak urokliwie i czuć w nim ducha wschodu, otwartej przestrzeni, skali człowieka, nieogarnionej przyrody, otwartości na ludzi i otoczenie.

Może moje odczucia są specyficzne. Może dlatego, że korzenie mojej rodziny są z tamtych rejonów, bo z Wołynia, o którym tyle nasłuchałem się od moich babć i rodziców. Nigdy tam nie wrócili ze względu na traumatyczne przeżycia. Zawsze tęsknili i z czułością wspominali, babcie jeszcze czasy carskie, a potem wolną Polskę, odpusty w Korcu, nowy polski kościół. Rodzice zaś wspominali polską szkołę, zapach zarośli azalii i kisiel z żurawiny, która rosła na bagnach. Dwukrotnie odwiedziłem rodzinne strony przodków, byłem swego czasu na Podolu, gdzie poznałem ten bezkres wschodniego krajobrazu, krajobrazu bez końca, morza traw i wiejącego po nich wiatru. Też było lato, dużo słońca, wielu dobrych ludzi i dlatego pozostało dużo dobrych wspomnień.

Kolejny sobotni przystanek to Bożnica Żydowska w Modliborzycach. Wprawdzie ludzi związanych z tym miejscem już nie ma, ale pozostał po nich trwały ślad w przestrzeni wsi. I to jaki ślad! Niewielka, biała, z dachem półszczytowym krytym gontem, z kolumnadą nad wejściem – wręcz zjawiskowa. Zmieniła jedynie swoją funkcję na Dom Kultury i tym sposobem została uratowana. A o historii tego miejsca opowiadał Andrzej Rządą, dyrektor tego wielofunkcyjnego obiektu kultury.

Niedziela rozpoczęła się mszą św. w Sanktuarium Matki Bożej w Janowie Lubelskim. Podomnikański, barokowy kościół z zespołem obiektów towarzyszących gó-

ruje nad miastem, stanowiąc jego dominantę krajobrazową. Jest to miejsce pielgrzymkowe, ze znajdującym się w kościele cudownym, słynącym łaskami obrazem Matki Bożej Łaskawej Różańcowej. Obraz swego czasu został podarowany przez rodzinę Zamoyskich. Wnętrze kościoła trójnawowe, z ogromną nawą główną, zachwyca barokowym wystrojem. Jednorodność stylistyczna ołtarza głównego i ołtarzy bocznych, z ich niesamowitym rzeźbieniem i zloceniami tworzą podniosłą i niepowtarzalną atmosferę. Jest to miejsce objawień, stąd obok kościoła stoi Kaplica Zjawienia z XVII-wieczną rzeźbą Matki Bożej z Dzieciątkiem. W kaplicy i obok niej bije źródelko, z którego wierni czerpią wodę, zwaną świętą. W obrębie zespołu Sanktuarium znajduje się także muzeum parafialne, gromadzące pamiątki dotyczące zarówno miasteczka jak i samego kościoła. O bogatych zbiorach, tak świeckich jak i kościelnych, opowiadała Barbara Nazarewicz, prezentując przy okazji ostatnie nabytki muzeum.

Po zwiedzeniu Placu Maryjnego przylegającego do Sanktuarium, przeszliśmy ulicą Szewską, pnącą się nieco pod górę, w kierunku Stoków Janowskich. Po dotarciu na wzgórze okazało się, że jest to miejsce na wskroś niesamowite i magiczne. Aż trudno było uwierzyć, że coś takiego przyroda mogła zaoferować. Po minięciu zakrętu ulicy i wspięciu się na niewielkie wzniesienie, u jego podnóża zobaczyliśmy szereg wybijających spod ziemi źródłek krystalicznie czystej wody. A dalej wielkie rozlewisko, zamknięte od strony ulicy kamiennym murem. Naturalne źródłisko, które w tym zakątku od zawsze funkcjonuje i związane było ze zwyczajem obmycia i oczyszczenia w Wielki Piątek. Niewielka odległość od kościoła sprawiła, że znajduje się tutaj także jedna ze stacji drogi krzyżowej. W zielononiebieskich wodach rozlewiska odbija się monumentalna figura Chrystusa, postawiona w latach 90-tych XX wieku. Figura Chrystusa jest wzorowana na tej z Rio De Janeiro w Brazylii. Kiedyś było to miejsce, gdzie kobiety z miasteczka robiły pranie, spotykały się i omawiały wszystkie bieżące i nie tylko, sprawy. W mojej pamięci pozostanie jako cud przyrody, symboliczna część Janowa Lubelskiego.

Po obiedzie o swoich podróżach i fascynacjach opowiadała Marta Pietras-Eichberger. Jej pobyty w Kenii, Meksyku czy Gruzji były niejako przedłużeniem tego momentu, jaki został zapoczątkowany na Janowskich Stokach. Magia miejsca, jego historia, powiązanie i wpływ na ludzką działalność, wręcz jej losy – to coś niesamowitego, dającego wiele do myślenia i zastanowienia nad splotem okoliczności w naszym życiu.

Kolejny dzień sesyjny (poniedziałek, 8 lipca) dostarczył sporo nowych wrażeń. Był to dzień pełen niespodzianek i zachwyków. Trzy różne miejsca, mające wspólny mianownik w postaci osób, które są na swój sposób „pozytywnie zakręcone”, w dobrym tego słowa znaczeniu. Osób, którym należy się wielki szacunek i podziękowania za ich działania. Pokazały, że robią to z ogromną pasją, są pełne wiedzy i energii, konsekwentnie dążą do celu i mają świadomość, że ich praca służy ludziom dzisiaj, jak i przyszłym pokoleniom. Starają się ocalić od zapomnienia historię i kulturę tego regionu i przekazać następcom.

Pierwszy przystanek to, po przejechaniu fragmentu Roztocza, dom Ireny Krawiec w Kocudzy Trzeciej. Jest to osoba całkowicie przesiąknięta folklorem tego regionu,

kultywująca lokalne tradycje i starająca się przekazać to wszystko kolejnemu pokoleniu, aby uchronić ten bezcenny skarb kultury wiejskiej. Od progu domu dała się zauważyć ogromna serdeczność i gościnność gospodyni, jak i pozostałych domowników oraz osób współpracujących z panią Ireną. Razem tworzą Roztoczańskie Stowarzyszenie Miłośników Folkloru. Na wstępie olśniły nas oryginalne, ludowe stroje pań z zespołu „Jarzębina” oraz skromne, ale takie tam funkcjonowały w przeszłości, jak tłumaczyła Irena, stroje młodych dziewcząt z zespołu „Wisienki”. Przy akompaniowaniu skrzypiec oraz unikalnego instrumentu, jakim jest „suka biłgorajska” wykonane zostały ludowe pieśni z tego regionu. W graniu na tym instrumencie specjalizuje się Irena. Tutaj też ukłon w stronę mamy Ireny, która mimo podeszłego wieku, brała aktywny udział w prezentacji zespołów, mając na sobie ludowy strój i czynnie uczestnicząc w wykonywaniu ludowych pieśni i przyśpiewek. Potem był poczęstunek, składający się z tradycyjnych dla tego regionu potraw, takich jak: podplomyki, pierogi przygotowane na różne sposoby, tradycyjny chleb ze smalcem i wypieki na słodko. A wszystko to przy akompaniowaniu ludowej muzyki, ponadto uczestnicy sesji mieli okazję nauczyć się jednej z ludowych pieśni. Poczęstunek odbył się w ogrodzie, co przy pięknej pogodzie i otaczającym krajobrazie pozostawiło w uczestnikach tego spotkania niezapomniane wrażenia.

W drodze powrotnej do Janowa Lubelskiego dodatkowa niespodzianka. Drogą okrężną przez lasy dotarliśmy do pomnika na Porytowym Wzgórzu. 14 czerwca 1944 r. na tym terenie w Lasach Janowskich, nad rzeką Branwią, odbyła się największa bitwa partyzancka II wojny światowej w ramach akcji Sturmwind (Wicher). W tym dniu znalazło się w okrażeniu 3500 partyzantów połączonych sił Armii Ludowej, partyzantów sowieckich, oddziału Armii Krajowej i oddziału Batalionów Chłopskich. Walki, pod dowództwem Rosjanina, Nikołaja Prokopiuka, trwały cały dzień. Postanowiono walczyć do zapadnięcia nocy, a później próbować przebić się z okrażenia. Nocą poszczególne oddziały podjęły próbę wydostania się z okrażenia, a główna część zgrupowania po ciężkich walkach przedarła się na tereny Puszczy Solskiej. W 1974 r. w 30. rocznicę bitwy stanął, obok cmentarza wojskowego, ogromny pomnik Czynu Partyzanckiego, autorstwa Bronisława Chromego. Monument robi niesamowite wrażenie, a przedstawia pięciu biegnących partyzantów uwiecznionych w momencie, kiedy między nimi wybucha w ziemi pocisk. Idąc długą aleją przez las widzimy, jak z oddali, na tle ciemnego lasu, wylania się potężny granitowy postument symbolizujący czołg, a w najwyższym jego miejscu pięciu biegnących partyzantów, pomiędzy którymi wybucha pocisk. Żołnierze mają wysokość 3 m, a sam wybuch 12 m. Całość została wykonana z metalu. Pomnik przedstawia moment przedarcia się partyzantów z niemieckiego okrażenia. Był to najbardziej dramatyczny fragment tej bitwy, stąd cała grupa jest bardzo dynamiczna, ukazana w ruchu. Biegnące postacie pochylone są do przodu, a nienaturalnie wydłużone nogi i rozwiane polny płaszcz jeszcze bardziej potęgują dramatyzm sytuacji. Ogrom i symbolika pomnika, jego otoczenie, wszak jesteśmy w sercu Lasów Janowskich, obok ten zagubiony wśród drzew cmentarz wojenny, różniamienny, lato, taka sama pogoda jak w tamtych dniach partyzanckich zmagania, zmusza do refleksji i zastano-

wienia się nad powtarzaniem się historii w jej tragicznym wymiarze. Zła, nieprzewidywalna decyzja jednego człowieka może w jednej chwili zburzyć wszystko to co znamy, co dla nas jest cenne i co bezpowrotnie tracimy. Tak niedaleko od naszych granic trwa pełnoskalowa wojna; tak niedużo potrzeba, aby historia zatoczyła koło.

Po powrocie do Janowa Lubelskiego, po obiedzie, kolejny punkt programu – wizyta w Zespole Szkół im. Wincentego Witosa. Dyrektor tej placówki, Teresa Biernat, krótko przedstawiła osiągnięcia i plany szkoły, pokazując przy tym, że jest to obiekt funkcjonalny, wielofunkcyjny i innowacyjny. Można było się o tym przekonać, oglądając sale lekcyjne, nowoczesnie wyposażone pracownie, nową halę sportową czy wirtualną strzelnicę. Niesamowite wrażenie robiły pracownie obsługi konsumenta, gastronomiczna czy hotelarska, w których w skali jeden do jednego młodzież uczy się i ćwiczy swoje umiejętności w obsłudze zarówno urzędzeń, jak i podejścia do przyszłych klientów. Zdobywanie właściwych kompetencji w wybranym zawodzie to dzisiaj klucz do tego, aby absolwent szkoły nie miał problemów na rynku pracy. Na uwagę zasługuje też zadbane otoczenie szkoły, pełne zieleni i pomysłów aranżacyjnych na ciekawe miejsca, przyjazne uczniom. Szczególnie w otoczeniu hali sportowej dobór poszczególnych roślin, rodzaju nawierzchni i elementów małej architektury przyciąga wzrok, zachęca do zatrzymania się i odpoczynku.

Dzień kończył się pod znakiem muzeów. W dwóch grupach zwiedzaliśmy Muzeum Regionalne i prywatne Muzeum Fotografii. Muzeum Regionalne mieści się w budynku byłego carskiego więzienia, wybudowanego w latach 1820–1827 według projektu Wacława Ritschela. Masywna bryła obiektu składa się z wewnętrznego dziedzińca otoczonego z trzech stron trzykondygnacyjnymi budynkami, przykrytymi spadzistymi dachami. Czwarty bok dziedzińca zamyka wysoki mur z szeroką bramą wjazdową. Wnętrze więzienia robi niesamowite wrażenie. Pomimo pełnionej w przeszłości funkcji, korytarze są jasne, bo usytuowane od strony zewnętrznej budynków i mają duże okna skierowane w stronę ulicy bądź sąsiednich posesji. Wieloosobowe cele znajdujące się od strony wewnętrznego dziedzińca są ciemniejsze, z małymi oknami umieszczonymi wysoko od podłogi. Każdą z cel zamykają oryginalne, masywne drzwi z metalowymi okuciami. Same cele są obszerne o regularnych kształtach, słabo doświetlone, łatwe do adaptacji na różne działania. Dawniej w jednym z budynków na drugim piętrze znajdowała się kaplica. Jest to widoczne od strony wewnętrznego dziedzińca, gdzie widać większe okna przesklepione w nadprożach. Ogrom obiektu to wielki potencjał i możliwości wystawiennicze. W chwili obecnej trwa remont budynków, a udostępniona do zwiedzania jest tylko część parteru. Stała ekspozycja obrazuje historię Janowa od 1640 r. do zakończenia II wojny światowej oraz włókiennictwo i tkactwo na terenie Ziemi Janowskiej. W dniu zwiedzania muzeum po aktualnej ekspozycji, jak i całym budynku muzeum, dawnego więzienia, oprowadzała i opowiadała jego dyrektor, Justyna Flis.

Prawdziwą gratką w tym dniu było zwiedzanie prywatnego Muzeum Fotografii, prowadzonego przez Antoniego Florczaka. Zajmuje ono pomieszczenia pierwszego piętra kamienicy położonej blisko rynku, przy ul. J. Zamoyskiego. Miejsce magiczne, pełne tajemniczości i nieskrywanego uroku. Mające swoją przedziwną aurę czegoś

nieuchwytnego i przemijającego, a jednocześnie pokazujące, że te ulotne wrażenia jesteśmy w stanie zapisać i zatrzymać – właśnie za pomocą fotografii. Pomieszczenia od podłogi po sufit zastawione i zawieszono eksponatami, jakie zgromadził właściciel z wykształcenia inżynier, mistrz fotograf przy Izbie Rzemieślniczej w Lublinie, prowadzący od 1986 r. zakład fotograficzny mieszczący się w tej samej kamienicy. Kolekcja obejmuje oryginalne aparaty fotograficzne, poczynając od tych najstarszych, drewnianych, studyjnych poprzez mieszkowe, prawie wszystkie modele aparatów polskich, na kamerach i projektorach kończąc. Możemy też oglądać stare negatywy i zdjęcia, zaczynając od dagerotypów, ferrotypów, ambrotypów aż do zdjęć współczesnych. A wszystko to w otoczeniu antycznych mebli, bibelotów, starych aparatów telefonicznych i patafonów. W tym wszystkim oczywiście niezrównany znawca i przewodnik po świecie fotografii – pan Antoni. Jego wiedza, umiejętność jej przekazywania, dowcip i serdeczność, potrafią zainteresować każdego, kto w tym miejscu się znajdzie. Opuszczając to muzeum myślę, że każdy zabierał ze sobą część tej tajemnicy i magii ukrytej w zwykłym, niezwykłym zdjęciu.

Główny punkt programu kolejnego dnia sesji we wtorek, 9 lipca to wycieczka do Zamościa. Po drodze przejazd przez Roztocze i Roztoczański Park Narodowy. Pierwsze moje skojarzenia z tym miejscem to czytana w szkole podstawowej książka Marii Kownackiej „Rogaś z Doliny Roztoki”. Ale oprócz skojarzeń były przepiękne krajobrazy widoczne z okien autobusu. Falowanie terenu, las i bujna zieleń dookoła, pola poprzecinane miedzami, niebieskie niebo i słońce, pozostawiały niezapomniane wrażenia. Pierwszy przystanek przed Zamościem to Bondyż i prywatne Muzeum Armii Krajowej okręg Zamość. Muzeum zostało założone przez byłego żołnierza AK Jana Sitka w 1972 r. W 2018 r. podjęto decyzję o przeprowadzeniu generalnego remontu budynku z dobudowaniem nowego skrzydła i nowym zagospodarowaniem otoczenia muzeum. Jednocześnie zmodernizowano i rozbudowano część ekspozycyjną, wprowadzając techniki multimedialne i wyeksponowano muzealia, wykorzystując do tego nowoczesne środki plastyczne. W trakcie zwiedzania wystaw z kustoszem tego muzeum dało się zauważyć, że ekspozycja jest bardzo przejrzysta, czytelna i przedstawiona bardzo atrakcyjnie. Nowoczesne wyposażenie jeszcze bardziej podnosiło wartość oglądanych eksponatów, które też przeszły konserwację. W części dobudowanej znalazły się obiekty gromadzone przez założyciela muzeum, pana Jana Sitka, obejmujące 12 tysięcy skamielin i zabytków archeologicznych. W przestronnych pomieszczeniach i oszklonych gablotach można oglądać, tematycznie i chronologicznie uporządkowane, zbiory archeologiczne, głównie materiały krzemienne i kamienne, od okresu późnego paleolitu, neolitu, epoki brązu aż po czas średniowiecza. Znaczną część wystawy obejmują zebrane w dużych ilościach skamieliny, mające od 70 do 15 mln lat, w tym odciski małż, ślimaków, kopalnych jeżowców i ostryg, łusek ryby, a także duże fragmenty skamieniałego drewna. Liczba zgromadzonych artefaktów, ich jakość i wartość historyczna, a także sposób prezentacji powodują to, że opuszczając to miejsce czujemy ogromny szacunek i wdzięczność do człowieka z ogromną pasją, który mimo wielu przeciwności losu, doprowadził do powstania tego muzeum, a także tych, którzy to dzieło kontynuują.

Po takim wstępie dalsza podróż jeszcze bardziej pobudzała wyobraźnię co do kolejnego punktu wycieczki. W Zamościu byłem bardzo dawno, moje wspomnienia były mgliste. Pamiętałem rynek, ratusz, a przede wszystkim wnętrze katedry. Wiem, że zrobiła na mnie ogromne wrażenie, które pozostało do dzisiaj. Bardziej utrwalone zostały te obrazy poprzez oglądane zdjęcia, albumy czy filmy. I teraz nadarzała się okazja konfrontacji moich, zapisanych w pamięci, wspomnień z rzeczywistością. Sam byłem tego ciekaw.

Autobus, którym jechaliśmy, zatrzymał się po stronie południowej miasta, przy ulicy Droga Męczenników Rotundy, pomiędzy II i III bastionem obronnym. Piękna słoneczna pogoda, prawie bezchmurne niebo i zza szaniców wylaniają się potężne, czerwone mury twierdzy. Na prawo, aż do fragmentu bastionu I i na lewo do bastionu III ceglana ściana poprzedzona suchą fosą. Aby dostać się poza obręb tych murów, należało przejść po drewnianym moście do Bramy Szczebrzeskiej. Po jej przekroczeniu pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to białe ściany Katedry Zmartwychwstania Pańskiego i Tomasza Apostoła, a więc tego obrazu, który najbardziej utkwił w mojej pamięci z wycieczki sprzed kilkudziesięciu lat. Omijając katedrę i dzwonicę dotarliśmy do rynku. Byliśmy przed czasem do spotkania z przewodnikiem i zwiedzania miasta, więc każdy z nas mógł go zagospodarować na swój sposób.

Chcąc jak najwięcej zobaczyć, wybrałem się na samodzielną wycieczkę, zaczynając od Pałacu Zamoyskich. Pierwsze co zaskakuje, to ogrom założenia pałacowo-parkowego. Imponujący korpus główny rezydencji góruje nad otoczeniem, a boki placu przed pałacem, dawniej dziedzińcem paradnym, zamykają duże oficyny. Pałac był wielokrotnie przebudowywany, stąd jego dzisiejszy wygląd nieco odbiega od pierwotnej wersji wzniesionej w latach 1579–1586, według projektu Bernarda Moranda. Mimo to robi ogromne wrażenie swoją wielkością, sposobem zagospodarowania dużej przestrzeni oraz powiązania z miastem. Dziedziniec główny przed pałacem równa się prawie wielkości Rynku Wielkiego w Zamościu. Przed pałacem, na jego głównej osi widokowej przedłużonej na z ul. Grodzką, która dzieli symetrycznie miasto na pół, stoi spiżowy, konny pomnik Jana Zamojskiego, założyciela miasta. Dzieło prof. Mariana Koniecznego ma wysokość 10 m i stanowi dominantę w obrębie dziedzińca paradnego przed pałacem, podnosząc jego rangę, dodając mu prestiżu, tej potęgi jaką, w sposób nieuchwytny, czujemy dookoła.

Będąc obok pomnika nie sposób przeoczyć ogromnego biało-czerwonego obiektu znajdującego się na obrzeżach terenów zabudowanych w zachodniej części miasta, a niemal przylegających do jednej z pałacowych oficyn. Jest to Akademia Zamojska, której otwarcie odbyło się w 1595 r. Była to pierwsza prywatna, a trzecia jako taka uczelnia w Rzeczypospolitej (po krakowskiej i wileńskiej). Po przebudowach w okresie baroku, a przede wszystkim w I połowie XIX wieku, oglądamy inny budynek niż pierwotna wersja. Jednak zachowana forma, jej wielkość i niemal identyczne wymiary każdego boku zespołu uczelni robią wrażenie i budzą podziw dla założyciela i jego dalekowzrocznych planów. Nie tylko obronność, majestat, ale i wiedza, a może przede wszystkim wiedza jako klucz do potęgi stanowiła jego credo życiowe.

Tuż za gmachem Akademii, mijając Rynek Solny, trafiłem na ukryty w zieleni kościół św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Niewielki, ale jakże urokliwy, ustawiony szczytem do ulicy o renesansowej architekturze. Wewnątrz bardzo rozświetlony, jednonawowy ze sklepieniem kolebkowym z lunetami, z drewnianym wyposażeniem pochodzącym z I połowy XX wieku, stąd możemy znaleźć tutaj wiele odwołań do stylu *art deco* i obrazem z XVIII w., św. Katarzyny przed Madonną z Dzieciątkiem w ołtarzu głównym.

Idąc dalej i przechodząc obok Nowej Bramy Lubelskiej mogłem podziwiać Zamość od strony północnej. Tutaj można zobaczyć i w pełni docenić ogrom prac, jakie były wykonane w XVI w. w związku z budową miasta i jego murów obronnych tworzących olbrzymich rozmiarów twierdzę. Jan Zamoyski, materializując swoje marzenie miasta idealnego, wraz z architektem Bernardo Morando założył, że musi ono być funkcjonalne, bezpieczne, przyjazne mieszkańcom i piękne. Dzisiaj można sprawdzić, że tak jest i zachwyt nad jego pięknem jest w pełni uzasadniony.

Oczywiście wizytówką Zamościa jest jego Rynek Wielki i ratusz, który wszystkich zachwyca. Rynek to idealny kwadrat o boku 100 m zabudowany z czterech stron kamienicami o takiej samej wysokości. Kamienice mają podcienia, które były traktowane jako powierzchnie handlowe i wszystkie pierwotnie miały attyki. Po wielu zmianach, w ciągu wieków, dzisiaj pozostały one jedynie na ratuszu, kamieniczkach Ormiańskich i kamienicy Dimitra Greka. Wchodząc na płytę rynku, mimo woli w pierwszej kolejności kierujemy wzrok na kamieniczki ormiańskie. Ich różna architektura, zachowane attyki, rozliczne sztukaterie i zastosowane kolory powodują to, że nie można przejść obok nich obojętnie. Mimo różnorodności kolorystycznej elewacji kamienic, zachowana ich jednorodność architektoniczna tworzy ład i porządek tego miejsca, zachęca, by zwolnić, zatrzymać się i poddać się jego urokowi. Jedyny mankament to brak jakiegokolwiek zieleni. Parasole tego nie zastąpią. Umiejętnie wkomponowana zieleń, która kiedyś tutaj była, stanowiłaby dodatkowy atut podnoszący wartość tej przestrzeni. Na tym uporządkowanym tle wyróżnia się monumentalna bryła ratusza. Po wielu przebudowach dzisiaj oglądamy manierystyczno-barokową, idealnie symetryczną budowlę ze strzelistą wieżą przykrytą miedzianym hełmem. Szczególną uwagę przyciągają wachlarzowe schody zabiegowe, łączące poziom rynku z wejściem głównym do ratusza, znajdującym się na pierwszym piętrze. To miejsce, gdzie konieczne należy zrobić sobie zdjęcie. Fragment ratusza, jak i schody wejściowe, są wysunięte w kierunku rynku, w stosunku do linii zabudowy kamienic. To jeszcze bardziej podkreśla wagę i znaczenie tego obiektu w stosunku do pozostałej zabudowy.

Na drodze moich wędrówek znalazło się Muzeum Zamojskie zlokalizowane w kamienicach ormiańskich. Klimatyczne wnętrza kamienic, ich bogata historia to idealne miejsce, aby uciec od zgiełku miasta i upału jaki w tym dniu panował. Na parterze i w kilku salach na piętrze prezentowane są pamiątki związane z Zamościem, rodziną Zamoyskich i Ordynacją Zamojskich. Przepiękne stare meble, gobeliny, obrazy, przedmioty codziennego użytku, rzeźby i zbroje przenoszą w czasy minionie, urzekając swoim pięknem, wyrafinowaniem i pokazują kunszt oraz ogrom

pracy, jaki był potrzebny do ich wytworzenia. W galerii malarstwa historycznego i sakralnego, w pięknej renesansowej sali z drewnianym, belkowym stropem, zwraca uwagę olbrzymich rozmiarów obraz namalowany w 1896 r. przez austriackiego malarza Georga Fischhofa. Ciekawostką jest to, że jest to kopia obrazu Jana Matejki, a nosi nazwę „Rejtan według Matejki”. W części jest wierną kopią (skrajne fragmenty płótna), w części własną kompozycją malarza, obejmującą środek obrazu. Robi to niesamowite wrażenie przy porównaniu z oryginałem. Zdjęcie oryginału obrazu Jana Matejki znajduje się obok prezentowanego płótna.

Dopelnieniem wizyty w muzeum była wystawa czasowa pt. „Cztery pory roku: malarstwo polskie przelomu XIX i XX wieku”. Niesamowite 53 obrazy, głównie pejzaże i sceny rodzajowe, pokazujące piękno przyrody. Prezentowane dzieła, pochodzące z kolekcji Muzeum Okręgowego w Lesznie, można było podziwiać w Zamościu. Cykliczność pór roku, upływ czasu, różnorodność barw, związek człowieka z przyrodą to wszystko znalazło się na tych płótnach. Za pomocą formy i barwy artyści starali się oddać to co nas zachwyca, obserwując zmieniającą się w ciągu roku przyrodę. Subtelne kolory pojawiające się wiosną z dużą ilością bieli i żółtego, które latem zmieniają się w jasne złoto, mocną zieleń i czerwień, a jesienią mienia się odcieniami pomarańczowego i brązów, aby zimą przykryć całość białym calunem. Piękne przeżycia i piękne podsumowanie wizyty w muzeum.

W dalszej części wycieczki, już z przewodnikiem, poznawaliśmy historię miasta i odkrywaliśmy tajemnice poszczególnych jego fragmentów. Na zakończenie spaceru było zwiedzanie katedry, jednej ze wspanialszych polskich świątyń, która była budowana jako wotum dziękczynienia hetmana za jego liczne zwycięstwa. Katedra, z zewnątrz biała, masywna, typu bazylikowego, z bardzo wysoką nawą główną, której rozrzeźbiona elewacja przyciąga uwagę każdego, kto znajdzie się w tej części miasta. Co ciekawe, jej powierzchnia zabudowy jest w określonych proporcjach do powierzchni Zamościa. Taki był zamysł projektanta Bernardo Morando. Wewnątrz zaskakuje smukłością nawy głównej o wysokości 20 m, przykrytej rzeźbionym sklepieniem kolebkowym z lunetami, przestronnością i jasnością całego pomieszczenia. Nawy boczne mają również podobne w charakterze sklepienia kolebkowe i bardzo wysokie okna w ścianach podłużnych świątyni. Kolorystyka całego wnętrza dwukolorowa, można powiedzieć skromna, dominuje biel z dodatkiem odcieni brązów. Widzimy to w rysunku sztukaterii sklepień nad nawami, mocno wysuniętym gzymsem, przesklepieniach pomiędzy filarami, bazach pilastrów nawy głównej czy wystroju prospektu organowego. Marmurowa posadzka w odcieniach brązu oraz barokowe wyposażenie kościoła dopełniają całości, potęgując wrażenie harmonii, powagi i dostojności tego miejsca. Na uwagę zasługuje także prezbiterium, jak rzadko, mimo swojej długości jest bardzo jasne. Efekt uzyskano poprzez wprowadzenie czterech dużych okien, w tym dwa z nich wkomponowane zostały w barokowy, bardzo bogato rzeźbiony, ołtarz główny. Całości dopełnia stojące na ołtarzu rokokowe, srebrne tabernakulum wykonane przez złotników wrocławskich. Nie sposób nie zwrócić uwagi na jedną z kaplic, a jest ich w kolegiacie osiem, kaplicę Zamoyskich z płytą nagrobną Jana Zamoyskiego i nagrobkiem Tomasza Zamoyskiego wykon-

nym z białego marmuru. Pod posadzką tej kaplicy znajdują się krypty ordynackie Zamoyskich, z wejściem do nich od strony kościoła. Sama kaplica bardzo jasna, pełna dzieł sztuki, została przykryta biało niebieskim sklepieniem, które zdobią wspinalne barokowe sztukaterie z 1635 r. autorstwa Jana Baptysty Falconiego.

Środa, 10 lipca to kolejny dzień sesyjny i kolejna wycieczka. Tym razem w programie znalazł się Łańcut, z jego główną atrakcją, jaką bez wątpienia jest pałac Potockich. Zwiedzanie pałacu jest możliwe jedynie z przewodnikiem, dlatego należy być przed wyznaczoną godziną wejścia do obiektu. Byliśmy wcześniej, pojawił się czas wolny, który należało zagospodarować. W Łańcucie byłem dwa razy, ale bardzo, bardzo dawno. Z pierwszego pobytu pamiętam możliwość obejrzenia niektórych pomieszczeń parteru, w tym szczególnie gabinetu ordynata, z zielonkawą sofą i fotelami, które miały poduszki wypełnione ponoć labędzim puchem. Tyle szczególnie utkwilo w mojej pamięci, oprócz oczywiście sal głównych pierwszego pietra.

Dzisiejszy pałac to dawna rezydencja wybudowana w latach 1629–1642 typu „palazzo in fortezza”, gdzie budynek mieszkalny został otoczony fortyfikacjami bastionowymi i fosą. Po licznych przebudowach jest to dzisiaj zespół pałacowo-parkowy, gdzie najważniejsze obiekty znajdują się w obrębie dawnej fosy, dzisiaj suchej. Oprócz pałacu, znajduje się tu dawna oranżeria, eksedra z posagiem Diany, ogród różany czy ogród włoski z dużą liczbą rzeźb.

Dostęp do budynku muzeum prowadzi przez most od strony zachodniej pałacu, którego strzeże obsługa muzeum i należy czekać na swoją kolejkę. Postanowilem więc zwiedzić park zamkowy z jego atrakcjami: fontanną z brązową rzeźbą chłopca z wężem, pergolą i kortem tenisowym oraz storczykarnią. Spacerując alejkami parku, w tym XVIII-wieczną aleją obsadzoną lipami, można było podziwiać Zameczek Romantyczny, usytuowany na obrzeżach założenia parkowego, a także rozległe polany i zaprojektowane osie widokowe podnoszące walory krajobrazowe całego założenia. Przez przypadek trafiłem na moment jak alejkami parku przejeżdżał czarny powóz, prawdopodobnie typu Barouche, zaprzęgnięty w dwa siwej maści konie. Później sam powóz jak i konie mogliśmy oglądać w pałacowej powozowni.

Nadszedł moment naszej wizyty w pałacu i odbycia niezapomnianej wycieczki śladami minionego czasu. Zwiedzaliśmy jedynie jedną trasę – pomieszczenia reprezentacyjne pierwszego pietra, „piano nobile”, a szkoda! Ale zachowany wystrój wnętrza, ich wyposażenie, niektóre miejsca w półmroku, z odpowiednim podświetleniem, inne jasne, bogactwo i przepych widoczny w każdym detalu, indywidualna historia każdego obiektu muzealnego, budzą podziw i szacunek dla tego miejsca, pozostawiając bardzo piękne wspomnienia. Różnorodny wystrój poszczególnych komnat, w zależności od przeznaczenia, zastosowane polichromie, sztukaterie, boazerie czy tkaniny na ścianach, drewniane parkiety czy marmurowe posadzki, szczególnie dobrane meble, niezliczone obrazy, rzeźby i cudeńka z porcelany przyprawiały o zawrót głowy. Klatką główną pałacu weszliśmy na pierwsze piętro, aby korytarzami dotrzeć do jadalni zimowej. Dalej, przechodząc przez pomieszczenia o różnych funkcjach, w tym sypialnie i łazienki właścicieli, znaleźliśmy się w pokoju stołowym z pięknie nakrytym dużym owalnym stołem. Kolejne dwie sale to największe po-

mieszczenia pałacu. Pierwsza z nich to sala balowa, a następna to wielka jadalnia. Duże wrażenie robi dwukondygnacyjna sala balowa, w biało-pomarańczowej kolorystyce, z polichromią na stropie, na którym namalowano niebo, oraz dużą ilością sztukaterii w stylu klasycystycznym w gzymsie międzykondygnacyjnym i fasetach obiegających dookoła pomieszczenie. Wielka jadalnia, wprowadzie jednokondygnacyjna, wykonana w podobnym stylu, jak sala balowa, zachwyca niesamowicie kolorowym parkietem i olbrzymim stołem. Całości dopełniają kominki z usytuowanymi powyżej lustrami i marmurowe rzeźby. Trasę kończy galeria z kolekcją starożytnych rzeźb, włoskiej majoliki i różnorodnych antycznych naczyń. W sali narożnej z kolumnami podziwiać można marmurowy posąg młodego Henryka Lubomirskiego, autorstwa włoskiego rzeźbiarza Antonio Canovy. Jeszcze tylko apartament chiński z lat 80. XVIII wieku, z zachowaną pierwotną polichromią oraz pełnym wyposażeniem, zejście na parter do wielkiej sieni i wycieczka dobiegła końca.

Kolejne kroki skierowaliśmy do jednej ze znaczniejszych w świecie powozowni, z ogromną kolekcją pojazdów konnych. Budynek obecnych stajni i wozowni wzniesiono w 1892 r. w stylu nawiązującym do francuskiego baroku. Na osi budynku znajduje się wielki hol doświetlony od góry świetlikiem. Za holem usytuowano wielką paradną szorownię, w której prezentowane są wspaniałe komplety uprzęży oraz akcesoria jeździeckie. Po lewej i prawej stronie holu umieszczono stajnie dla koni z korytarzem środkowym, na końcu którego znajdują się drzwi gospodarcze prowadzące na zewnątrz. Po jednej i drugiej stronie korytarza widzimy zamykane boksy dla koni. Wszystkie pomieszczenia bardzo jasne, dobrze doświetlone.

Tuż za stajnią, w 1902 r. wybudowano powozownię. Większą jej część zajmuje hala zaprzęgowa, wyłożona kamienną i drewnianą kostką, doświetlona szeregiem świetlików usytuowanych w połaciach dachowych. Na ścianach tego pomieszczenia prezentowana jest kolekcja licznych trofeów myśliwskich. Pochodzą one przede wszystkim z wielkiego safari w Sudanie z 1924 r. Na jednej ze ścian wisi także większych rozmiarów obraz Wojciecha Kossaka, przedstawiający amazonkę z koniem. Na wprost bramy wjazdowej do hali zaprzęgowej znajdują się dwa pomieszczenia, jedno w którym prezentowane są akcesoria podróżne i ubiory służby, drugie mieszczące kolekcję uprzęży dla koni. Wejścia po lewej i prawej stronie hali prowadzą do właściwych pomieszczeń, w których znajdują się kolekcje pojazdów konnych. Po lewej stronie Powozownia Czarna mieści pojazdy ceremonialne, paradne oraz służące do podróży i jazdy po mieście. Do lakierowania tych pojazdów używano najczęściej czarnego lakieru, stąd nazwa tej kolekcji. Po prawej stronie – Powozownia Żółta, od koloru naturalnego drewna służącego do wykonania pojazdów, używanych do spacerów, przejażdżek po okolicy, polowań i w celach gospodarczych. Zarówno jedna jak druga kolekcja jest bardzo bogata co do liczby i jakości zgromadzonych zabytków. Wszystkie są z epoki, prezentują najlepsze firmy europejskie, są świadkiem dziejów zatrzymanym w czasie.

W drodze powrotnej do Janowa Lubelskiego kolejna niespodzianka – wizyta w Parku Rekreacji Zoom Natury. Olbrzymi (powierzchnia ponad 10 ha), naturalny obszar, położony nad Zalewem Janowskim, w otulinie Lasów Janowskich, znajdująca

cy się w bezpośrednim sąsiedztwie miasta. Jest to jedno z ciekawszych i nowoczesnych centrów edukacji aktywnej. Oferuje cztery laboratoria dla ciekawskich i żądnych wiedzy, park linowy dla lubiących emocje, park kreatywny dla tych, którzy lubią sprawdzać swoje możliwości, *escape room* dla szukających niezapomnianych wrażeń, wypożyczalnię sprzętu wodnego dla szukających relaksu i odpoczynku oraz noclegi na wyspie i punkty gastronomiczne. Prezes Beata Staszewska bardzo ciekawie i zwięźle prezentowała zasady funkcjonowania centrum oraz możliwości poznawania otaczającego świata poprzez doświadczenia i eksperymenty. Jest to jedyne w swoim rodzaju, piękne miejsce z wodą, piaszczystymi plażami, sosnowym lasem, gdzie w pełnym kontakcie z naturą możemy doznać niezapomnianych wrażeń, przeżyć wspaniale przygody i doświadczyć niespodzianek, a jednocześnie odkryć i zgłębić tajemnice przyrody.

Nieuchronnie zbliżał się czwartek 11 lipca, dzień zakończenia 47. Letniej Sesji TUL w Janowie Lubelskim. Kończył się tydzień dobrych dni, pełnych niezapomnianych wrażeń, pogaduszek przyjaciół, długich rozmów i dyskusji. Każdy z tych dni wypełniony był spotkaniami z ciekawymi ludźmi, wyjazdami w niesamowite miejsca, a także codziennymi warsztatami dla uczestników Sesji. Odbywały się one w trzech sekcjach: *nordic walking*, prowadzonej przez Marię Skakowską, motanek, którą prowadziła Elżbieta Gniazdowska i papierowej wikliny pod opieką Barbary Kapusty. Wybór grupy był dowolny, należało jedynie przestrzegać zasady podobnej liczby uczestników poszczególnych warsztatów. Wybrałem papierową wiklinę i w ciągu pięciu dni próbowałem zgłębić tajniki wyplatania przedmiotów z wikliny, w tym przypadku z wcześniej przygotowanych papierowych jej odpowiedników. Najprostsza rzecz, jaką daje się wykonać w tej technice to koszyk i z tym walczyłem od początku do końca warsztatów. Efekt przeszedł moje oczekiwania, koszyk był jak prawdziwy! Okazało się, że olbrzymia znajomość rzeczy, umiejętność przekazywania wiedzy a także niezwykła serdeczność i bezpośredniość prowadzącej naszą grupę Basi Kapusty czyniły cuda. Nie tylko ja, ale i pozostali członkowie zespołu dokonali takiego samego wyczynu. A efekty osiągnąć, wszystkich grup warsztatowych, mogliśmy podziwiać właśnie w czwartek, przedostatnim dniu sesyjnego spotkania, w trakcie prezentacji dorobku. Wszyscy uczestnicy pokazali swoje, tak indywidualne jak i grupowe, dokonania ciesząc się z tego, że dotrwali do końca, że przeżyli tak wiele wspaniałych chwil, które pozostaną na długo w pamięci.

A wszystko to dzięki niezwyklej determinacji, ogromnemu wysiłkowi zarówno fizycznemu jak i intelektualnemu, pasji, serdeczności i ogromnej życzliwości organizatorów tego spotkania – Jadwidze i Tomaszowi Pietrasom. Wielkie podziękowania za tak świetnie przygotowane i przeprowadzone wydarzenie, pełne ciekawych momentów, ludzi i zdarzeń, przebiegające w milej i przyjaznej atmosferze. Pozostaje wrażenie, że dokonało się coś ważnego, coś z niesamowitą pozytywną aurą, dające każdemu z uczestników motywację do pozytywnego myślenia i działania w swoim środowisku.

Wszystko dobre co się dobrze kończy. Wprawdzie żał, że już po wszystkim, ale piątek 12 lipca to dzień pożegnań i powrotu. Dla mnie to powtórka, tyle że w od-

wrotnej sekwencji: jady autobusem do Rzeszowa i pociągiem do Wrocławia. W międzyczasie, jak zakładałem, przerwa na dokończenie zwiedzania wybranych obiektów Rzeszowa. Tym razem dwa muzea: Muzeum Etnograficzne i Muzeum Regionalne w Rzeszowie. Pierwsze z nich znajduje się w starej kamienicy, zlokalizowanej przy rynku głównym miasta. Aby tam dotrzeć, należało przejść przez częściowo znany, a częściowo nowy fragment starego miasta. Po dotarciu na miejsce okazało się, że Rynek w Rzeszowie to przepiękne miejsce, przywołujące ducha miast kresowych. Usytuowany na wzniesieniu, czworobok o wymiarach 100×50 m, z niewielkim spadkiem w kierunku północno-wschodnim, mający zabudowę pierzei z trzech stron, otwarty w kierunku zachodnim. Zabudowa przyrynkowa to jednopiętrowe, rzadziej dwupiętrowe, różnokolorowe, kamieniczki powstałe w okresie XV-XIX wieku. Kamieniczki mają bardzo głębokie piwnice, które w części wykorzystywane są do zwiedzania jako trasa podziemna. Całość zrewitalizowana w ostatnim czasie prezentuje się bardzo okazale. Płyta rynku zachowała historyczny układ oraz zabytkowy bruk z kostki porfirowej. Na środku rynku stoi, odkryta ostatnio, zabytkowa studnia z kamienną cembrowiną i modrzewiowym pawilonem nad nią. Pawilon ma wielospadowy dach z latarnią. Nieopodal studni znajduje się pomnik Tadeusza Kościuszki. Pierzeję zachodnią zamyka przepiękny ratusz o neogotyckim i neorenesansowym wyglądzie, tutaj też powstał obiekt wejścia do podziemnej trasy turystycznej z całym zapleczem administracyjno-socjalnym.

Samo Muzeum Etnograficzne urzekło mnie klimatycznym wnętrzem, a także bogatą ekspozycją bardzo ciekawie zaprezentowaną. W stare, historyczne miejsce umiejętnie wkomponowano pewne elementy architektury wiejskiej, pokazując zbiory etnograficzne z regionu Rzeszowszczyzny. Dopelnieniem całości była wystawa czasowa, prezentowana w salach na parterze muzeum, pt. „Wytnij po Lasowiacku”. Od tradycji do inspiracji. Kilkadziesiąt wycinanek o różnej formie, sposobie wykonania i kolorystyce sprawiały niesamowite wrażenie, pokazując pomysłowość i wrażliwość autorek.

Kolejnym punktem było Muzeum Regionalne znajdujące się przy ul. 3 Maja. Przechodząc krętymi uliczkami starego miasta i mijając wieżę farną, usłyszałem melodię wygrywaną przez dzwony. Okazało się, że dzwony dzwonią jedynie przed wieczorną mszą św., a na południowy „Aniol Pański” zastępuje je wygrywana melodia. Niemniej jednak wrażenie niezwykłości i podniosłości chwili pozostało. Samo muzeum mieści się w dawnym klasztorze zakonu pijarów. Jest to jedna z trzech części zespołu klasztornego, wybudowanego w latach 1644–1649. Druga to dawna szkoła męska zakonu, aktualnie I Liceum Ogólnokształcące, przed którym stoi pomnik Stanisława Konarskiego, autorstwa Kazimierza Mierczyńskiego. W centrum zespołu klasztornego znajduje się kościół parafialny p.w. Św. Krzyża. Monumentalna fasada tej świątyni, pochodząca z przełomu XVII i XVIII wieku, góruje nad zabudową całej ulicy.

Siedziba muzeum to zabudowania klasztorne z barokowymi polichromiami w krużgankach parteru z pierwszej połowy XVIII wieku i unikatowym zespołem malowideł z końca XVII wieku w refektarzu klasztornym. Ekspozycja, którą zwie-

działem w tym dniu mieściła się właśnie w tych pomieszczeniach nadając specyficzną i niepowtarzalną atmosferę w odbiorze prezentowanych dzieł sztuki. Oglądałem dwie wystawy: malarstwa współczesnego Tomasza Boruta i galerię Dąbskich. Obie fantastyczne, obie niesamowite pomimo swej odmienności zarówno stylistycznej jak i czasowej.

Prof. Tomasz Borut jest artystą malarzem, teoretykiem sztuki, pracownikiem Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jego twórczość malarska mieści się w nurcie symbolizmu egzystencjalnego. Prezentowane dzieła to obrazy wielkoformatowe, zakupione do muzeum, pokazujące z jednej strony warsztat artysty, z drugiej jego stosunek do podjętych tematów związanych z problemami człowieka, szukania sensu życia i skutków tych poszukiwań.

Kolekcja Dąbskich została założona we Lwowie na przełomie XVIII i XIX wieku i składa się obecnie ze 163 obrazów powstałych między poł. XVI a początkiem XIX wieku oraz 39 barwnych sztychów. Dzisiaj stanowi główny trzon muzealnej galerii malarstwa europejskiego. Na prezentowanej wystawie, obok obrazów, znalazły się również meble, porcelana i przedmioty codziennego użytku. Całości dopełniały wnętrza, w jakich zostały pokazane. Tworzyło to razem niezapomniany obraz pełen zachwytów nad wspaniałością oglądanych artefaktów, ich kunsztem i precyzją wykonania, talentami twórców i nieprzemijalnością piękna.

Z powodu prowadzonych prac remontowych inne działy muzeum były zamknięte, stąd też moja wycieczka po pięknym Rzeszowie dobiegła końca. Wracać czas!

47. sesja letnia Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Janów Lubelski 2024 Spotkanie z „Jarzębiną” w Kocudzy Trzeciej

W poniedziałek, ósmego lipca 2024 r. z rana, zajechaliśmy do Kocudzy Trzeciej w gminie Dzwola. Przyjęła nas serdecznie prowadząca zespół „Jarzębina”, pani Irena Krawiec. Zespół działa pod jej kierunkiem od 1990 r. „Jarzębina” stała się sławna na całą Polskę dzięki przyspiewce „Ko-Ko Euro Spoko”, która stała się swoistym hymnem Mistrzostw Europy w pilce nożnej w 2012 r. Pani Irena zaprosiła nas do siebie kilka miesięcy wcześniej, gdy była na niezwykle udanej wiosennej biesiadzie TUL-u, kończącej łomżyńskie jubileusze.

Dom pani Ireny to po prostu wiejski ośrodek kultury, w którym izba pamięci pełni jednocześnie rolę sali widowiskowej. W oczekiwaniu na oficjalne rozpoczęcie spotkania (z udziałem wicestarosty janowskiego, sekretarza i skarbnika), obejrzelismy umieszczoną na ścianach i na planszach fotograficzną historię „Jarzębiny”. W izbie zgromadzono też dawne sprzęty domowe i gospodarskie. Jest tam na przykład ręczna maglownica. Pokazałam, jak ona działa naszej najmłodszej TUL-owiance. Jest skrzynia, komoda, stół i łóżko przykryte kolorową kapą, święte obrazy... Wszędzie mnóstwo ręcznie robionych ozdób i kwiatów. Trzydzieści kilka lat istnienia zespołu zaowocowało wielkim dorobkiem: dyplomami, odznaczeniami, medalami, nagrodami... Najwartościowsze to „Oskar Kolberg” i „Złote Baszty”, zdobyte w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, na Ogólnopolskich Festiwalach Kapel i Śpiewaków Ludowych.

Przyznam, że ze wzruszeniem wzięłam do ręki „Złotą Basztę”. Co roku słucham w Programie Drugim Polskiego Radia, w magazynie „Źródła”, transmisji z festiwalu. W tym roku był to już 58. festiwal. W Kocudzy osobiście odczułam, jak potrzebne i ważne jest publiczne uznanie tej dziedziny kultury polskiej oraz ludzi, tworzących tę kulturę.

Każde spotkanie wiejskie zaczyna się od powitania i przedstawienia obecnych, tj. od „witaczki”, jak mówi Zosia Kaczor-Jędrzycka. Na sali razem z nami byli przedstawiciele miejscowych władz, członkinie zespołu, starsi i młodszy mieszkańcy wsi. Zawsze na goszczących nas osobach wrażenie robią głośno wymieniane miejscowości, z których przyjechaliśmy na sesję Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych: Milicz, Śrem, Manieczki, Warszawa, Karwia, Supraśl, Rawa Mazowiecka, Zgierz, Szczawin, Łomża, Sława, Radoryż Smolany... Myślę, że dobrze zaprezentowaliśmy całą Polskę.

O próbach, występach, wyjazdach, repertuarze pani Irena wie wszystko. W oryginalnym stroju, barwnie i z humorem opowiadała nam o początkach zespołu, o swej działalności w Gminnym Ośrodku Kultury, o zbieraniu pieśni w terenie, o chętnie śpiewających dzieciach, o tradycji własnej rodziny, o miejscowych obyczajach codziennych i świątecznych. Wielopokoleniowe związki ludzi tworzących kulturę – oto, czym szczyti się wieś Kocudza. Usłyszeliśmy chór czterech pań seniorek w szaro-niebieskich sukniach i nakryciach głowy. Panie śpiewały silnym, białym głosem. Następnie wystąpiły „Wisienki,” dziewczynki w lnianych sukieneczkach z włosami ozdobionymi czerwonymi wstążeczkami. Jedna z „Wisienek” grała na skrzypcach. Był to istny koncert! Na uwagę zasługuje zwłaszcza śpiewająca w chórze mama pani Ireny. „Wyśpiewane 90 lat – Janina Oleszek” czytamy w „Gazecie Janowskiej” z czerwca 2024 r. Autorka artykułu, Dorota Kozdra, pisze: „Wraz z rodzicami i rodzeństwem żyła biednie, ale z jej domu – jak opowiada Pani Janina – zawsze dobiegały dźwięki skrzypiec i śpiewu. (...) Obdarzona talentem muzycznym chłonęła wszystkie zasłyszane pieśni: sieroce, obrzędowe, śpiewane przy pracy w polu i w domu, weselne i pogrzebowe, wielkopostne i adwentowe, ballady i kolysanki oraz gawędy, kołędy i pastoralki. (...) Bogata pamięć, mocny i czysty głos Pani Janiny sprawiły, że gdy powstał zespół „Jarzębina” (1990) bardzo chętnie zaangażowała się w jego pracę...”

Na zakończenie części pierwszej zobaczyliśmy jeszcze nakręcony ostatnio film dokumentalny, obrazujący gwarę gminy Dzwola. W gospodarstwach i domach kilku sołectw dzieją się scenki z życia codziennego z udziałem pani Ireny i jej sąsiadów – dzieci, młodzieży i seniorów. Film ten nie miał jeszcze oficjalnej premiery.

Część druga spotkania odbyła się w ogrodzie. Tu również były prezentowane zdjęcia mieszkańców Kocudzy. Na wystawie pt. „Zatrzymane w czasie” zdjęcia te dokumentowały przedwojenne uroczystości rodzinne, takie jak: chrzciny, śluby i wesela. Wystawa pt. „Wspomnienia dawnej Kocudzy” pokazywała np. zbiorową pielgrzymkę na Jasną Górę, święcenie pokarmów na Wielkanoc, procesję Bożego Ciała, orkiestrę dętą, budowę drogi do Kocudzy. Nie trzeba podkreślać, jak cenne są tego rodzaju pamiątki dawnego życia wspólnoty lokalnej oraz jaką mają wartość dla osób, które je zgromadziły, przechowują i udostępniają innym. Wystawom fotograficznym towarzyszył wspaniały poczęstunek. Długi stół zastawiony był tradycyjnym jedzeniem: wspaniały smalec do chleba i kiszone ogórki, pierogi z różnym farszem, miejscowe „grycaki” czyli placki z kaszy gryczanej, serniki, pierniki, ciasta drożdżowe, ciasteczka, napoje...

Program części plenerowej przewidywał warsztaty wokalne z akompaniamentem tzw. suki biłgorajskiej, prowadzone przez panią Irenę z udziałem pań z zespołu i „Wisienek”. Rozdano teksty pieśni pt. „Dobru jo meme miała”.

„Dobru jo meme miała,
Robić mi nie kozała.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Robić mi nie kozała.

Jeszcze lepszygo łojca,
Kozol mi iść do teńca.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Kozol mi iść do teńca.

Idźże córuniu, idźże,
Potańcuj se i przyjćze.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Potańcuj se i przyjćze.

Wrócę tatulu w nocy,
Odprowadzu mie chłopcy.
Oj ta dja dena (2 razy)
Odprowadzu mie chłopcy.

Chłopcy odprowadzili,
Wiunecka pozbawili.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Wiunecka pozbawili

Łoj, to tatulu to, to,
Mój wiunek upod w błoto.
Oj ta dja dena (2 razy)
Mój wiunek upod w błoto.

Łoj, łupod, łupod, łupod,
Łoj, łun kosztowol dukot.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Łoj, łun kosztowol dukot

A jo bym mogła przysiuc,
Ze łun kosztowol tysiuc.
Oj, ta dja dena (2 razy)
Ze len kosztowol tysiuc”.

Zatrzymajmy się chwilę na słowach tej piosenki. Prowokują one do pytań. Jaka jest cena panińskiego wianka? Ile „kosztowol” „wiunek”, co „upod” dziewczynie „w błoto”? Czy „dukot” czy „tysiuc”?

Przypomnijmy, że o wianku śpiewa się w większości piosenek ludowych, gdy mowa o sprawach męsko-damskich. Jednak po raz pierwszy w TUL-u śpiewaliśmy piosenkę nie o tym, że „wysokie płoty tato grodził,” albo „ojciec śpi, obudzi się bardzo zły,” albo piosenki, w których córka mówi: „okna nie otworzę, bo się mamy boję,” albo „kiej mi mama zakazała, bym z chłopcami nie godała, muszę się jej bać”. Tu

po raz pierwszy śpiewaliśmy o dobrej mamie, która córce nie „kozala robić” i jeszcze lepszym „łojcu,” który wysłał „córunię” na nocne tańce z chłopcami. Zatem poznana przez nas piosenka publicznie stwierdza, że bywają i tacy „dobrzy” rodzice. O wychowawczych (?) konsekwencjach ich postawy wobec córki, o kosztach wyliczonych w tysiącu dukatów, śpiewaliśmy na warsztatach wokalnych podczas pobytu w Kocudze.

Zaproponowaną nam piosenkę podchwyciliśmy od razu. W grupie czterech osób (w tym byłam i ja), spróbowałyśmy bez pomocy odtworzyć melodię. W nagrodę otrzymaliśmy płytę „Łoj, dolo moja dolo” (Zespół „Jarzębina” z Kocudzy i Przyjaciele, 2015). Warsztaty wokalne nie mogłyby się odbyć bez naszego TUL-owskiego śpiewu. Zaśpiewaliśmy „Płynie potok doliną” Franciszka Karpińskiego i wszyscy już razem „Hej z góry, góry jadą Mazury.” Jak był śpiew, to również musiał być i taniec. Podziwialiśmy w tańcu panią Irenę i jej wirującą, czerwoną spódnicę. Niektórzy z nas też nie dali się prosić. Do tańca przygrywał dwuosobowy zespół „Muzykantki”. Podobały się nam obie te dziewczyny i my się im też spodobałyśmy. Zagrały nam jeszcze w autobusie na pożegnanie.

Zakończenie pobytu odbyło się efektownie. Dziewczynki z „Wisienek” udekorowały TUL-owców zerwonymi sercami na bibulkowej zawieszce. Będziemy pamiętać przy tej okazji o „Roztoczańskim Stowarzyszeniu Miłośników Folkloru.” Zbiorową fotografię zrobił nam na pamiątkę Wojtek Lisek. Jakaż miła i trafna niespodzianka spotkała nas ostatniego dnia sesji w Janowie Lubelskim. Dostaliśmy to właśnie zbiorowe zdjęcie z Kocudzy jako pamiątkowy magnes. Codziennie oglądam na lodówce całą naszą grupę z „Jarzębiną” i „Wisienkami”. Już choćby za to należą się wielkie podziękowania Jadzi i Tomaszowi Pietrasom, którzy w Janowie Lubelskim przygotowywali naszą sesję.

P.S.

Kilka tygodni po powrocie z Janowa Lubelskiego, w dniu święta Wniebowzięcia Matki Boskiej, zwanego w Polsce świętem Matki Boskiej Zielnej, wysłuchałam w I programie Polskiego Radia pieśni maryjnej w wykonaniu zespołu z Kocudzy. Starodawna pieśń zaśpiewana w jedynej na świecie sposób przez panie z Kocudzy, odtworzona została w stałej audycji świątecznej pt. „Kiermasz pod kogutkiem.”

„Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie” w Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II w Toruniu

Po raz pierwszy sztuka pt. „Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie” została wystawiona z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Dokonała tego ostrowska grupa teatralna „Rzeczpospolita Apostolska”, według scenariusza i w reżyserii Sławomira Konarzewskiego. Ponownie tę sztukę wystawiono w dniach 9 i 10 marca 2024 r. w Toruniu, w Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II. Termin jej wystawienia ma związek z obchodami w Polsce Dnia Żołnierzy Wyklętych, który przypada 1 marca.

W dniu 1 marca 1951r. wykonano w więzieniu mokotowskim przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie wyrok śmierci na ostatnich przywódcach organizacji Wolność i Niezawisłość. Mianem żołnierzy wyklętych określa się tych bohaterów, którzy z bronią w ręku walczyli o prawo do samostanowienia, przeciwstawiali się sowieckiej agresji i siłą narzuconemu reżimowi komunistycznemu. Do takich żołnierzy zaliczany był rotmistrz Witold Pilecki, który został zamordowany strzałem w tył głowy 25 maja 1948 r. w więzieniu mokotowskim w Warszawie.

Chciałabym przypomnieć najważniejsze zasługi rotmistrza. Bohater urodził się w Wilnie i już w gimnazjum związany był z ruchem harcerskim, a pod koniec I wojny światowej wstąpił do oddziałów samoobrony, które na przełomie 1918 i 1919 r. przejęły władzę w mieście i broniły go przed bolszewikami. Brał też udział w wojnie polsko-bolszewickiej i bronił Warszawy.

Następnie wrócił do Wilna, skończył szkołę i wstąpił do Związku Bezpieczeństwa Kraju. Zrobił kurs w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. W Wilnie rozpoczął studia plastyczne, lecz trudna sytuacja materialna rodziny zmusiła go do przerwania nauki i zajęcia się majątkiem w Skurczach. Tam ułożył sobie życie osobiste, ożenił się w 1931 r. i doczekał się dwojga dzieci.

W sierpniu 1939 r. otrzymał powołanie do wojska, walczył z Niemcami pod Piotrkowem Trybunalskim, lecz 22 września jego dywizja została rozbita. Witold Pilecki przedostał się do Warszawy i tam współtworzył Tajną Armię Polską. Jako żołnierz tej organizacji chciał zdobyć materiały i informacje o zbrodniczych działaniach Niemców. Aby dostać się do obozu w Auschwitz, wszedł w tzw. „kocioł” podczas łapanek na Żoliborzu. Zmienił tożsamość i podając się za Tomasza Serafińskiego, w nocy z 20 na 21 września 1940 r. znalazł się w obozie, otrzymał numer 4859. W Auschwitz zorganizował Związek Organizacji Wojskowych, gromadząc głównie byłych żołnierzy, zbierał materiały wywiadowcze, które przekazywał przez

wypuszczanych na wolność więźniów. To właśnie on przygotował pierwszą tajną notę na temat ludobójstwa w Auschwitz.

Pilecki doprowadził również do porozumienia organizacji politycznych działających w Auschwitz, zorganizował symboliczne spotkanie wigilijne w 1941 r., w którym uczestniczył m.in. były poseł i działacz lewicowy, więzień brzeski, Stanisław Dubois, a także Jan Mosdorf, przywódca Obozu Radykalno-Narodowego. Wiosną 1943 r. Niemcy zaczęli rozpracowywać organizacje konspiracyjne w obozie, coraz więcej członków obozowego ruchu wpadało, więc zapadła decyzja o wywiezieniu „starych” skazańców w głąb Rzeszy. Zorganizowano ucieczkę w nocy z dnia 26 na 27 kwietnia 1943 r. Pilecki wraz z dwoma innymi więźniami dotarł do Wiśnicza, gdzie odnalazł prawdziwego Tomasza Serafińskiego, który skontaktował go z oddziałami Armii Krajowej.

W latach 1944–1945 służył w oddziale III Kedywu KG AK m.in. jako zastępca dowódcy Brygady Informacyjno-Wywiadowczej „Kameleon” – „Jeż”. Brał też udział w powstaniu warszawskim. W latach 1944–45 przebywał w niewoli niemieckiej, w oflagu VII A w Murnau, a po wyzwoleniu obozu dołączył do II Korpusu Polskiego we Włoszech. W październiku 1945 r., na osobisty rozkaz gen. Andersa wrócił do Polski i prowadził działalność wywiadowczą na temat sytuacji w Polsce, o żołnierzach AK i II Korpusu, więzionych w obozach NKWD i deportowanych do Rosji.

Kiedy w 1947 r. ogłoszono amnestię, nie chciał się ujawniać. Jednak 8 maja 1948 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, torturowany za działalność wywiadowczą na rzecz Rządu RP na emigracji. W dniu 3 marca 1948 r. przed Sądem Rejonowym Wojskowym w Warszawie rozpoczął się proces tzw. grupy Witolda. 15 marca 1948 r. został skazany na karę śmierci, a 25 maja tego roku wyrok wykonano. Zwłoki zakopano na wysypisku śmierci na tzw. łączce koło Cmentarza Powązkowskiego.

Witold Pilecki pobyt w więzieniu mokotowskim tak wspominał: „Oświęcim to była igraszka”. Do 1989 r. wszelkie informacje o rotmistrzu Pileckim podlegały cenzurze. W 1990 r. wyrok na rotmistrza Pileckiego został anulowany, a w 2006 r. został on pośmiertnie zrehabilitowany w 62. rocznicę powstania warszawskiego oraz odznaczony przez Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego.

Sztuka pt. „Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie” została wystawiona przez grupę teatralną „Rzeczpospolita Apostolska” z Ostrowi Mazowieckiej, przy udziale studentów Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. W sumie wystąpiło 20 aktorów. Autorem scenariusza jest Sławomir Konarzewski, znany TUL-owcom jako wielki miłośnik teatru, a reżyserem był Piotr Trentowski. Fabułę tej sztuki oparł na słynnym „Raporcie rotmistrza Pileckiego” z 1945 r. W tym dokumencie zawarł autor wstrząsające zapiski zbrodni w obozie koncentracyjnym i w więzieniu ubeckiej katedry na Mokotowie. Wydarzenie teatralne miało miejsce w dniach 9 i 10 marca 2024 r. w Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im św. Jana Pawła II w Toruniu.

Sławomir Konarzewski przywitał widzów, którzy zjechali się z całej Polski. Podkreślił, że spektakl „Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie” jest największą dumą Ostrowi

Mazowieckiej, skąd pochodzi jego żona, Maria Ostrowska. W tej miejscowości mieszkali przez kilka lat dzieci rotmistrza – Zofia i Andrzej Pileccy. Przeczytał również list od córki rotmistrza, która nie mogła uczestniczyć w spektaklu w Toruniu. Podkreśliła, że ojciec żył po to, aby pomagać innym i przypominała jego dokonania. Dla niej był wzorem i ideałem człowieka. Jest niezmiernie rada, że ludzie zjechali się na to przedstawienie z całej Polski, aby poznać życie, walkę i pracę dla ojczyzny jej ojca i tę prawdę zanieść do swoich domów, do całego świata...

Grupa inicjatywna z gmin: Miasteczko Krajeńskie, Kaczory i Białośliwie, a wśród nich TUL-owcy z Oddziału Regionalnego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w Pile z siedzibą w Brzostowie zorganizowała wyjazd na spektakl w dniu 10 marca br. Najpierw uczestniczyliśmy we mszy świętej w intencji ojczyzny w Sanktuarium NMP Gwiazdy Nowej Ewangelizacji, której przewodniczył ks. abp. Wacław Depo, metropolita częstochowski. Po mszy zabrzmiała „Litania Narodu Polskiego” w wykonaniu orkiestry kameralnej pod batutą Mateusza Wrzoska. Ta litania powstała w 1915 r., a napisał ją ksiądz Władysław Bandurski. Wykonanie jej przez orkiestrę było wspaniałą ucztą duchową, a kolejną – oczywiście widowisko „Rotmistrz Pilecki. Ofiarowanie”.

Przedstawienie trudnych i złożonych obrazów z życia w Auschwitz, a następnie ubeckiego więzienia – było wstrząsające! Ostatnia scena dramatu oświęcimskiego pokazuje, jak więźniowie duszą się dymem, który snuje się z pieców krematoryjnych i śwędem palonych ciał. Pozostalymi po nich prochami użyźniano pola i sady w pobliżu obozu. Ten dym doprowadzał więźniów niemal do szaleństwa. W sztuce zostaje przedstawiony ogrom zbrodni, zezwierżenie oprawców i tragizm więźniów, którzy chcą walki, powstania, proszą o pomoc, o zbombardowanie tego przeklętego miejsca, lecz proszą nadaremnie. Trzeba podkreślić, że najważniejsze było tu słowo, które miało przekazać istotę przeżyć Pileckiego. Sławek Konarzewski sięgnął do tradycji teatru wiciowego, w którym słowo było najważniejsze w przekazywaniu treści.

W scenach wystąpili: Jacek Stachacz, Tadeusz Trentowski, Janusz Świdorski, Kazimierz Szostak, Krzysztof Swaczyna, Edward Urbanowski, J. Michalski, Liliana Kološek, Krzysztof Brauer i inni. Zaśpiewano także elegię o rotmistrzu Pileckim do słów Marka Bożyszkowskiego, z muzyką Pawła Andruszkiewicza i w wykonaniu jego grupy. Scenografię wykonał K. Szostak.

W czasie przerwy rozglądałam się, czy zobaczę kogoś ze znajomych TUL-owców. Niestety, nie było nikogo, jedynie żona Sławka, Marysia, mignęła mi i zdążyłam ją zawołać, zrobiliśmy sobie pamiątkową fotografię.

25 maja 2024 r. przypadała 75. rocznica śmierci rotmistrza Witolda Pileckiego. Z tej okazji Telewizja Trwam wyemitowała ten spektakl. Kto nie był w teatrze, mógł dzięki temu go obejrzeć. Skierował on ważne przesłanie do każdego z nas i do przyszłych pokoleń, które zostało zawarte w słowach Witolda Pileckiego:

„Kochajcie ojczystą ziemię.
Kochajcie swoją świętą wiarę
I tradycję własnego narodu.
Wyrośnijcie na ludzi honoru,

Zawsze wierni uznanym przez siebie,
najwyższym wartościom, którym
trzeba służyć całym swoim życiem.”

Zdjęcia pochodzą z archiwum prywatnego autorki



Dlaczego trzeba zobaczyć Drohiczyn?

Wycieczki do różnych ciekawych miejsc, poznanie ich historii, dziejów i zabytków stanowi znakomite wzbogacenie spotkań, prelekcji oraz warsztatów w naszym Oddziale Regionalnym Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w Łomży. Dla przypomnienia wymienię tylko kilka z nich:

1. Plywaliśmy statkiem, podziwialiśmy uroki otoczonych zielonymi lasami mazurskich jezior, zwiedziliśmy Giżycko z pruską, obronną Twierdzą Boyen.
2. Przechadzaliśmy się po obronnych murach ciechanowskiego Zamku Książąt Mazowieckich (wewnętrzne budowle zamkowe rozebrali podczas okupacji Niemcy) gdzie, jak opisuje H. Sienkiewicz w powieści „Krzyżacy”, młody Zbyszko z Bogdańca w pojedynku zarąbał toporem Krzyżackiego mistrza Rodgiera.
3. Przemierzaliśmy leśne, przyrodnicze ścieżki, wśród drewnianych, zabytkowych budowli, poletek z różnymi gatunkami leczniczych ziół w tzw. „Zielonym Zakątku” w Korycinach na Podlasiu. Wielu uczestników wycieczki zakupiło sobie zestawy ziołowych herbatek, które warunkują dobre samopoczucie i ponoć budzą chęci bardziej romantycznych uciech!
4. Byliśmy w Opinogórze nieopodal Ciechanowa, w dawnej magnackiej posiadłości hrabiów Krasieńskich. W odrestaurowanym, stojącym w starym parku zamku mieści się obecnie Muzeum Romantyzmu.
5. Ostatnią wycieczką, która odbyła się w czerwcu 2024 r., był wyjazd do leżącego nad Bugiem, przy granicy z Mazowszem – Drohiczyzna.

Metryki tego najstarszego i najważniejszego na Podlasiu grodu sięgają XI wieku. Prawa miejskie otrzymał Drohiczyn w 1429 r., a 90 lat później został stolicą województwa podlaskiego. Nazwa Drohiczyn wywodzi się od ruskiego imienia Drogit, bądź Drohicz, a jego założycielem był prawdopodobnie kijowski książę Jarosław Mądry. Gród strzegł drogi wodnej, jaką stanowi rzeka Bug, a także szlaku handlowego z Rusi na Mazowsze. Również pełnił funkcje obronne przed napadami grabieżczych, dzikich Jaćwingów. Jako miasteczko na styku Litwy, Rusi i Korony znajdował się, w różnych wiekach, w granicach tych państw. Wiek XVI to okres największego rozwoju miasta. Był wówczas Drohiczyn ważnym ośrodkiem handlu, oświaty, kultury oraz ruchliwym portem rzeczny. W mieście były trzy kościoły, pięć cerkwi, cztery klasztory, szpital, szkoła oraz apteka.

Nie ominęły go jednak różne dziejowe klęski i kataklizmy. Największe zniszczenia i wyludnienia tego nadgranicznego grodu kroniki przypisują dwukrotnemu

(w 1240 r. i 1656 r.), najazdowi Tatarów, potopowi szwedzkiemu oraz sprzymierzonym ze Szwedami wojskom moskiewskim. Do tego pasma klęsk dodać należy trzy wielkie pożary miasta oraz zniszczenia w obu wojnach światowych.

Dziś są w Drohiczynie trzy katolickie kościoły, cerkiew i Wyższe Seminarium Duchowne. Od 1991 r. Drohiczyn jest siedzibą diecezji. W jego klasztornych murach mieści się Muzeum Diecezjalne z bezcennymi zbiorami ksiąg, starodruków, ornatów uszytych z pasów słuckich i pamiątek po papieżu Janie Pawle II.

Dużą atrakcją Drohiczyna jest nadbrzeżna wielce wyniosła Góra Zamkowa, z której rozciągają się dalekie widoki na przelom Bugu, okoliczne pola, lasy oraz budowle miasta. Warto również odwiedzić jedyne w Polsce muzeum kajaków, prezentujące wykonane z drewna, płótna, metalu i plastiku egzemplarze. Corocznie w Drohiczynie organizowany jest Ogólnopolski Splyw Kajakowy rzeką Bug, który gromadzi wielu amatorów. Przybysza uderza panująca tu jakoś dostojna cisza, spokój, niewielki ruch samochodowy, a nawet pieszy, jakże różny od pędu i hałasów większych miast. Z racji ciekawego położenia, zabytków i pamiątek można dziś mówić o liczącym około dwa tysiące mieszkańców miasteczku, jako o perle turystycznej w dolinie Bugu.

Po obejrzeniu drohiczyńskich osobliwości, spożyciu obiadu (na każdej wycieczce jadamy jakieś regionalne, nie zawsze najsmaczniejsze miejscowe potrawy), pobieżnym zwiedzeniu powiatowych Siemiatycz, przybywamy do Grabarki – Świętego Sanktuarium dla ludu prawosławia. Według jednej (z dwóch wersji) Sanktuarium utworzyli uciekający przed Tatarami mnisi. Druga wersja związana jest z epidemią cholery w 1710 r. Ludność Siemiatycz i okolic uciekała i kryła się po lasach, oczekując nadejścia chłodów oraz wygaśnięcia zarazy. To wtedy na górze Grabarce miała powstać kapliczka pod wezwaniem „Przemienienia Pańskiego”, a przebywający tu doznawali ochrony przed zarazą. Dziś na górze Grabarce znajdują się trzy cerkwie, jedyny w Polsce prawosławny żeński monastyr – klasztor, dom zakonny, dwa domy pielgrzymia i cmentarz.

Do zwiedzania udostępniania jest stojąca na szczycie góry cerkiew pod wezwaniem „Przemienienia Pańskiego”. Wiodą do niej schody wyłożone płaskim, polnym kamieniem. U stóp góry tryska źródelko i płynie strumyk źródlanej wody.

Przybywający tu pielgrzymi przynoszą ze sobą krzyże wotywne, które osadzają na zboczach góry. Jest tych krzyży ponad dziesięć tysięcy, a najstarsze mają ponad sto lat. Wedle powszechnej opinii, pielgrzymujący na Grabarkę mogą dostąpić pomocy w nieszczęściu i cierpieniach. Woda ze świętego źródelka i strumyczka przynosi ulgę w bólach i chorobach. Wielu naszych wycieczkowiczów obmywało się tą wodą, niektórzy (łącznie z piszącym te słowa) wypijali jej spory blaszany kubek, zapewne pragnąc wypłukać, wypędzić tkwiące w nich miazmaty niedobrych przypadłości!

Święta Góra Grabarka robi wielkie wrażenie. Szczególnie te tysiące krzyży, będących widocznym znakiem nieszczęścia i cierpienia, ale także wiary w poprawę ludzkiego losu!

Tak oczyszczeni i uduchowieni przystępujemy do realizacji trzeciego – jakże odmiennego od dwóch poprzednich – spotkania integracyjnego. Na stojące w wia-

cie „Pod Zagóbkim” drewniane stoły wjeżdżają różnorodne smakowitości. Są to: kielbasy, pieczone mięsiva, salatkki, pasztety i różnego rodzaju domowe wypieki. Wszystko to jest dziełem naszych zdolnych pań! Z wycieczkowych toreb wyskakują (pewnie uradowane, że wreszcie ujrzały światło dzienne i wesołe towarzystwo) butelczki wódek i nalewek – dla celów naukowych podaje, że były to miętówki, miódówki, ratafie, dereniówki i dębowa zlocista, o której znawcy powiadają, że trzeci kubek chłopa obala, a czwarty podnosi. Poleciały toasty, a było ich, oj było!

W naszej grupie wycieczkowej było tylko pięciu chłopów i to na nich spadał obowiązek przodowania w tym „zbożnym dziele”. Nasze panie też stanęły na wysokości zadania i dzielnie wspierały męską gromadkę!

Niestety! Wszystko, co przyjemne zbyt krótko trwa. Prezes Gabriela dała hasło odjazdu i wszyscy ruszyli. Nikogo jednak nie prowadzono pod ręce, a tym bardziej nie wkładano do autokaru. Po przejechaniu kilku kilometrów część bardziej „zintegrowanych” słodko zasnęła. Pozostali, w tym członkowie naszego zespołu „Ptasiory”, śpiewali sobie do samej Łomży!

Reasumując: wycieczki znakomicie wzbogacają program OR TUL i mają wielką siłę integracyjną grupy, dlatego są przez wszystkich tak cenione i lubiane!

Tekst opracowano na podstawie materiałów głównej organizatorki wycieczki Elżbiety Roszkowskiej i zapisków Teofila Grodzkiego.



Bug koło Drohiczyzna. Fot. J. Szenk



Góra Zamkowa w Drohiczyń. fot. J. Szenk



Krzyże ofiarne na Górze Grabarka. Fot. J. Szenk



Ornaty z pasów słuckich w Muzeum Diecezjalnym w Drohoczynie. Fot. J. Szenk



Piknik na zakończenie wycieczki. Fot. J. Szenk

Uniwersytet ludowy w Gminie Puck... pokłosiem działalności Związku Młodzieży Wiejskiej

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, iż niniejszy artykuł piszę z inspiracji koleżanki Aldony Czerwińskiej – prezes OR TUL w Gdańsku. Podczas ostatniego spotkania wigilijnego, które połączone było z jubileuszem działalności OR TUL miało miejsce podsumowanie pracy oddziału. Uznałem, że przygotowane na tę okoliczność Kalendarium wymaga z mojej strony uzupełnienia, stąd potrzeba napisania poniższego tekstu. Tak długa działalność zasługuje wszak na upamiętnienie. Szczerze mówiąc, od razu uruchomiły się we mnie wspomnienia i radosna nostalgia. Podzielić się bowiem tym, co było i jest bliskie memu sercu. Jak wskazuje powyższy tytuł, idea uniwersytetu ludowego w gminie Puck zrodziła się na bazie myśli ideowej i organizacyjnej Związku Młodzieży Wiejskiej. Podobnie jak w całej Polsce, organizacja młodzieżowa została reaktywowana na początku lat 80. ubiegłego stulecia. Stanowiły ją dwa koła: Werblinia i Starzyno. Jednakże swoje skrzydła rozwinęła w 1987 r. Pod moim nadzorem, jako instruktora ZMW w gminie, działało wtedy dziewięć kół: Miosroszyno, Łebcz, Starzyno, Starzyński Dwór, Werblinia, Zdrada, Bładzikowo, Rekowo Dolne i Darzłubie.

W działalności ZMW ważnym czynnikiem były więzi międzyludzkie i międzypokoleniowe, starano się o rozwój indywidualnych zainteresowań, dbano także o życie społeczne lokalnych środowisk. A wszystko w imię znanego hasła „Ojczyźnie. Wsi. Sobie”. W latach 1987–89 w kołach ZMW w gminie Puck postawiono przede wszystkim na działalność wychowawczą, społeczno-zdrowotną, kulturalno-oświatową, sportowo-rekreacyjną i turystyczną. Młodzież chętnie brała udział w tzw. czynach społecznych. W ten sposób przyczyniała się do upiększania wsi. Odnawiała obiekty publiczne, sprzątała cmentarze, czyściła zbiorniki wodne, oczyszczała okolice przystanków autobusowych, które niejednokrotnie też budowała. Młodzi ludzie wykonywali również prace porządkowe na boiskach i wokół remiz. ZMW organizował wiele imprez kulturalno-sportowych i konkursów. Włączył się między innymi w organizację Olimpiady Młodych Producentów Rolnych, Młodzieżowych Dożynek Wiejskich, majówek w plenerze, festynów i turniejów sportowych. Organizował spotkania z olimpijczykami, bale seniorów, zloty turystyczne, dyskoteki i zabawy. Członkowie ZMW uczestniczyli w kursach i szkoleniach, np. Organizatorów Turystyki Wiejskiej czy organizatorów życia kulturalnego na wsi. Wizytówką organizacji gminnej były Młodzieżowe Turnieje Wsi, które angażowały całe społeczeństwa wiejskie. W 1990 r. młodzi działacze z Łebcza wydali po raz pierwszy gazetkę „Na-

sza Wieś?”. Członkowie ZMW aktywnie współdziałali z klubami rolnika i wiejskimi domami kultury. A tam, gdzie ich nie było, organizowali życie kulturalne w szkołach i remizach. W Starzyńskim Dworze i Rekowice Dolnym, z powodu braku warunków do organizowania spotkań, młodzież zaadaptowała na te cele pomieszczenia „popegeerowskie” i „podworcowe”. Okres rozwoju ZMW zakończył się po przewrocie politycznym w 1990 r., choć koło w Łebczu jako ostatnie, przestało istnieć w 1995 r.

Organizacja ta, a właściwie jej szczytne idee, nie przestały jednak istnieć w... mojej głowie. Jako animator kultury w gminie Puck, w rodzinnej wsi Strzelno postanowiłem zorganizować Środowiskowy Uniwersytet Ludowy przy Wiejskim Domu Kultury im. ks. Anastazego Kręckiego w ramach OR TUL w Klaninie. A że tradycje kulturalne w moim środowisku są bardzo bogate, krąg najbliższych współpracowników wyraził zainteresowanie tą propozycją. Inauguracyjne zebranie odbyło się w lutym 1997 r. Do koła wstąpiło 14 członków. W spotkaniu TUL-owców ze Strzelna udział wzięli m.in.: Elżbieta Gniazdowska (Prezes OW TUL), Lidia Parchem (dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury, Sportu, Turystyki i Ochrony Przeciwopozarowej), ksiądz Bogdan Górecki (proboszcz parafii Strzelno). Wśród gości byli również przedstawiciele: szkoły, Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Koła Gospodyń Wiejskich i Ochotniczej Straży Pożarnej. Jako inicjator, zostałem wybrany na przewodniczącego ŚUL w Strzelnie. W słowie wstępnym powiedziałem m.in., iż celem uniwersytetu jest „rozwój człowieka”, a właściwie „ochrona człowieka”. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy ludzie zamykają się w kręgu „swoich” spraw, często przyziemnych, codziennych. A to niestety izoluje ludzi, rodzi niezrozumienie czy brak poszanowania jednych względem drugich. Dlatego w uniwersytecie ludowym chcielibyśmy poświęcić czas na refleksję, na głębsze podejście do problemów ludzkich, chcielibyśmy zwracać uwagę na to, co naprawdę istotne dla człowieka. Uniwersytety ludowe rozwijają tolerancję i poszanowanie dla innych – powiedziała E. Gniazdowska. Przyjmując z gruntu naturalistyczną filozofię. To znaczy, że człowiek – podobnie jak roślina – rozwija się wtedy, kiedy sięga zarówno głęboko do korzeni, jak i do światła. TUL-owcy w Strzelnie zgodnie orzekli, że chcą w dalszym ciągu kultywować i popularyzować tradycję swoich ojców oraz prowadzić edukację życiową.

A że najcenniejsze w życiu jest zdrowie, a znaczącym czynnikiem warunkującym je jest żywienie, pierwszym tematem spotkania było „Żywienie a zdrowie człowieka”. Wykład poprowadziła dr Bożena Zalewska-Hlond. Szkoleniu towarzyszyła wystawa książek i czasopism prozdrowotnych, a także bardzo miła atmosfera. Oprócz wskazówek żywieniowych nie zabrakło takich porad, jak w ogóle przeżyć, aby „być szczęśliwym” i żyć w zgodzie z samym z sobą, drugim człowiekiem czy przyrodą? Zgodnie z TUL-owską tradycją, spotkanie ubarwiło wspólne śpiewanie ludowych i kaszubskich piosenek. W duchu prozdrowotnego stylu życia odbyło się spotkanie z psycholog Ewą Kohnke, która przybliżyła zebranym temat „Jak przestać się martwić i zacząć żyć?”. Oczywiście zdrowie człowieka uzależnione jest od otoczenia przyrodniczego, które w znacznej mierze zależy... od człowieka. Była o tym mowa na spotkaniach o tematyce: „Jak możesz wpłynąć na środowisko wokół siebie?” oraz „Ekologia na co dzień”. Zdrowe życie człowieka warunkują również jego rela-

cje z otoczeniem społecznym. Ten problem przybliżyła TUL-owcom ze Strzelna Elżbieta Gniazdowska w pogadance na temat: „Doskonalenie człowieka w aspekcie jego funkcjonowania i bytowania w rodzinie, społeczeństwie i w ogóle środowisku materialnym” oraz „Wspólnota indywidualności”, czy „Rodzina przyjaciół”. A skoro mowa o życiu społecznym, TUL-owcy byli w 1997 r. gospodarzami pojedynku przedwyborczego do Sejmu RP pomiędzy Sławomirem Szatkowskim i Tadeuszem Hasse. Zbliżający się XXI wiek stał się przyczynkiem nowych wyzwań, otwierających społeczność lokalną na spotkanie ku rozwijającej się cywilizacji. Stąd uczestnictwo w kursach komputerowych w Klaninie, czy nauka języka angielskiego w Strzelnie. Współczesne wyzwania poprzepłatane były kultywowaniem tradycji. Przykład: reaktywacja zespołu folklorystycznego, występ „Gwiżdź” kaszubskich w czasie Wigilii TUL-owskiej w Klaninie oraz organizacja w 1998 r. jubileuszu setnej rocznicy obrzędu „Ścinania Kani” w Strzelnie. To świętojańskie widowisko cieszy się ogromnym zainteresowaniem społeczności lokalnej i turystów. Gośćmi uroczystości byli również m.in. TUL-owcy z całego kraju, przebywający na seminarium w Klaninie. Jak każda tradycja kaszubska, na oczach ludzi należy w dzień św. Jana publicznie ściąć to drapieżne ptaszysko, które – według wierzeń – jest przyczyną wszelkiego zła, panoszącego się w społeczności. Pomimo iż ptak został stracony, prawdopodobnie narodziło się nowe pisklą, które spowodowało, iż ŚUL w Strzelnie dokonał żywota jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Po kilku latach ponownie zadziałał pierwiastek ZMW. Sytuacja niespodziewana. Przy kasie Urzędu Gminy w Pucku spotkałem jesienią 2002 r. kolegę Tolka Dettlaffa – przewodniczącego ZMW w Starzynie z lat osiemdziesiątych. Zebrało nam się na wspomnienia z „tamtych” lat. Doszliśmy do wniosku, że musimy spotkać się w szerszym ZMW-owskim gronie. No i stało się. W styczniu 2003 r., w Wiejskim Klubie Kultury w Darzłubiu (tam, gdzie kiedyś działał ZMW) spotkali się byli członkowie tej organizacji. Z dziewięciu kół, działających kilkanaście lat temu w gminie Puck, przyjechali przedstawiciele siedmiu: Mieroszyna, Łebcza, Rekowa Dolnego, Starzyna, Starzyńskiego Dworu, Werblini i Darzłubia, zebrało się w sumie ponad 40 osób. W gronie organizatorów znaleźli się m.in.: Anatol Dettlaff i Romualda Tuszer (ze Starzyna), Jarosław Myszk i Danuta Funk (z Darzłubia) no i ja. Nie kryliśmy zadowolenia i swoistego szczęścia, że doszło do tak niecodziennej imprezy. Wartością bezcenną było odnowienie tamtych znajomości. A głównym celem – „ożywienie więzi koleżeńskich i ponowna integracja ludzi, którzy przed kilkunastu laty tworzyli ruch młodowiejski w gminie” – powiedziałem podczas powitania. Gościem specjalnym uroczystości był Jan Głowienka, który tworzył tutaj ZMW w latach sześćdziesiątych. Spotkanie odbyło się pod hasłem „ZMW jak za dawnych lat...”. Była więc wystawa „Nasze wspomnienia”, na której zaprezentowano najciekawsze zdjęcia i inne pamiątki z życia organizacji. Młodzież, tak jak kiedyś, bawiła się przy adapterze i świecach. Były wspólne tańce, rozpromienione twarze i wiele wspomnień. Podczas wspaniałej zabawy zrodziła się myśl o kontynuacji naszych wspólnych działań. Powiedzieliśmy sobie, że było to nasze pierwsze, ale nie ostatnie spotkanie jako byłych członków ZMW. Wspólnotowy klimat, poczucie swojskości

i serdeczności międzyludzkiej tylko wzmogły nasz apetyt, że „dalej musimy być razem”... Musimy uciekać od tego zwariowanego świata, gdzie liczą się tylko układy i wielkie pieniądze, a szukać wokół siebie tego, co nas łączy duchowo – to była główna myśl, która nam przyświecała. Około 20 osób postanowiło ziścić ją „praktycznie”. Droga od pomysłu do czynu nie była długa i po kilku próbach, spotkaniach i rozmowach grupy inicjatywnej doszło do ostatecznych rozwiązań. Aby działać, trzeba się stowarzyszyć i mieć nazwę adekwatną do tego, kim jesteśmy i w jakim kierunku ideowym pragniemy zmierzać. Gdy i ta trudność została pokonana, udaliśmy się z listem intencyjnym do Prezesa Oddziału Regionalnego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych z siedzibą w Klaninie, zawierającym prośbę o włączenie nas do grona tegoż Towarzystwa. Po otrzymaniu przychylniej odpowiedzi i sfinalizowaniu wszystkich działań, dnia 20 czerwca 2003 r. w Wiejskim Klubie Kultury w Darzłubiu odbyło się zebranie założycielskie naszej organizacji, czyli Środowiskowego Uniwersytetu Ludowego „Belôce”. Wybrano władze naszego stowarzyszenia. Prezesem został Anatol Dettlaff, wiceprezesem Brunon Ceszke, sekretarzem Witold Szuster, a skarbnikiem Romualda Tuszer. Członkami zarządu zostali: Maria Skwierz, Jarosław Myszk i Ryszard Miłosz, kronikarkami: Bożena Ceszke i Lucyna Roeske. Omówiono działania zawarte w statucie oraz zatwierdzono plan pracy do końca 2003 r. Ustalono, iż granicą wyznaczającą koniec jednego okresu działalności i jednocześnie rozpoczynającą kolejny, będzie spotkanie przy muzyce, czyli zabawa na początku roku. Po części organizacyjnej odbyło się seminarium zatytułowane „Uniwersytety Ludowe i ich rola w kształtowaniu osobowości człowieka wobec zagrożeń współczesnego życia”, którego prelegentem była Elżbieta Gniazdowska – Prezes OR TUL. Zwieńczeniem prelekcji była dyskusja uczestników w oparciu o swe własne doświadczenia.

Od początku naszego działania przyświecała nam myśl Zofii i Ignacego Solarzów „budzić człowieka do aktywnego, indywidualnego życia duchowego w oparciu o więzi międzyludzkie, szukania sensu własnego życia ludzkiej gromady, do wywołania poczucia wspólności... ,pomóc człowiekowi, aby znalazł w sobie i wydobyl z siebie możliwości twórcze...” Jednak w ponad dwudziestoletniej działalności bywało różnie – jak to w życiu społecznym bywa – były okresy wzlotów i upadków. Nieraz balansowaliśmy na granicy: być albo nie być. Na szczęście chęć „bycia razem” zawsze wygrywała. Źródłem naszej spistości były zapewne wspólne chwile, wspólne emocje, podczas których budowaliśmy relacje, cementowaliśmy naszą małą wspólnotę. Trudno bowiem wymazać z pamięci chociażby nasz wyjazd w 2008 r. na Białoruś w ramach letniej sesji pn. „Wspólnota korzeni i historii – źródłem przyjaźni i współpracy”, nasze wyjazdy na inne letnie sesje Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, seminaria tematyczne, seminaria bożonarodzeniowe oraz zjazdy delegatów TUL. Nasze więzi tworzyły się zapewne wokół corocznych spotkań opłatkowych, spotkań urodzinowych, spotkań towarzyskich w terenie, spotkań biesiadnych, wieczorków tanecznych, wyjazdów turystycznych, rajdów rowerowych i rejsów żeglarskich.

Istotnym elementem podjętych działań ŚUL były spotkania z ciekawymi ludźmi, którzy swoją wiedzą i osobowością oraz licznymi umiejętnościami mogli przekazać

doświadczenia innym, poszerzyć horyzonty myślowe słuchaczy oraz pogłębić wrażliwość człowieka. Spotkania miały charakter otwarty. Wraz z TUL-owcami obecne były również inne osoby ze środowiska lokalnego. Naszym gościem był m.in. ks. dr Jerzy Kownacki – redaktor Radia Plus, autor audycji radiowych z „księdzem dobrze nastawionym”, który przedstawił prelekcję nt. „Jak być szczęśliwym?”. Mieliśmy również przyjemność spotkać się z Bogusławem Olszonowiczem – dziennikarzem i muzykiem zespołu „Duval”. Tematem dyskusji było „Dziennikarstwo katolickie w aspekcie odpowiedzialności za słowo”. Wielkim zainteresowaniem cieszyło się spotkanie z ks. Henrykiem Zielińskim – duszpasterzem i fotografem, autorem wystawy „Ptaki na Kaszubach – sztuka fotografowania”. Dzięki staraniom ŚUL w Darzłubiu, w tutejszym klubie wystawiono kaszubską sztukę teatralną „Monika” na podstawie tekstu literackiego Jana Drzeżdżona, w wykonaniu Amatorskiego Zespołu Teatralnego ze Strzelna. „Jak radzić sobie ze stresem?” to temat spotkania z psychologkami: Emilią Korzeniewską i Aleksandrą Zielińską. W ramach współpracy z Hospicjum p.w. św. Ojca Pio w Pucku zorganizowano kilkakrotnie spotkania z szefostwem placówki – ks. dr. Janem Kaczkowskim i Anną Jochim-Labudą. Miały one na celu zapoznanie z profesjonalną i prowadzoną na wysokim poziomie opieką nad osobami w terminalnym stadium choroby. Sferą zainteresowania TUL-owców z Darzłubia była również sztuka. Wspólnie z tutejszą placówką kultury zorganizowano wystawy malarstwa: Zofii Wrosz ze Sławutowa i Kazimierza Ustarbowskiego z Darzłubia.

Członkowie ŚUL chętnie dzielą się swoimi zdolnościami i umiejętnościami. M.in. Anna Boczyńska przeprowadziła warsztaty plastyczne w puckim hospicjum, Sławomir Krause przedstawił prelekcje na temat: „Muzyka kaszubska dawniej i dziś” oraz „Instrumenty ludowe i etniczne z różnych stron świata w kontekście antropologii muzyki i dźwięku”. Był też bohaterem spotkania „Kierowca własnego życia – jak osiągnąć cel?”. Anatol Dettlaff przygotował wykład nt. „Obrzędy na Kaszubach” oraz „Zarys dziejów szkolnictwa podstawowego w Starzynie” – jako współautor książki. Witold Szuster podzielił się wspomnieniami i dokonał prezentacji dotyczącej osobistego wyjazdu do Australii (Sydney), gdzie odbyły się XXIII Światowe Dni Młodzieży z udziałem papieża Benedykta XVI. Przy okazji zapoznał nas z ciekawostkami turystycznymi Nowej Zelandii, Tajlandii i Bangkoku. Brunon Ceszke przedstawił prezentację nt. „Twoje zdrowie w twoich rękach”. Podzielił się też swoimi osiągnięciami w ramach tematu: „Kierowca własnego życia – jak osiągnąć cel?”. Sztuka przetrwania, czyli tajniki survivalu, były przedmiotem spotkania z Karolem Piernickim – naszym nowym członkiem. Z nadzieją patrzymy na rozwój intelektualny naszej organizacji wraz z wstępowaniem do naszego grona kilku nowych osób, w tym m.in.: Anę Łukowską – fizjoterapeutkę i socjolożkę czy Joannę Warych – prawniczkę.

Generalnie w założeniu Środowiskowego Uniwersytetu Ludowego „Belôce” – oprócz budowania relacji międzyludzkich, poprzez różne formy towarzyskie – jest dzielenie się członków wzajemną wiedzą, aby „samodzielnie budować swój świat, własnymi i wspólnymi siłami, wedle własnych i wspólnych ideałów”.



1998 rok. Jubileusz 100 lecia „Ścinania kani” w Strzelnie. Fot. archiwum WDK Strzelno



2003 rok. Spotkanie przyjaciół z ZMW po latach... Fot. archiwum ŚUL



2005 rok. Występ teatru kaszubskiego ze Strzelna w sztuce „Testament” w Darzłubiu.
Fot. archiwum ŚUL



2011 rok. Wigilia ŚUL „Beloce” w Darzłubiu. Fot. archiwum ŚUL



2013 rok. Spotkanie członków ŚUL w Darzlubiu. Fot. archiwum ŚUL



2013 rok. Uroczystość 10 lecia ŚUL „Beloce” w Darzlubiu. Fot. archiwum ŚUL



Spotkanie z twórcą Hospicjum w Pucku ks. Janem Kaczkowskim



2020 rok. Wigilia ŚUL „Beloce” w Polczynie. Fot. archiwum ŚUL



2023 rok. Sławek Krause podczas prezentacji instrumentów ludowych „ze świata”. Fot. B. Ceszke

ZOSTAWILI PO SOBIE TRWAŁY ŚLAD

W poprzednim numerze naszego „Kwartalnika” (nr 1–2/117/2024, s. 58–59), w dziale „Zostawili po sobie trwały ślad”, opublikowaliśmy pożegnanie Elżbiety Giętkowskiej, autorstwa Gabrieli Grzegórskiej. Na prośbę naszej Koleżanki, Autorki tego pożegnania, dołączamy w nowym tomie piękny, bardzo poetycki nekrolog-wspomnienie, napisany przez koleżanki i kolegów Zmarłej, a także absolwentów ZSRCKU w Przemystce.



Kto Cię znał, ten wie, że śladów dobra jakie pozostawiło Twoje życie nietrudno się doszukać w wielu miejscach naszego regionu, a przede wszystkim w nas samych. Zawsze Byłaś wierna maksymie, którą wyznawałaś że: „*Człowiek sam przez się jest niczym i wart jest ani mniej, ani więcej tylko tyle, ile warta jest jego praca i jej uczciwe wykonywanie w uczciwym celu*”.

Tak trudno uwierzyć, że Ciebie już nie ma, że nie obdarzysz nas swoim łagodnym, delikatnym i spokojnym uśmiechem, bo przecież Byłaś zawsze uśmiechnięta i życzliwa. Skromna, pełna taktu i wewnętrznej ciepła. Optymistycznie nastawiona do świata i ludzi. Kochałaś pracować i żyć, bawić się i bawić innych swym towarzystwem. Zarażałaś uczniów miłością do tańca i sztuki, chęcią do rozwijania pasji i stawiania nowych wyzwań. Fascynowałaś nie tylko młodzież dokładnością, obowiązkowością i charakterem, postawą życiową i pogodą ducha. Nawet wtedy, kiedy borykałaś się ze swoją chorobą pojawiał się upór, żeby powstać i znów iść i dojść do wyznaczonego Sobie celu.

Dziękujemy za każdy Twój gest koleżeństwa, życzliwości, bo nigdy nie było w Tobie niczego sztucznego, nienaturalnego, fałszywego.

Żyłaś skromnie w piękny i szlachetny sposób, w przyjaźni z innymi. Szanowałaś i ceniłaś innych. Wydobywałaś z innych to, co dobre.

Odcisnęłaś piętno na wielu swoich uczniach i ich rodzicach oraz kolegach i znajomych. Zawsze miałaś czas by wysłuchać, doradzić. Zawsze gotowa by pomóc.

Niech dobro, jakie wyświadczyłaś swym życiem innym, na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Powtórzmy za ks. Janem Twardowskim:

„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci innych”

My będziemy o Tobie **Elu** pamiętać!!!

„Śmierć jest nie tyle końcem życia, co nowym początkiem”, do którego Wszyscy zmierzamy.

Pograżonej w bólu Rodzinie składamy szczerze wyrazy współczucia, łącząc się w żalu i żalobie.

Dyrekcja, Grono Pedagogiczne, pracownicy administracji i obsługi, emerytowani nauczyciele i pracownicy szkoły oraz absolwenci ZSRCKU w Przemystce

Katarzyna Kogut

Moje doświadczenia z edukacją w Polsce, Anglii oraz Włoszech

Ostatnio moja przyjaciółka poprosiła mnie o porównanie systemów edukacyjnych w Polsce, Anglii i Włoszech. Jej prośba skłoniła mnie do głębszych przemyśleń na temat moich doświadczeń jako nauczycielki w różnych krajach. Tak się złożyło, że pracowałam zarówno w różnych państwach, jak i w różnych typach szkół. Swoją karierę zawodową rozpoczęłam w Polsce jako nauczycielka języka angielskiego w szkole ponadgimnazjalnej, w Anglii jako asystentka nauczyciela, nauczycielka oraz asystentka dyrektora, a obecnie we Włoszech pracuję w szkole prywatnej. Każda z tych ról dała mi inną perspektywę spojrzenia na edukację i pomogła zrozumieć to, w jaki sposób różne podejścia do nauczania i uczenia się wpływają na rozwój dzieci.

Ostatni raz uczyłam w Polsce prawie 20 lat temu, więc moje wspomnienia mogą być nieco nieaktualne. Czuję się trochę nieprzygotowana, by mówić o dzisiejszych realiach polskich szkół, bo sporo czasu minęło od mojego ostatniego doświadczenia w Polsce. Kiedyś polski system edukacji był dość tradycyjny. Uczniowie spędzali długie godziny w klasach, a nauka opierała się głównie na przyswajaniu wiedzy z podręczników. Mimo, że niektórzy nauczyciele starali się wprowadzać innowacje, to ograniczone zasoby, jak np. niewystarczająca ilość papieru do kserowania, były sporym problemem. Często brakowało podstawowych materiałów, co w istotny sposób ograniczało możliwości kreatywnego nauczania. Sama zawsze nienawidziłam uczenia z książek. Czulałam, że to tłumi kreatywność i nie rozwija krytycznego myślenia. Dlatego brytyjski model edukacji stał się dla mnie naprawdę kuszący. W Anglii mogłam inspirować dzieci do samodzielnego myślenia i odkrywania świata. Kiedy obecnie rozmawiam z polskimi nauczycielami to widzę, że sytuacja w kraju się zmienia. Edukacja w Polsce staje się coraz bardziej kreatywna, co jest ważne dla uczniów.

Po kilku latach w Polsce przenieśliśmy się do Anglii. Tu system edukacji zaskoczył mnie swoją elastycznością. Uczniowie zaczynają naukę w wieku pięciu lat, co dla niektórych dzieci może być problemem, jeśli nie są jeszcze gotowe na szkołę. Mimo to, nauczyciele w Anglii kładą duży nacisk na kreatywność i samodzielność. Miałam okazję korzystać z interaktywnych metod nauczania, które angażowały dzieci i sprawiały, że nauka była przyjemnością. Kiedy moje dziecko miało zacząć naukę w szkole, postanowiłam zostać w Anglii, by mogło uczyć się w tym systemie. Byłam pewna, że elastyczność i zintegrowane podejście będą dla niego najlepsze. Jednak

z czasem zauważyłam, że brak dostatecznego finansowania dotyka także brytyjskie szkoły. Klasy stają się coraz liczniejsze, a 30 dzieci to standard. Brakuje też specjalistycznego wsparcia dla dzieci ze szczególnymi potrzebami, co wpływa na wszystkich uczniów, bo nie ma wystarczającej pomocy dla tych, którzy jej naprawdę potrzebują. Nauczyciele często nie są przygotowani na właściwe zaspokajanie złożonych potrzeb edukacyjnych dzieci.

Obecnie pracuję we włoskiej szkole prywatnej, co jest dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. W tej szkole krajowy program nauczania wkomponowano w Międzynarodowy Program Nauczania (IB) dla Klas Podstawowych (PYP). Uczniowie uczą się nie tylko z książek, ale także poprzez ciekawe projekty, które łączą różne przedmioty. Dzieci mają dostęp do zasobów i możliwości, które w szkołach publicznych są bardzo ograniczone. Włosi łączą tradycję z nowoczesnością, a uczniowie uczą się sztuki, muzyki i języków obcych.

Jednak, podobnie jak w Polsce i Anglii, zauważam, że problemy z zachowaniem uczniów wymagają uwagi. Nauczyciele często są obciążeni odpowiedzialnością za nauczanie dzieci umiejętności i zachowań, które powinny być rozwijane w domu. Rodzice oczekują, że szkoły rozwiążą problemy wychowawcze, które wynikają z braku odpowiedniego wsparcia w rodzinach. W Polsce, Anglii i Włoszech nauczyciele muszą stawić czoła wymaganiom, które nie powinny leżeć w gestii szkoły, co może być frustrujące.

Podsumowując moje doświadczenia w polskim, angielskim i włoskim systemie edukacyjnym, widzę wiele różnic, ale też sporo podobieństw. Jednak wszystkie te systemy borykają się z jednym poważnym problemem: brakiem szacunku dla zawodu nauczyciela. To zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak wiele czasu dzieci spędzają w szkole i jak ogromny wpływ nauczyciele mają na przyszłych obywateli. Niskie uznanie dla tego zawodu jest wspólne dla wszystkich trzech krajów i wpływa na to, że młodzi nauczyciele często odchodzą z zawodu zbyt wcześnie. Identyczne problemy z zachowaniem uczniów i oczekiwania rodziców wymagają współpracy i zaangażowania w każdym z tych systemów edukacyjnych.

Moje doświadczenia pokazują, jak ważna jest elastyczność w nauczaniu oraz otwartość na nowe pomysły. W każdym z krajów, w których pracowałam okazywało się, że kluczowym elementem sukcesu edukacyjnego jest zdolność dostosowania się do potrzeb uczniów oraz gotowość do współpracy z rodzicami i społecznością lokalną. Niezwykle istotne jest, aby rodzice również zrozumieli ciążącą na nich odpowiedzialność w procesie edukacyjnym. Wspieranie dzieci w nauce, rozwijanie umiejętności społecznych i emocjonalnych oraz tworzenie pozytywnego środowiska w domu są kluczowe dla sukcesu w szkole.

Jacek Pniewski

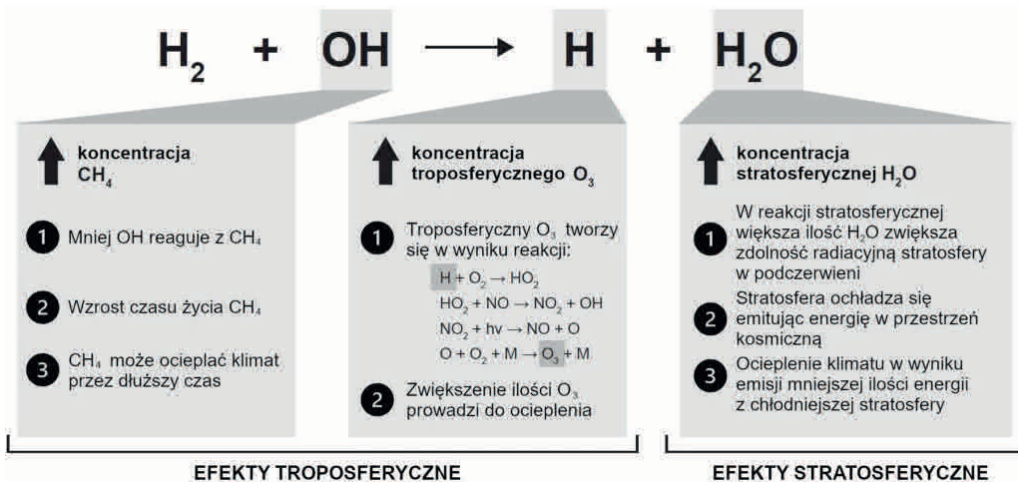
Czy wodór rozwiąże kryzys klimatyczny?

Wodór jest obecnie uważany za niezbędny element starań o obniżenie emisji dwutlenku węgla. Uważa się go za dobrą alternatywę dla paliw kopalnych, zwłaszcza w transporcie (utleniając wodór w ogniach paliwowych, nie emitujemy CO₂). Wytwarzanie wodoru to także jeden ze sposobów na magazynowanie energii elektrycznej, pochodzącej ze źródeł odnawialnych. Dziesiątki krajów opublikowały plany zwiększenia produkcji i zużycia wodoru, a przewiduje się, że do 2030 r. na całym świecie na rozwój technologii wodorowych zostanie przeznaczonych około 300 miliardów dolarów. W analizach jednak często pomija się ważny aspekt wodoru – jego potencjał cieplarniany. Okazuje się, że nie jest to jednak gaz idealny. Pozornie nie emisyjny, jednak istotnie wpływa pośrednio na efekt cieplarniany.

Pośredni wpływ wodoru na ocieplenie klimatu jest znany już od ponad 20 lat. Okres życia wodoru w atmosferze wynosi kilka lat. Szacuje się, że po wydostaniu się do atmosfery około 70–80% wodoru jest usuwane przez gleby w wyniku pochłaniania przez bakterie glebowe, zaś pozostałe 20–30% jest utleniane w reakcji z naturalnie występującymi w powietrzu rodnikami hydroksylowymi (OH), zgodnie z reakcją chemiczną $H_2 + OH \rightarrow H + H_2O$.

Ta reakcja prowadzi do wzrostu koncentracji gazów cieplarnianych zarówno w troposferze, jak i stratosferze. Jak to się dzieje? Spójrzmy na rysunek. Po pierwsze, w troposferze reakcje wodoru z OH powodują, że koncentracja rodników spada. To z kolei wydłuża czas życia metanu, bowiem reakcje z rodnikami OH to główny sposób usuwania z atmosfery również tego gazu. Gdy rodników robi się mniej, takie reakcje zachodzą rzadziej. Ten mechanizm odpowiada za około połowę pośredniego wpływu wodoru na klimat. Dodatkowo, pojawienie się wodoru atomowego prowadzi do serii reakcji, które ostatecznie tworzą ozon troposferyczny. Dodatkowy gaz cieplarniany – ozon – odpowiada za około 20% ocieplającego wpływu wodoru na klimat.

W stratosferze reakcja wodoru z OH zwiększa ilość pary wodnej, która również jest gazem cieplarnianym i zwiększa zdolności stratosfery do emitowania promieniowania podczerwonego. To prowadzi do wychłodzenia stratosfery, a im jest ona chłodniejsza, tym słabiej promieniuje a na Ziemi i w atmosferze w sumie pozostaje więcej energii. Szacuje się, że ten efekt odpowiada za około 30% oddziaływania wodoru na klimat.



Jak duży jest wpływ wodoru na klimat? Wpływ danego gazu lub innej substancji na klimat można ocenić, podając na przykład tzw. potencjał tworzenia efektu cieplarnianego (GWP, ang.). Porównuje on ilość energii zatrzymywanej w systemie klimatycznym przez dany gaz lub substancję do energii zatrzymywanej przez taką samą masę dwutlenku węgla. Na przykład $GWP = 10$ oznacza, że dany gaz zatrzymuje 10 razy więcej energii niż dwutlenek węgla. Ważny jest też czas, dla którego określa się ten wskaźnik. Jeśli jakiś gaz jest szybko usuwany z atmosfery, to jego GWP może być niskie, nawet gdy każda cząsteczka pochłania znacznie więcej energii niż cząsteczka CO_2 .

Z uwagi na to, że wpływ wodoru na bilans radiacyjny Ziemi jest pośredni, określenie jego GWP jest trudne i zależne od przyjętej metodologii. Jeden z najnowszych raportów na ten temat, opracowany przez naukowców z uznanych ośrodków naukowych: University of Cambridge, National Centre for Atmospheric Science i University of Reading, powstał na zamówienie władz Wielkiej Brytanii i został opublikowany w 2022 r. Do przygotowania raportu wykorzystano niezwykle zaawansowany model systemu klimatycznego Ziemi UKESM1, który zawiera szczegółowy matematyczny opis zarówno troposferycznych, jak i stratosferycznych procesów chemicznych oraz „sprzęga” procesy chemiczne i radiacyjne (fizyczne). Uwzględniono w nim łącznie 291 reakcji (w tym: termicznych i fotolitycznych) zachodzących wśród 81 substancji, znajdujących się w atmosferze, przy różnych założeniach dotyczących wycieków wodoru (1–10%). W efekcie uzyskano dla wodoru $GWP-20 = 33$ (20–44), zaś $GWP-100 = 11 \pm 5$, przy czym liczby po myślnikach oznaczają horyzont czasowy, dla którego wyznaczono GWP. Wartość 11, uzyskana dla horyzontu 100 lat okazuje się być około dwukrotnie wyższa niż wcześniejsze szacunki z 2020 r.

Skąd się bierze wodór? Wodór jest najbardziej rozpowszechnionym pierwiastkiem we Wszechświecie, jednak w atmosferze Ziemi jego koncentracja jest niewielka i wynosi około 550 ppb (ang. *parts per billion*, cząsteczek na miliard), bowiem emisje tego gazu w wyniku procesów naturalnych są na niskim poziomie. Główne **naturalne** źródła wodoru w atmosferze to:

- utlenianie fotochemiczne metanu i innych prostych związków węgla, zwanych ogólnie lotnymi związkami organicznymi (ang. *volatile organic compounds*),
- spalanie biomasy,
- emisje towarzyszące wiązaniu azotu przez mikroorganizmy (bakterie).

Oprócz tych zjawisk zaobserwowano kilka procesów geologicznych, które wpływają na koncentrację H_2 w atmosferze. Na przykład, w reakcji wody morskiej lub deszczowej ze skalami (diageneza), zawierającymi żelazo Fe^{2+} (dwuwartościowe) powstają związki trójwartościowe, zawierające Fe^{3+} , a przy tej okazji także cząsteczki H_2 . Inny mechanizm to radioliza, czyli rozkład wody na wodór i tlen w wyniku naturalnej radioaktywności skorupy ziemskiej. Wodór jest także uwalniany z magmy w czasie aktywności wulkanicznej, a nawet podczas reakcji wody z pękającymi skalami krzemianowymi. Istnieje także pierwotny wodór uwięziony wewnątrz Ziemi, pochodzący z czasu, gdy tworzyła się planeta.

Antropogeniczne (związane z działalnością człowieka) emisje wodoru są obecnie głównie wynikiem wydobywania, przetwarzania i spalania paliw kopalnych. Jednak im szerzej będziemy korzystać z wodoru jako nośnika energii, tym znaczenie innych źródeł może rosnąć.

Wodór może być produkowany wieloma metodami, które różnią się m.in. oddziaływaniem na klimat i środowisko. Powstały gaz można zgrubnie przyporządkować do czterech klas:

- wodór „szary” – produkowany z gazu ziemnego; co jest obecnie najbardziej powszechną metodą, skutkującą dużymi emisjami CO_2 do atmosfery;
- wodór „zielony” – pozyskiwany w sposób, który nie powoduje emisji gazów cieplarnianych, np. poprzez elektrolizę; wymaga dużej ilości energii, przez co jest kosztowny, a obecnie ma niską efektywność;
- wodór „niebieski” – pozyskiwany podobnie jak wodór „szary”, ale bez emisji gazów cieplarnianych, np. dzięki wychwytywaniu i magazynowaniu powstałego CO_2 ; wymaga dużej ilości energii, nie likwiduje innych wad produkcji z paliw kopalnych (np. zniszczenia środowiska), jest kosztowny;
- wodór „złoty” (lub „naturalny”) – wydobywany z pokładów geologicznych; hipotetycznie najbardziej neutralny dla środowiska i klimatu; obecnie jeszcze nie stosowany na skalę przemysłową.

Powyższy podział nie jest jedyny. Czasami pojawiają się inne umowne kolory wodoru, np. „biały” (elektroliza z użyciem energii elektrycznej z dowolnego źródła, w odróżnieniu od zielonego, gdzie energia elektryczna pochodzi ze źródeł odnawialnych lub niskoemisyjnych), a także „brązowy” (powstający ze zgazowania węgla). Kolor zielony może także ogólnie oznaczać energię pochodzącą ze źródeł tzw. odnawialnych. Z kolei, wodór wytwarzany dzięki energii z elektrowni atomowych bywa klasyfikowany jako „różowy”, przy czym Komisja Europejska proponuje włączenie go do kategorii „zielonej”. Można także spotkać się z pojęciem „żółtego” wodoru, produkowanego z energii słonecznej.

Warto zwrócić uwagę, że wodór może być wykorzystany do magazynowania nadwyżki energii elektrycznej, która często powstaje podczas działania np. elektrowni

słonecznych lub wiatrowych. Nadwyżkę tę można zużyć na produkcję gazu, a później, w okresach mniejszego nasłonecznienia lub słabszego wiatru, można utlenić/spalić wodór w odpowiedni sposób (np. w ogniach paliwowych lub silnikach) i wytworzoną energię elektryczną ponownie wprowadzić do sieci. Na razie jest to jednak tylko koncepcja z uwagi na relatywnie niewielkie nadwyżki energii z OZE w stosunku do potrzeb i brak w związku z tym instalacji o skali przemysłowej. Dodatkowo, z uwagi na niską sprawność całego procesu zamiany energii elektrycznej na wodór i z powrotem, prawdopodobnie będzie to rozwiązanie niszowe, stosowane w tych obszarach gospodarki, gdzie nie ma lepszej alternatywy, np. w procesach przemysłowych wymagających wysokich temperatur. Obecnie problemem przy produkcji wodoru za pomocą elektrolizy jest też konieczność wykorzystania bardzo czystej wody, której pozyskanie także wymaga energii, co zmniejsza sprawność i w rezultacie opłacalność tej technologii.

Wodór powinien być wykorzystywany w gospodarce obiegu zamkniętego, czyli takiej, w której nie powstają żadne odpady, a wszystkie zużyte materiały i substancje są na nowo przetwarzane. To jednak w praktyce nie jest możliwe w 100% i nie można uniknąć dodatkowych wycieków wodoru na każdym etapie wykorzystania, głównie z uwagi na to, że jest najmniejszą cząsteczką, która łatwo przenika przez większość materiałów. Wodór może wyciekać m.in.: z elektrolizerów, sprężarek, skraplaczy, zbiorników magazynowych, magazynów geologicznych, rurociągów, samochodów-cystern, pociągów, statków i stacji paliw. Ponadto część wodoru jest celowo uwalniana do atmosfery z tych systemów, np. podczas czyszczenia instalacji. Dodatkowo, podczas produkcji wodoru „niebieskiego”, następuje także emisja „gotowych” gazów cieplarnianych (głównie CH_4 i CO_2).

W raporcie Frazer-Nash Consultancy, opracowanym na zlecenie władz Wielkiej Brytanii ocenia się, że największe wycieki H_2 mają miejsce podczas transportu ciekłego wodoru tankowcami (13,2% ładunku), kolejne w trakcie magazynowania sprężonego gazu (6,52%), dalej zaś z ogniwo paliwowych (2,64%) oraz stacji paliw (0,89%). W przypadku wszystkich innych rodzajów produkcji, transportu, przechowywania i zastosowań wodoru wycieki powinny być mniejsze niż 0,53%.

Wycieki wodoru to utrudnienie na drodze do obniżenia wpływu gospodarki na klimat, jednak dokładne ustalenie ilości wycieków i ich znaczenia dla ocieplenia jest sporym wyzwaniem. Po pierwsze, nie ma pewności, ile wodoru zostanie ostatecznie wyemitowane z instalacji. Całkowita ilość emisji nawet w obecnych systemach jest nieznana, szczególnie w przypadku mniejszych wycieków, które łatwo przeoczyć i dokładnie zmierzyć. Po drugie, infrastruktura wodorowa nie została jeszcze praktycznie opracowana i zbudowana, zaś budowa kolejnych rurociągów (w tym nawet pompowanie wodoru do domów mieszkalnych) jest nadal w planach.

Wykorzystanie wodoru jako źródła lub nośnika energii jest ważnym elementem ograniczenia emisji gazów cieplarnianych, pochodzących z paliw kopalnych. Jest to jeden ze sposobów transformacji najbardziej emisyjnych sektorów gospodarki: energetyki, transportu, przemysłu ciężkiego. Jeżeli wodór będzie produkowany w sposób czysty, przyniesie to znaczną korzyść dla klimatu, nie tylko ze względu na

redukcję emisji dwutlenku węgla i metanu, dwóch głównych gazów cieplarnianych, ale również ze względu na możliwość redukcji innych emisji, w tym tlenku węgla, lotnych związków organicznych i tlenków azotu, co dodatkowo poprawi jakość powietrza i zdrowie.

Według danych Międzynarodowej Agencji Energii moce instalowanych elektrolizerów osiągnęły blisko 8 GW rocznie, zaś a realizacja wszystkich planowanych projektów prowadzi do uzyskania sumarycznej zainstalowanej mocy 134–240 GW do 2030 r. To jest dobra informacja, bo jeszcze w 2021 r. jedynie 1% wodoru było produkowane z użyciem technologii niskoemisyjnych.

Zarówno szacunki IPCC udziału wodoru w produkcji energii, jak i dane IEA świadczą o tym, że w perspektywie 2050 r. wykorzystanie wodoru jest w stanie zmniejszyć emisje gazów cieplarnianych o co najmniej kilka procent, jednak czy to się uda, to zależy od przebiegu wypadków i wielu kolejnych decyzji. Potencjalne wycieki wodoru do atmosfery mogą jednak mieć duży wpływ na jej skład, co może częściowo zniwelować korzyści z przejścia na gospodarkę wodorową, choć na szczęście nie całkowicie.

Artykuł jest skrótem tekstu, opublikowanego w portalu Naukaoklimacie.pl, gdzie czytelnicy mogą zapoznać się ze źródłami przytaczanych informacji (<https://naukaoklimacie.pl/aktualnosci/wodor-i-gospodarka-wodorowa-a-klimat>).

„Wieczne chemikalia” – jak zabijają związki, ułatwiające życie

Przechadzając się pełną drogą, chyba każdy z nas zwrócił uwagę na bąbelki w wodzie – w rzece, strumyku, czy nawet kałuży. Czasami łatwo je sobie wytłumaczyć: silny nurt rzeki odbijający się od kamieni, ale czasami, gdy woda jest spokojna, przyczyna powstania bąbelków pozostaje dla nas zagadką, a jej rozwiązanie okazuje się niestety dość niepokojące, bo wiąże się z groźnymi chemikaliami, przenikającymi do środowiska naturalnego.

W latach 30. XX wieku, odkryto nowy rodzaj substancji chemicznych. Związki perfluoroalkilowe (PFAS) dzięki swojej budowie stały się żyłą złota dla przemysłu chemicznego. Substancje te składają się z dwóch części: hydrofilowej, czyli rozpuszczalnej w wodzie i hydrofobowej, odpychającej wodę. W latach 50. pierwsze firmy chemiczne zaczęły produkować PFAS, rozpoczęła się „chemiczna gorączka złota”. Substancje te były wówczas uznawane za nietoksyczne dla człowieka i dla środowiska, szybko więc znaleziono dla nich zastosowanie zarówno w przemyśle, jak i do użytku codziennego.

Bardzo dużą popularnością cieszyły się „cudowne” preparaty, które – nałożone na materiał – sprawiały, że staje się on nieprzemakalny i odporny na plamy. Były wykorzystywane m.in. do produkcji farb i lakierów oraz jako środki gaśnicze na lotniskach. Na początku XXI wieku rynek PFAS jako środków hydroizolatorów przynosił zyski około miliarda dolarów rocznie, a PFAS jako farb i lakierów – 100 milionów dolarów rocznie. Najważniejszym jednak zastosowaniem PFAS jest produkcja tak znanego i cenionego szeroko teflonu, który jest polimerem – substancją zbudowaną z dużej liczby „cegiełek”, czyli mniejszych związków (w tym przypadku jednego z PFAS). Teflon ma właściwości podobne do reszty PFAS i jest używany na przykład jako nieprzylegająca powierzchnia patelni. Roczny zysk jego producentów tylko w 2023 roku przyniósł prawie 3 miliardy dolarów! Każda „gorączka złota” zbiera jednak swoje ofiary. Podobnie jak w przypadku tej kalifornijskiej, w XIX wieku stali się nimi pracownicy fabryk produkujących PFAS i ich rodziny, jednak sytuacja szybko uległa zmianie.

Mieszkańcy miast, w których ulokowano fabryki, byli najczęściej zatrudniani w tych zakładach. Po kilku, czy kilkunastu latach od początku produkcji zauważono, że znacznie zwiększył się odsetek alergików, cukrzyków, a na nowotwory umiera coraz więcej osób. Słaba jakość jedzenia i ogólny wzrost populacji alergików zamaskował początkowo to zjawisko, szczególnie nasilone na obszarach znajdujących się w pobliżu zakładów wytwarzających produkty zawierające PFAS, ale pod koniec lat

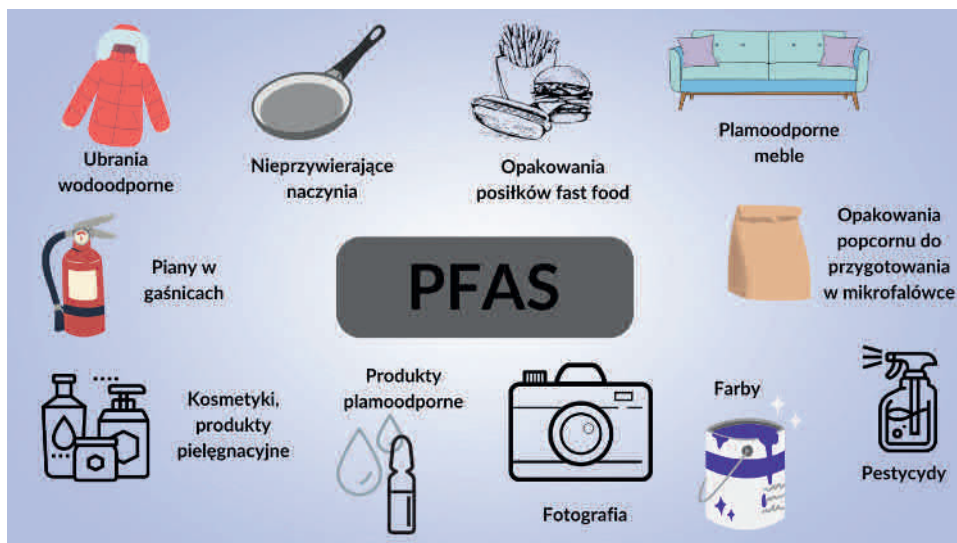
90. przykulo ono uwagę naukowców. Badania skupiły się na dwóch najpopularniejszych PFAS: PFOS (kwas perfluorooktanosulfonowy – stosowany powszechnie np. w odzieży przeciwdeszczowej i jako powłoki naczyń kuchennych, z uwagi na własności hydro- i oleofobowe, a także w substancjach gaśniczych) i PFOA (kwas perfluorooktanowy – silnie hydrofobowy, stosowany np. w papierze do pieczenia, wosku podłogowym, tekstyliach, środkach do czyszczenia i pudelkach do żywności). Wykazano, że to właśnie one przyczyniają się do zwiększenia zapadalności na choroby w miastach przy fabrykach. W odpowiedzi na to, ograniczono produkcję tych substancji i opracowano nowe związki z rodziny PFAS, a w szczególności GenX, które miały być nieszkodliwą alternatywą.

XXI wiek rozpoczął okres intensywnych badań nad toksycznością perfluoroalkilowców. Odkryto, że w przyfabrycznych miastach ilość PFAS w zbiornikach wodnych jest bardzo wysoka. Co więcej, ich obecność została wykryta w większości wód gruntowych na całej ziemi. Należy przy tym zaznaczyć, że PFAS zyskały przydomek „wiecznych substancji”, ponieważ są bardzo trwale i nie rozkładają się, co wiąże się z tym, że jeśli żadne działania nie zostaną podjęte, PFAS będą obecne na całej ziemi przez tysiąclecia. Jak na razie wprowadzone zostały tylko normy występowania PFOA i PFOS w wodach pitnych i gruntowych, w wielu państwach świata. Normy te jednak znacznie różnią się od siebie: stan alarmowy w Unii Europejskiej jest dopuszczalnym poziomem w Stanach Zjednoczonych.

Wykonano badania na innych, masowo używanych PFAS. Z paru tysięcy substancji, znaczna większość okazała się również toksyczna, w tym GenX. Obecnie wiadomo, że perfluoroalkilowe powodują także choroby nerek, wątroby, zaburzenia hormonalne, liczne nowotwory, podwyższają poziom cholesterolu w organizmie, stają się przyczyną cukrzycy, wad rozwojowych płodu, bezpłodności czy wreszcie zmniejszonej odporności na szczepionki. Podejrzewa się także, że przyczyniają się do rozwoju choroby Alzheimera, lecz z powodu słabego zrozumienia przyczyn tej dolegliwości, nie można tego jednoznacznie potwierdzić. Należy przy tym stanowczo podkreślić, że najbardziej chyba powszechnie rozpoznawalny rodzaj PFAS – teflon – nie jest substancją niebezpieczną.

Dzięki wynikom badań wprowadzone zostały normy prawne, określające możliwość zastosowania PFAS. Także firmy, produkujące te substancje, ograniczyły ich produkcję i planują całkowite jej zaprzestanie do 2025 roku. Są jednak pewne wyjątki. Ponieważ ok. 100 000 substancji wprowadzonych na rynek zawiera PFAS, nie udało się jeszcze znaleźć alternatyw dla niektórych z nich. Sztandarowym tego przykładem są środki gaśnicze na lotniskach, których wycofanie równałoby się ze znacznym wzrostem zagrożenia dla pasażerów linii lotniczych. Powstaje również filtr, na razie w fazie prototypu, który jest w stanie wybierać PFAS z rzek, a państwa przeznaczają duże pieniądze na dalsze badania, by zrozumieć zagrożenia wynikające ze stosowania perfluoroalkilowców. Przykładem tego może być projekt Promiscues, finansowany w pełni przez Unię Europejską, w którym naukowcy z kilku krajów europejskich badają wpływ na człowieka i środowisko poszczególnych PFAS i tworzą nowe metody analityczne, pozwalające na szybsze wykrywanie zagrożenia.

Następnym razem, idąc polną drogą, spróbuj znaleźć te mieniające się bąbelki w wodzie i pomyśl sobie o ich historii, ich niebezpieczeństwach i o tym, jak ludzkość powoli zaczyna z nimi wygrywać.



Źródło: Schwander Polska

Aldona Czerwińska

Wizyta studyjna w duńskich uniwersytetach ludowych

Poniższy tekst stanowi relację z wizyty studyjnej w duńskich uniwersytetach ludowych, zorganizowanej przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, która odbyła się w dniach 19–24 października 2024 r. Uczestniczyło w niej kilkunastu przedstawicieli uniwersytetów ludowych działających w Polsce. W Kopenhadze mieliśmy okazję porozmawiać z szefową Danisch Folk High School Association (FFD), jedynej w tym kraju organizacji, zrzeszającej uniwersytety ludowe, których obecnie jest ok. 70. W spotkaniu brał też udział przedstawiciel Ministerstwa Kultury, który omówił współczesne uwarunkowania organizacyjne i finansowe dla prowadzenia uniwersytetów ludowych w Danii. Kolejno odwiedziliśmy dwa uniwersytety w Ollerup, pierwszy to Academy of Free School Teaching, czyli jedyny uniwersytet ludowy, kształcący nauczycieli oraz Gimnastic Folk High School – sportowy uniwersytet ludowy. Z kolei w Aarhus zostaliśmy przyjęci w Egmonth High School, gdzie wybrane kursy mogą realizować również osoby z niepełnosprawnościami. Na zakończenie przyjechalśmy do Hadsten Højskole, który jest uniwersytetem ludowym, zapewniającym swym studentom edukację ogólną. Dyrektorzy placówek nie tylko opowiadali o swoich szkołach i oprowadzali po nich, ale umożliwili rozmowy z nauczycielami i studentami, a nawet udział w zajęciach i wspólnych posiłkach.

To był bardzo intensywny czas zdobywania wiedzy, ale przede wszystkim autentycznego doświadczenia, czym może być uniwersytet ludowy i jak wielki wachlarz możliwości kryje ta nazwa. Wizyta stała się przyczynkiem do głębszej refleksji oraz źródłem inspiracji do dalszych działań na naszej polskiej niwie.

To ważne, że przedstawicielka Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych mogła wziąć udział w tym bardzo wartościowym wydarzeniu, które zorganizował Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Programu Wspierania Rozwoju Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030. Wszak jeden z inicjatorów odrodzenia naszej organizacji i jej pierwszy prezes, prof. Tadeusz Pilch, jako młody człowiek odbył staż w duńskim uniwersytecie ludowym i przez całe swe życie pozostał gorącym orędownikiem wprowadzania tego modelu kształcenia dorosłych w Polsce, dostrzegając niezmienną i nieprzemijającą wartość idei nie tylko Grundtviga, ale Kolda i innych duńskich ojców-założycieli. Prof. Pilch dostrzegał i doceniał, za Duńczykami, niezrównaną wartość takiej formy

kształcenia dla krzewienia ideałów demokracji w społeczeństwie polskim. Ta wizyta stała się więc dla mnie okazją do konfrontacji wyobrażeń o duńskich uniwersytetach, ukształtowanych przede wszystkim przez prof. Pilcha z tym, jak jest w rzeczywistości, i to tej jak najbardziej współczesnej rzeczywistości.

21.10. 2024 r. Kopenhaga

DANISH FOLK HIGH SCHOOL ASSOCIATION (FFD)

Jest to organizacja zrzeszająca wszystkie uniwersytety ludowe, działające w Danii. W organizacji pracuje 25 osób, finansowana jest z dotacji rządowej, przez zrzeszone szkoły oraz prywatnych przedsiębiorców. Jest jedyną w kraju organizacją, która reprezentuje interesy wszystkich uniwersytetów ludowych, wynika to z przekonania, że we wspólnocie siła oraz z poczucia wzajemnej solidarności szkół. Nie ma obowiązku zrzeszania się w tej organizacji, ale w Danii nie ma żadnego UL-u, który do niej nie należy. Organizacja nie dokonuje ocen pracy poszczególnych szkół, ale co 3 lata studenci wyrażają swoją opinię o szkole. Również same szkoły często dokonują wewnętrznej ewaluacji, bo **„słuchanie jest tak samo ważne, jak mówienie”**. To w interesie samych szkół leży, aby miały u studentów jak najlepszą opinię, bo to z kolei zachęca kolejnych kandydatów, dzięki czemu szkoła może nie tylko funkcjonować, ale też rozwijać się zgodnie z wybranym kierunkiem. Organizacja przeprowadza własne badania na temat kondycji szkół, oparte na danych statystycznych, pozyskiwanych z baz rządowych, które wykorzystuje dla planowania strategii rozwoju wszystkich duńskich uniwersytetów ludowych. Na czele FFD stoi obecnie Lisbeth Trinskaer, która spotkała się z nami w kopenhaskiej siedzibie i przekazała wiele cennych informacji.

Uniwersytety ludowe zajmują się edukacją dorosłych, obecnie działa na terenie Danii około 70 szkół, które umiejscowione są głównie na obszarach rolniczych. Szkoły liczą średnio od 40 do 200 studentów, jednak aby otrzymać rządową dotację nie może być mniej niż 24 studentów w szkole. Wszystkie uniwersytety mają obowiązek posiadania internatów, w których zamieszkuje większość studentów, na terenie placówki mieszka też kadra pedagogiczna oraz dyrektor. Uniwersytet ludowy w Danii może założyć każdy obywatel, jednak musi być to inicjatywa oddolna i mająca realne uzasadnienie, np. Ernst Trier, uczeń Grundtviga, założył uniwersytet ludowy na zachodnim wybrzeżu, na terenach wiejskich, przeznaczony był dla dzieci miejscowych rolników, ponieważ tereny te cechowała duża aktywność społeczna.

UL-e w Danii to tzw. wolne szkoły, które funkcjonują obok nurtu formalnej edukacji państwowej. Podstawowa różnica polega na tym, że w UL-ach nie ma „uczenia czegoś” – odbywa się **„uczenie dla życia”**, nie ma „uczenia przedmiotów”, jest **„uczenie przedmiotami”**, nie ma ocen i egzaminów, nie ma narzucanych przez ministerstwo czy inny organ programów, każda **szkoła sama ustala to, czego i w jaki sposób będzie uczyła**. O tym, jakie są przedmioty mogą decydować zarówno nauczyciele, jak i uczniowie. Jeżeli dany przedmiot nie cieszy się zainteresowaniem,

to coś musi się zmienić. Albo przedmiot zostaje zdjęty z planu lekcji, albo nauczyciel wprowadzi takie zmiany, żeby wzrosło zainteresowanie danym przedmiotem. Podczas kursu każdy student realizuje **dwadzieścia przedmiotów obowiązkowych i pięć dodatkowych**, które wybiera spośród dostępnych, po ich uprzedniej prezentacji przez nauczycieli. Średnio jeden nauczyciel przypada na ośmiu studentów. **Podstawową zasadą jest frekwencja** na zajęciach, wymagana jest pełna obecność, uwzględnia się jedynie szczególne okoliczności życiowe. **Student nie otrzymuje certyfikatu** ukończenia kursu ale opisową ocenę swojej osoby, mocnych stron, predyspozycji i nabytych umiejętności. Wg Grundtviga ludzie muszą się rozwijać i **uczyć nie dla siebie, ale po to, aby brać odpowiedzialność za swój kraj**. Zgodnie z jego ideą ma to być **nauka bezpośrednia, praktyczna**, która odbywa się w realnym życiu.

*„Człowiek, który uczył się czegoś, czego nigdy nie pokochał,
tak naprawdę nigdy nie żył.”*

Hal Koch (1904–1963) – teolog, wykładowca na uniwersytecie w Kopenhadze napisał książkę pt. „Czym jest demokracja?” Według autora, **demokracją to nie jest tylko sposób rządzenia, ale sposób na rozwiązywanie problemów**, jest to pokojowy sposób na to, żeby się z kimś nie zgadzać.

Każda ze szkół ma swoją specyfikę, co wyraźnie określa jej statut (cele i wartości). Do uniwersytetu ludowego może zapisać się każdy, kto chce i kto może zapłacić. Rocznie około 50 tys. Duńczyków zapisuje się na różne kursy, studentami mogą być też obywatele innych krajów (około 9% rocznie). Nie ma limitu określającego, ile razy i jakie kursy można realizować. Dolna granica wieku to 18 lat, górnej nie określono; w Danii są dwie szkoły, które przyjmują po ukończeniu 16. roku życia.

„Najpierw trzeba się urodzić, żeby wiedzieć, jaki kapeluszyk będzie pasował” – to słowa Grundtviga, które przytacza Lisbeth Trinskaer. Mówi, że tradycja uniwersytetów ludowych w Danii sięga ponad 180 lat. Pierwsi twórcy i liderzy przekazali idee, tworzyli zgodnie z potrzebami społeczeństwa swoich czasów. Organizacja FFD jest po to, aby monitorować zmieniające się potrzeby i na bieżąco dostosowywać ofertę uniwersytetów do aktualnych potrzeb społecznych. Szefowa FFD uzasadnia, dlaczego UL-e to dobra inwestycja dla rządu?

1. Wolne szkoły mogą bardzo szybko przystosowywać się do zmieniających się warunków społecznych, gospodarczych czy politycznych w przeciwieństwie do szkół edukacji formalnej, gdzie przemiany przebiegają wolno.
2. UL-e w Danii są zamykane, jeżeli nie ma wystarczającej liczby studentów, bo za studentem idą pieniądze. Brak studentów świadczy więc o tym, że szkoła nie ma racji bytu.
3. UL-e są traktowane jako miejsca, gdzie formuje się świadomego obywatela państwa. Priorytety rządu są zmienne, a wartości UL-ów są stałe, skoncentrowane na tym, aby **ukształtować obywateli, którzy wezmą odpowiedzialność za swoje państwo**. Wszystkie partie (poza jedną) sympatyzują z uniwersytetami ludowymi, choć z różnych powodów, np. liberałowie dlatego, że szkoły uczą kry-

- tycznego myślenia, wolności i kształtują silne jednostki; lewica, bo wielu absolwentów cechuje odpowiedzialność i rzadko porzucają pracę.
4. Wg opinii samych studentów: ważne jest w szkole, że ktoś im ufa, traktuje po partnersku, studenci mają swoje obowiązki, ale mają też autorytety, dlatego w szkołach budują się relacje. Podczas długiego czasu przebywania ze sobą (nauka + życie) nie da się udawać, każdy tu ujawnia w końcu swoje prawdziwe oblicze.
 5. Wg oficjalnych badań: uczniowie w UL-ach z większym prawdopodobieństwem ukończą naukę, a jeśli poddadzą się weryfikacji w systemie państwowym, to osiągają bardzo wysokie wyniki. Politycy nie naprawią świata, w UL-ach studenci pracują nad najważniejszymi problemami, bo sami tego pragną. **We współczesnym świecie młodzi ludzie tracą poczucie sprawczości, w czasie kursu w uniwersytecie ludowym – zyskują je!**
 6. UL-e cechuje wysokie zaufanie społeczne, wynikające między innymi z długiej tradycji, ich przedstawiciele są więc w stanie tworzyć platformę skutecznej współpracy z politykami.
 7. Społeczeństwo przyjmuje bez sprzeciwu, że **rząd wspiera finansowo UL-e, ale ich nie kontroluje**; wg szefowej FFD, gdyby tak się działo to UL-e nie mogłyby funkcjonować na wypracowanych w ciągu wieloletniej tradycji zasadach.
 8. Panuje powszechne przekonanie, że **UL-e najlepiej przygotowują obywateli do demokracji, bo nie uczą teorii demokracji, ale uczą na demokratycznych zasadach** (brak teorii, na każdym kroku w szkole mają miejsce ćwiczenia praktyczne). UL-e mają inspirować ludzi do brania odpowiedzialności za kraj we własne ręce. Jak największy dostęp do edukacji ma uzasadnienie demokratyczne, gdyż niewykształcony obywatel nie będzie czuł odpowiedzialności, w związku z czym nie będzie miał realnego wpływu na kształt demokracji w kraju.

W drugiej części spotkania głos zabrał przedstawiciel Ministerstwa Kultury, Agencji ds. Kultury i Pałaców, któremu podlegają uniwersytety ludowe od 10 lat, wcześniej były prowadzone przez Ministerstwo Edukacji.

I. Podstawa prawna:

Działalność uniwersytetów ludowych w Danii reguluje ustawa z 1890 r., jej ostatnia nowelizacja miała miejsce w 2013 r. Minione 130 lat to dużo czasu, aby wszystko uporządkować, nie można tych przepisów przykładać do sytuacji Polski, bo to są zupełnie inne rzeczywistości i uwarunkowania. Ustawa mówi o trzech filarach edukacji, którą realizują uniwersytety ludowe.

1. **Edukacja dla życia:** rozważanie odpowiedzi na pytania egzystencjalne, np. kim jest człowiek, jaki jest świat, jak reagować na pojawiające się zagrożenia?
2. **Edukacja ludowa:** zasada wpływu szkół na społeczeństwo i nawiązywania partnerskich relacji oraz wzajemnej współpracy.
3. **Edukacja demokratyczna:** ministerstwu zależy, aby podkreślać odmienny, nieformalny sposób kształcenia demokracji, ma to być nauka demokracji przez praktykę („*zamiast gadać o tym – robić to*”).

II. Finansowanie:

Budżet na 2025 r. przewiduje dotację państwa na działalność uniwersytetów ludowych w wysokości około 110 mln euro, z czego 90% to subwencja podstawowa na utrzymanie szkół, pozostała to dotacje celowe na projekty. Wsparcie operacyjne szkoły dzielone jest na 3 części: 7,5% budżetu to wsparcie na administrację, które otrzymuje każda szkoła niezależnie od wielkości i innych uwarunkowań, 85,2% to fundusze zależne od wielkości szkoły czyli od liczby uczniów i realizowanych kursów, np. kurs długości 1 tygodnia to subwencja w wysokości 6 tys. euro na 1 studenta, kurs trwający od 2 do 11 tygodni – subwencja w wysokości 9 400 euro na studenta, kurs powyżej 12 tygodni to dopłata rządu 16 tys. euro na studenta wg kalkulacji 1 student/ 40 tygodni/ 1 rok. Z kolei 7,4% budżetu przypada na studentów o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Liczba studentów oraz typy kursów wykazuje szkoła w sprawozdaniach, weryfikowanych przez zewnętrznych audytorów. Dotacja jest wypłacana miesięcznie i rozliczna po zakończeniu roku budżetowego. Na cały budżet danej szkoły składają się: w 46,2% – subwencja rządowa, 46% to czesne od studentów, 7,8% stanowią wpłaty z innych źródeł.

III. Free schools – zasady organizacyjne

Szkoła, która uznawana jest za uniwersytet ludowy musi być prywatna, niezależna, samostanowiąca i musi należeć do lokalnej społeczności. Szkołę na zewnątrz reprezentuje komitet, kieruje nią zarząd, który wybiera dyrektora. Nie ma żadnych odgórných wymogów odnośnie do kwalifikacji nauczycieli, każda szkoła może sama zdecydować, kto będzie jej nauczycielem. Każdy kurs musi być szczegółowo opisany – jakie zawiera treści i jakie są planowane efekty, program musi zawierać co najmniej 21 godzin zajęć w tygodniu i jest wewnętrzną sprawą szkoły, nie podlega kontroli instytucji zewnętrznych.

22.10. 2024 r. Ollerup (wyspa Fionia, gmina Svedenborg)

ACADEMY OF FREE SCHOOL TEACHING

Jest to jedyna w Danii wolna szkoła kształcąca nauczycieli, która działa na zasadzie uniwersytetu ludowego. Studenci szkół państwowych zamierzający zostać nauczycielami uczą się bezpłatnie, za naukę w tej szkole trzeba zapłacić. Kurs trwa 5 lat (w państwowej uczelni – 4 lata), pierwsze dwa lata w szkole, potem rok praktyki, w formie zatrudnienia w innej ze szkół oraz kolejne dwa lata nauki. Roczny okres praktyki jest pełnopłatny dla studenta tej szkoły, studenci innych szkół za okres praktyki nie otrzymują wynagrodzenia. Co roku tę szkołę kończy około 75 nauczycieli, którzy wchodzi na rynek pracy w Danii. Zasady naboru do szkoły też są odmienne od tych, które obowiązują w formalnym systemie kształcenia, gdzie wystarczy wypełnić formularz i przesłać go przez Internet. Aby zostać studentem „Academy of free scholl teaching”, trzeba przejść pomyślnie rozmowę kwalifikacyjną, ponadto należy mieć już jakieś doświadczenie zawodowe albo ukończyć wcześniej inną uczelnię (nie

są przyjmowani kandydaci bezpośrednio po maturze). Szkoła nie przygotowuje nauczycieli konkretnych przedmiotów, lecz kształci całościowo, aby nauczyciele mogli **nauczać życia poprzez uczenie danego przedmiotu**. Nie ma tu też egzaminów, wymogiem jest stuprocentowa frekwencja na zajęciach, a absolwent otrzymuje dyplom, w którym jego nauczyciel-opiekun umieszcza ocenę opisową/opinię. Jest to dokument, który składa się do potencjalnego pracodawcy lub ubiegając się o przyjęcie na inne studia. Dyrektorem szkoły też nie zostaje się z przypadku. Dyrektor (*for- mand* – stojący z przodu, szef) ma duże doświadczenie w uniwersytetach ludowych, gdzie wcześniej pracował, zdobył też doświadczenie w FDD, napisał również książki o tematyce pedagogicznej. Wiele razy słyszeliśmy, że nauka i praca w UL-ach są wzajemnie powiązane, stanowią kontynuację, niekiedy rodzinną, **bo to nie tylko wybór szkoły czy zawodu, to przede wszystkim wybór określonego sposobu życia oraz wartości**, które Duńczycy traktują serio. Szkoła została założona w 1920 r. i jest największym uniwersytetem ludowym w Danii. Pochwalić się może dużą i dobrze wyposażoną bazą sportową, umożliwia ćwiczenia i treningi na sprzęcie najwyższej klasy, przygotowuje do pracy między innymi trenerów i kadre sportową. Studenci z zasady nie biorą udziału w zawodach sportowych, gdyż **celem nauki nie jest rywalizacja, ale kształcenie**; za to szkoła prowadzi wymianę międzynarodową i współpracuje z innymi placówkami edukacyjnymi. W miejscu, w którym się mieści, funkcjonował od 1850 r. uniwersytet ludowy. W czasie II wojny światowej w budynku przebywali uchodźcy z Niemiec, od 1949 r. szkoła wznowiła swoją działalność. Jak opowiada jej dyrektor, uczniowie sami ją odbudowywali, ponieważ budynek został kompletnie zdewastowany przez uchodźców, którzy spalili wszystko, co było w niej wykonane z drewna. Jak zauważa dyrektor, dziś studenci nie budują szkoły, ponieważ inne są przepisy prawa, ponadto kiedyś pochodzili oni z rodzin rolniczych, byli więc bardziej zaradni i obcy w ciężkiej pracy. Studenci w ten sposób przywiązali się do szkoły, wspierali ją nawet długo po ukończeniu, dbali o nią i czuli się emocjonalnie związani. Obecnie w szkole jest około 300 studentów, z czego 75% mieszka na miejscu, wszyscy realizują jeden kurs, płatny i trwający 5 lat. W szkołach państwowych nauka trwa 4 lata i jest oczywiście bezpłatna. W szkole zatrudnia się dwudziestu nauczycieli i tyłu samo pozostałych pracowników administracji i obsługi. Każdy dzień zaczyna się od apelu, który prowadzą sami studenci, za każdym razem wskazane osoby muszą wystąpić publicznie i powiedzieć coś do pozostałych. W szkole jednym z obowiązkowych przedmiotów jest „opowiadanie historii” i w związku z tym każdy musi się tego nauczyć. Wejście do szkoły ozdabia olbrzymi mural, ufundowany z okazji jubileuszu jej 75-lecia, nosi tytuł „Poławiacz perel”. Przedstawia człowieka, który sięga po nową żarówkę, ale jednocześnie ma też starą. Żarówki symbolizują oświecenie, stara żarówka to symbol opieki nad czymś, co jest bardzo delikatne, zaś samo łowienie perel to metafora umiejętności odnajdowania w sobie samym istoty tego, co najważniejsze.

Zasady prowadzenia edukacji w szkole to: **wolność w nauczaniu** – dotyczy zarówno treści, jak i metod, rząd nie ingeruje w żaden sposób, decyzje dyrektora oceniają studenci i nauczyciele, którzy mogą się im sprzeciwić. Taka wolność to błogosławieństwo, ale z drugiej strony też odpowiedzialność i wyzwanie. Dlatego

wszystkie decyzje są dokładnie przedyskutowywane przez uczniów i nauczycieli, wspólnie podejmowane, nie ma żadnych wytycznych, wszystko pozostaje w gestii szkoły. Program realizowany obecnie w szkole powstał w 2018 r. i co kilka lat podlega ewaluacji, swoje zdanie wyrażają zarówno nauczyciele, jak i studenci. Wnioski z ogólnoszkolnej dyskusji wprowadzane są do programu. W tej szkole w każdą środę odbywa się **dzień demokratyczny**, co oznacza, że tego dnia nie ma zajęć, odbywają się za to spotkania szkolnej społeczności, na których omawia się tematy, wskazane przez samych zebranych, najczęściej studentów. Na pytanie o zatrudnienie dyrektor odpowiada, że około 10% absolwentów uczy w innych UL-ach, reszta pracuje w szkołach rządowych. Często dzieje się tak, że ludzie pozostają całe życie w UL-ach, najpierw jako uczniowie, potem jako pracownicy, a następnie posyłają tam własne dzieci, pomagają i wspierają szkołę finansowo jeszcze długo po jej ukończeniu. Na pytanie o to, czy wobec wszystkiego, co zostało tu powiedziane – można nie ukończyć szkoły – dyrektor odparł, że owszem. Niektórzy rezygnują sami, bo dochodzą do wniosku, że to nie ich droga życiowa, ale też są przypadki usuwania ze szkoły przez dyrektora ze względu na frekwencję albo negatywne zachowania, gdyż w ten sposób dba on o reputację szkoły, bo nie chce, aby negatywnie postrzegane osoby były z nią kojarzone.

GYMNASTIC FOLK HIGHT SCHOOL

Szkoła liczy obecnie 104 lata, pierwotnie przeznaczona była wyłącznie dla mężczyzn, kobiety dołączyły w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Założycielom przyswiecało hasło „w zdrowym ciele – zdrowy duch”. Absolwent ma być osobą w pełni ukształtowaną, przygotowaną do dalszego życia oraz inspirującą innych ludzi. Nauka w szkole trwa trzy semestry dla obywateli Danii, natomiast dwa semestry dla obcokrajowców. Czesne za semestr to około 60 tys. koron, nie ma określonych kryteriów przyjęcia do szkoły, może zapisać się każdy chętny. Obecnie w szkole jest więcej kobiet, najliczniejsza grupa ma około 20 lat, najstarszy student ma 34 lata, choć bywają i starsi, którzy na przykład traktują pobyt tu jako przygotowanie do służby w policji czy innych służbach mundurowych. Głównym pomieszczeniem jest bogato wyposażona sala gimnastyczna, która po zajęciach wynajmowana jest na potrzeby lokalnej społeczności. Zarówno nauczyciele jak i studenci prowadzą zajęcia dla osób z zewnątrz, odbywa się to na zasadzie wolontariatu. W szkole obowiązuje zasada, że po ukończeniu semestru może w niej pozostać grupa studentów, którzy pracują na jej rzecz w dzień, po południu mają intensywne treningi i mieszkają razem w namiotach. Jeżeli coś zrobią, naprawią, to mają prawo się pod tym podpisać. W szkole w 1926 r. zbudowano kryty basen (pierwszy taki w Danii). Dyrektor w prezentacji przedstawia najważniejsze zasady funkcjonowania szkoły:

- nie masz się tu czegoś nauczyć – masz żyć tym, czego się uczysz,
- nauczyciel i uczeń są partnerami – uczą się od siebie wzajemnie,
- uczenie się przez praktykę – zamiast teorii studenci uczestniczą w konkretnych wydarzeniach,

- szkoła otrzymuje regularną subwencję od rządu, a nie granty, więc możliwe jest długofalowe planowanie działalności statutowej, granty przeznaczane są na dodatkowe projekty,
- szkoła realizuje przedmioty obowiązkowe i przedmioty do wyboru, np. uczy, jak funkcjonować w społeczeństwie międzykulturowym,
- każda szkoła ma taki sam śpiewnik, codziennie rano na apelu śpiewa się kilka piosenek z tego śpiewnika (kilkadziesiąt z nich jest autorstwa Grundtviga),
- profity, które daje szkoła swoim studentom: **otwarty umysł, możliwość budowania relacji, umiejętność życia w społeczeństwie międzykulturowym, poczucie sprawczości, poczucie przynależności, system stypendialny.**

Badania wykazują, że 80% absolwentów w dalszym życiu pracuje na rzecz swoich społeczności, przyczyniając się do ich rozwoju, oddają w ten sposób społeczeństwu to, co sami otrzymali. I tak dalej...

23.10. 2024 r. Aarhus

EGMONT HIGH SCHOOL

Ten uniwersytet ludowy wyróżnia możliwość studiowania w nim przez osoby z niepełnosprawnościami. Został założony w 1956 r., **głównym celem było wykorzystanie potencjału osób z niepełnosprawnościami.** Może przyjąć jednocześnie około 200 studentów, z czego średnio 80 osób ma niepełnosprawności. W szkole panuje pełna **koegzystencja sprawnych i niepełnosprawnych**, przestrzega się zasady, że wszystko ma być dostępne dla wszystkich, co w dalszej perspektywie okazuje się bardzo dobre dla społeczeństwa. Wiadomo, że ludzie są różni, mają różne potrzeby i taki stan przyjmuje się za oczywisty, wszyscy mają takie same prawa, a osoby niepełnosprawne mają prawo do samostanowienia o sobie, do dokonywania samodzielnych wyborów. **Tylko i aż (!) tego uczy właśnie ten uniwersytet ludowy.** Wśród wszystkich osób niepełnosprawnych około połowy ma poważne schorzenia, np. padaczkę, paraliż, niepełnosprawności psychiczne; wymagają więc one dodatkowego wsparcia. Wszyscy studenci muszą wybrać dwa przedmioty obowiązkowe i 5 dodatkowych, czyli w czasie kursu realizują łącznie 7 przedmiotów. Swoje decyzje podejmują dopiero po wstępnym zapoznaniu się z tym, jak wygląda nauczanie, jeżeli jakiś przedmiot nie cieszy się zainteresowaniem, to „wypada” z planu, uczniowie mogą też sami proponować przedmioty dodatkowe. Poza tym odbywają się w szkole liczne zajęcia dodatkowe, **dyrektor podaje, że najbardziej sprzyjają integracji zdrowych i niepełnosprawnych studentów zajęcia teatralne**, które cieszą się w szkole dużym powodzeniem. W czasie wszystkich zajęć obecni są nauczyciele wspomagający, na „nockach” w internacie pracują wykwalifikowani medycy, natomiast dodatkowo każdą osobą niepełnosprawną opiekuje się student, który towarzyszy jej w posiłkach, zajęciach, po prostu jest obok i pomaga, kiedy zajdzie taka potrzeba. I wiadomo o tym nie tylko z wypowiedzi dyrektora, podczas wizyty w szkole można było zaobserwować taką **wzajemną symbiozę osób spraw-**

nych i niepełnosprawnych na każdym kroku, czy to w jadalni, czy na przerwie, czy wreszcie w trakcie zajęć warsztatowych – niesamowite doświadczenie!

Wartości, na których opiera swą pracę szkoła to: **godność, samostanowienie** (zwłaszcza dla osób z niepełnosprawnością) oraz **solidarność międzyludzka** rozumiana w ten sposób, że **jeśli ktoś może wziąć na siebie więcej, to niech bierze** (!). W centralnym punkcie szkoły umieszczony jest ogromny obraz o wymiarach 12 m x 4 m. Historia, opowiedziana przez dyrektora mówi, że obraz został ufundowany przez absolwenta, osobę z niepełnosprawnością, która w tej właśnie szkole szczęśliwie się zakochała z wzajemnością. Dla wyeksponowania obrazu dobudowano specjalne pomieszczenie, służące do spotkań, lektury i spędzania wolnego czasu. Obraz w sposób symboliczny opowiada dzieje szkoły i dzieje świata, przedstawia wiele postaci z różnych dziedzin życia, które są postrzegane jako ważne przez autora, wywodzącego się z lokalnej społeczności. Historia opowiedziana na obrazie odzwierciedla to, w jaki sposób jedni ludzie wykluczali wszystkich innych na przestrzeni wieków (innych pod każdym względem). Przesłanie jest następujące: **sprawność jest stanem przejściowym, każdy w którymś momencie życia ją traci i staje się niepełnosprawny. Trzeba więc stworzyć taki system społeczny, aby każdy, gdy będzie tego potrzebował, otrzymał odpowiednie wsparcie.**

24.10. 2024 r. Hadsten

HADSTEN HIGH SCHOOL

Ta placówka reprezentuje klasyczny duński uniwersytet ludowy, w którym stawia się na **holistyczny rozwój człowieka**. Szkoła powstała w 1876 r. i jest ósmą w kolejności starszeństwa wśród duńskich UL-i. Architektoniczny układ zabudowań szkoły ma swoją symbolikę; znajdują się w niej dwa patia, jedno zewnętrzne, drugie wewnątrz budynku. **Symbolizują one, że świat szkoły jest w jakiś sposób odrębny, ale jednocześnie pozostaje otwarty na zewnątrz**. Realizuje się tu grundtvigiańska zasada łączenia w jedno trzech sfer życia człowieka: dzieciństwa, dla którego właściwe są fantazje, młodości, w której górę biorą emocje oraz dojrzałości, którą rządzą zmysły. **Wg Grundtviga pełna edukacja człowieka łączyć powinna wszystkie te obszary**. Dlatego w szkole dba się o coś dla ciała i dla ducha, jest w niej pracownia malarska, pracownia projektowania, powstała nowa pracownia linorytu, ciesząca się dużym zainteresowaniem wśród studentów, podobne jak pracownia fotografii analogowej. Jednak największą popularnością zarówno w tej szkole, jak i innych UL-ach cieszy się pracownia ceramiczna. Dyrektor podaje, że 20 lat temu była jedna grupa, która chciała uczyć się w pracowni ceramicznej, obecnie praktycznie wszyscy studenci tego chcą. Zajęcia w pracowni ceramicznej to coś więcej, niż klikanie w wirtualne ikony telefonu, tu powstaje coś namacalnego, rzeczywistego (fonoholizm to obecnie ważny temat w duńskich szkołach). Równocześnie nauczyciele mają świadomość, że zjawisko jest przejściowe i za jakiś czas zainteresowanie wytwarzaniem ceramiki się skończy. Jednak dopóki jest, to szkoła zobowiąza-

na jest realizować takie zajęcia bo, jak mówi jeden z pracowników: „**uniwersytet ludowy to miejsce spotkania tego, co uczniowie chcieliby realizować z tym, co nauczyciel umie im zaoferować**”. Szkoła ma też obszerną i bardzo dobrze wyposażoną pracownię stolarską oraz pracownię gastronomiczną, właśnie przy niej powstaje ogród warzywny, aby można było przygotowywać potrawy, używając własnych warzyw i ziół. W pracowni stolarskiej znajdują się bardzo duże maszyny, na których jednak nie pracują studenci, a jedynie nauczyciele przygotowują dla nich formy do ćwiczeń. Używania określonych maszyn przez uczniów zabraniają przepisy bhp, które ponadto określają dopuszczalny stopień zanieczyszczenia, w związku z tym przy każdej czynności używa się pochłaniaczy pyłu i w pomieszczeniu jest bardzo czysto. Ponadto obowiązuje zasada, że wytwarzanych przez studentów wyrobów nie wolno sprzedawać, a dzieje się tak z tej prostej przyczyny, że **dotowani przez państwo uczniowie po prostu nie mogą zarabiać!** Jak w każdej szkole jest tu też sala gimnastyczna, jednak stosunkowo niewielka, bo nastawiona na uprawianie dyscyplin niszowych, mało popularnych. Z założenia chodzi tu o **coś więcej niż sam sport, ma to być aktywne spędzanie wolnego czasu, rekreacja dla zdrowia i dbałość nie tylko o kondycję, ale o estetykę ciała**. Dla przykładu: jeden z tyczkarzy stwierdził, że oczywiście mógłby skakać wyżej, ale to wymagałoby intensywniejszych ćwiczeń, zmieniających wygląd ciała, niekoniecznie estetycznie, w związku z tym pozostaje na takim poziomie, który sprawia mu przyjemność. Niektórym mogłoby się wydawać, że taki uniwersytet ludowy to to samo, co szkoła zawodowa. Nic bardziej mylnego. Celem nauki w uniwersytecie nie jest zdobycie certyfikatu, zdanie egzaminu, zawód. **Student ma tu czegoś doświadczyć, spróbować swoich sił w wykonaniu czegoś, ma w ten sposób budować swój prywatny kapitał życiowy na przyszłość**. Pomoże on w podjęciu decyzji o wyborze zawodu, o miejscu i ludziach, z którymi będzie chciał dzielić życie, a mniej pomyłek, rozczarowań i frustracji to czysty zysk dla demokratycznego społeczeństwa i państwa. Sale, w których odbywa się kształcenie ogólne też mają swoją specyfikę. Odwiedziliśmy miejsce, które przypomina domowy salon, znajdują się w nim wygodne sofy, bujane fotele, mnóstwo poduszek, serwetek i innych prac, wykonanych na drutach lub szydelku. Nasze wątpliwości rozwiał dyrektor, który powiedział, że w tym miejscu odbywały się kiedyś zajęcia, na które chodziło niewiele osób. Nauczycielka miała za zadanie zmienić koncepcję, więc wymyśliła, że będzie to pracownia robotek ręcznych. Kupiła używane meble, przearanżowała przestrzeń, a w czasie kolejnych zajęć studenci sami tworzyli wyposażenie tego pokoju. W rezultacie powstało miejsce, gdzie panuje prawdziwie domowa atmosfera, gdzie można wygodnie odpocząć, rozmawiać, gdzie tworzą się relacje, a zajęcia w zmienionej formule zaczęły cieszyć się bardzo dużym zainteresowaniem. Innym, popularnym wśród studentów miejscem jest pracownia muzyczna, gdzie do dyspozycji pozostaje cała gama profesjonalnych instrumentów. Ulubioną przez wszystkich jest **sala Einsteina**, która też powstała z potrzeby życiowej. Studenci często wymykali się do miasta, aby odwiedzić miejscowe puby czy bary, co nie podobało się dyrektorowi. W budynku była nieużywana pracownia, gdzie kiedyś odbywały się zajęcia z chemii i fizyki dla przy-

szlych pielęgniarek, ale ich kształcenia już dawno zaniechano. Za zgodą dyrektora miejsce to zostało zagospodarowane przez studentów tak, że powstało tam pomieszczenie klubowe. Ci, którzy prowadzą bar, nazywani są apostołami Einsteina, a zyski pozostają w szkole, studenci przeznaczają je na wspólne zakupy, nazywane „prezentami od Einsteina”. Jednym z nich jest system audio, zainstalowany we wspólnych łazienkach, z tego powodu pokoje z oddzielnymi łazienkami nie cieszą się aż tak dużą popularnością, jak mogłoby się wydawać. Zajęcia w szkole trwają codziennie do godziny 18.00, jednak wielu studentów pozostaje nawet dłużej, gdyż wszyscy mieszkają na miejscu i mogą spędzać cały wolny czas zgodnie z upodobaniami. Na pytanie o kwestie religijne w szkole padła odpowiedź, że społeczeństwo duńskie jest w przeważającej części ateistyczne, więc religia pozostaje sprawą prywatną i nie istnieje w przestrzeni publicznej.

Na zakończenie dyrektor po raz kolejny wraca do idei Grundtviga, na których opiera się filozofia pracy szkoły i podsumowuje: **demokracji się nie wykłada, demokrację się ćwiczy na sobie, a wspólnota jest siłą!**

* * *

W mojej relacji z wizyty studyjnej starałam się zawrzeć jak najwięcej z zasłyszanych wiadomości, do których nie dodawałam komentarzy i uwag. Jednak nie sposób oprzeć się chęci dokonania podsumowania tego jakże ważnego dla mnie wydarzenia. I nie chcę w tym miejscu rozpisywać się o tym, czego to w Polsce nie mamy. Bo nie mamy i mieć nie będziemy. Nie mamy duńskiej tradycji kształcenia w uniwersytetach ludowych, która daje pewną nobilitację, nie mamy wypracowanych przez wieki (!) uregulowań prawnych, dzięki którym duńskie wolne szkoły otrzymują stałą subwencję, nie mamy też społecznego zaufania, którym tu darzy się tego typu nieformalną edukację. Zupełnie odmiennie rozumiemy chociażby to, na czym polega uczenie społeczeństwa demokracji i sens tego uczenia. Nie wyobrażamy sobie edukacji bez egzaminu i certyfikatu. Można by tak mnożyć w nieskończoność... Zamiast to robić, chcę napisać o tym, co zobaczyłam z duńskiej perspektywy, a mianowicie – co mamy? A wiele mamy, bo przeszło sto lat minęło od kiedy w Polsce powstał pierwszy uniwersytet ludowy.

Prof. Tadeusz Pilch tak pisze o początkach UL w Polsce: „Pierwszy z nazwy UL założył ks. A. Ludwiczak na Pomorzu w 1921 r. Ale powszechnie w pedagogice polskiej za pierwszy UL uważa się Farmę Ogrodniczą Jadwigi Dziubińskiej w Pszczelinie na Mazowszu, która powstała w 1900 r. Ale wówczas pod zaborem rosyjskim nie wolno było Polakom używać nazwy „szkoła” na jakąkolwiek instytucję, a co dopiero nazwy „uniwersytet”. Na Dziubińską policjanci carscy złożyli przez pierwsze 3 lat około 90 skarg do Petersburga (za wprowadzanie notatek (zabronione), za mówienie na lekcjach po polsku (zabronione), za modlitwy przed lekcjami po polsku (zabronione). Ks. Ludwiczak był dwa razy w Danii, drugi raz oficjalnie jako polski nauczyciel. Dziubińska była w Danii co najmniej trzy razy, a w 1924 r. zawiozła na konferencję oświatową osiemdziesięcioro polskich nauczycieli. Do

1915 r. z jej inicjatywy powstały jeszcze 4 uniwersytety ludowe, noszące oficjalnie nazwę farmy, np. gospodarstwa domowego dla dziewcząt w Bratnem.”

Mamy więc w naszym kraju chlubną przeszłość, bogactwo dokonań i dziedzictwo kilku pokoleń działaczy, mamy naszą polską historię, w której uniwersytety ludowe wciąż na nowo poszukiwały swojego miejsca i rozumiejących ich przesłanie sprzymierzeńców. Od kilku lat mamy program rządowy, oferujący konkretne wsparcie na realizację pomysłów i działań zgłaszanych w drodze konkursu przez uniwersytety ludowe. Należy jasno powiedzieć, że jeżeli przez ponad stulecie idea uniwersytetów ludowych w Polsce przetrwała, to znaczy, że jest wartością samą w sobie. Potrzeba nam teraz szukania wspólnego mianownika w bogactwie i wielości pomysłów, potrzeba płaszczyzny dla wymiany doświadczeń i współpracy oraz – co uważam za najważniejsze – wzajemnego szacunku. Nasza siła leży w naszej wspólnotcie i jedności! Właśnie to przekonanie i idące w ślad za nim działania możemy od razu przenieść z duńskiej tradycji do naszej polskiej rzeczywistości.

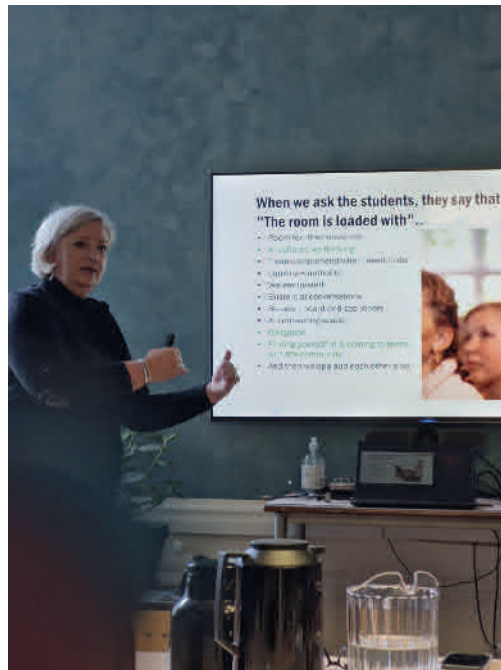
W raporcie, napisanym po zakończeniu wizyty studyjnej dla jej organizatora czyli Narodowego Instytutu Wolności zawarłam następujące wnioski i spostrzeżenia.

1. Spotkanie w FFD uzmysłowiło mi, jak bardzo dzieli nasze narody historia, jak daleko od siebie jesteśmy w myśleniu o edukacji dorosłych, w związku z powyższym duńskie i polskie uniwersytety ludowe są siłą rzeczy odmienne. Duńska koncepcja została wypracowana systematycznie, przez długi czas, opiera się na społecznym zaufaniu i prestiżu, na trwale stała się częścią duńskiego systemu edukacji i istnieje obok edukacji formalnej. **I choć nie da się „zrobić kalki” i wprost przenieść duńskich rozwiązań organizacyjno-prawnych na grunt polski, to warto** rozważyć wprowadzenie w naszym kraju zasady, że **jedna organizacja (grupa przedstawicieli)** reprezentuje interesy wszystkich uniwersytetów ludowych w kraju wobec instytucji rządowych.
2. Cenne i ważne wydaje się przywoływanie obowiązujących w tamtejszych uniwersytetach ludowych zasad oraz przyjętego systemu wartości. I to właśnie one – **wartości** – powinny stać się fundamentem dla wprowadzenia definicji, **czym wspólnie jest/ powinien być polski uniwersytet ludowy?**
3. Kwestią do szerszej dyskusji wydaje się określenie grup docelowych, do których w naszym kraju kieruje się ofertę edukacyjną uniwersytetów ludowych. W Danii co prawda znajdują się one na terenach wiejskich, ale odbiorcami zarówno tam, jak i u nas nie jest już młodzież pochodząca z rodzin rolniczych (a przynajmniej nie jest to duża grupa). U nas panuje wielka różnorodność pomysłów na działania UL-i, jednak należy to uznać za pewien okres przejściowy; uważam, że dalszy rozwój powinien być bardziej uporządkowany i podlegać pewnej systematyce.

Pobyt w Danii sprawił mi także osobistą niespodziankę, gdyż w grupie uczestników znalazła się moja imienniczka, ponadto urodzona tego samego dnia i miesiąca (!). Aldona Okraszewska – ekspert ds. metodyki w Małopolskim Uniwersytecie Ludowym LOWiE. Wspólnie pracowałyśmy nad raportem dla NIW, pozwolę więc sobie przytoczyć również jej trafne spostrzeżenia (za zgodą autorki).

1. „Dla mnie był to pierwszy kontakt z uniwersytetami ludowymi u samego źródła ich powstania, czyli w Danii. Wizyta ta pokazała mi bardzo dobitnie, że uniwersytet ludowy według koncepcji Grundtviga, rozwiniętej w XIX-wiecznej Danii, to instytucja edukacyjna **skoncentrowana na uczeniu przez całe życie, dialogu, wspólnocie oraz rozwijaniu umiejętności praktycznych i intelektualnych w duchu demokracji i wolności**, której celem było (i nadal jest) kształcenie obywateli nie tyle dla potrzeb zawodowych, ale może przede wszystkim do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym. To podkreślanie przez każdego dyrektora szkoły, które mieliśmy okazję usłyszeć podczas całego wyjazdu, że **„my pomagamy naszym studentem w ich rozwoju i poznawaniu, jakimi są ludźmi”**, było kluczowe dla zrozumienia idei działalności Folk High Schools.
2. Mieliśmy możliwość obejrzenia i spotkania się ze społecznością czterech różnych uniwersytetów ludowych, każdy specjalizował się w innej dziedzinie lub jego oferta skierowana był do innej grupy odbiorców, ale **w każdym słyszeliśmy o tych samych zasadach i wartościach, stanowiących „core” uczenia się w tego typu szkołach: tu uczymy się życia, uczymy się bycia człowiekiem i obywatelem.**
3. Uniwersytety Ludowe w Danii są traktowane jako element duńskiego systemu edukacji, ale edukacji pozaformalnej (funkcjonującej równolegle do edukacji formalnej) i finansowane ze środków rządowych za pośrednictwem stałej subwencji (dotację podstawową i dotację „na każdego studenta”). Nawet jeśli subwencja stanowi niecałe 50% kosztów utrzymania UL-i, to sam fakt, że szkoły mają stałe źródło finansowania ze środków rządowych, przy ogromnej dowolności i elastyczności w kształtowaniu programu nauczania (jedyne warunki, że program ma opierać się na trzech zasadniczych filarach: edukacji życiowej, edukacji ludowej i edukacji demokratycznej) przy braku jakichkolwiek ocen i egzaminów, zasługuje na wielkie uznanie. Takie rozwiązanie w naszych warunkach wydaje się raczej niemożliwe do zastosowania. W Polsce jest wiele inicjatyw edukacyjnych, skupiających się na uczeniu dorosłych i rozwijaniu ich umiejętności poza systemem formalnym. Stworzenie więc systemu finansowania rządowego (subwencyjnego) podobnego do funkcjonującego w Danii dla UL-i, przy istniejącej u nas wielości i różnorodności form edukacji pozaformalnej, i jednoczesnym niedofinansowaniu edukacji formalnej, raczej się nie uda. **Natomiast próba uregulowania prawnego edukacji dorosłych opartej na koncepcji uczenia się przez całe życie, której elementem są m.in. innymi inicjatywami Uniwersytety Ludowe, może być właściwym krokiem.**
4. Na pewno warty uwagi jest ten element funkcjonowania uniwersytetów ludowych dotyczący budowania wspólnot opartych na współpracy i wymianie doświadczeń (to wspólnotowe działanie) oraz edukacjaobywatelska, która **w warunkach polskich dotychczas nie była priorytetem. Położenie nacisku na te elementy programu, gdzie promuje się aktywne uczestnictwo w życiu demokratycznym, krytyczne myślenie i świadomość społeczną,**

powinno być wyróżnikiem działalności każdego uniwersytetu ludowego. Uważam, że **wspólnotę można budować bez względu na to, czy uniwersytet posiada internat czy nie.** W warunkach duńskich szkoły z internatem doskonale spełniają swoją rolę. Ale, jak widzieliśmy podczas wizyty, słuchaczami tych uniwersytetów ludowych są najczęściej młodzi ludzie w wieku 18–25 lat, którzy, jak sami dyrektorzy szkół mówili, robią sobie „przerwę” by poznać siebie i zastanowić się nad dalszą ścieżką życiową. Być może w warunkach polskich taka forma uczenia się, połączona z dłuższym pobytem w internacie jest także dobra dla młodych ludzi. Natomiast jeśli **uniwersytet ludowy ma być otwarty dla dorosłych w każdym wieku, to warto się zastanowić nad formułą ofertowy programowej.** Niech będą to programy długie, kilku-miesięczne, które odpowiadają na potrzeby zarówno indywidualnego uczestnika jak i wspólnoty, ale mogą być realizowane w formie cyklicznych spotkań, być może także z uwzględnieniem nowoczesnych metod nauczania (zdalne zajęcia, platformy online i interaktywne narzędzia), część z nich organizowana w trybie ciągłym, z noclegiem, itp. itd. **Wspólnotę miejsca należy rozumieć szerzej, jako przestrzeń, w której chcemy wspólnie przebywać, rozwijając się we wspólnocie”.**



Szefowa FFD podczas prezentacji



Miejsce do nauki robótek ręcznych



Jubileuszowy mural – Poławiacz perel



Sala lekcyjna



Wyobrażenie Grundtviga – wersja kominkowa (wykonali studenci)



Uczestnicy wizyty studyjnej przed budynkiem UL w Hadsten Højskole, pierwszy od prawej
M. Braun – dyrektor NIW

The Act on Folk High Schools

WE, MARGRETHE II, Queen of Denmark by the Grace of God, hereby proclaim:
Folketinget, the Danish Parliament, has passed and We have by consent given Our Royal Assent to the following Act:

Chapter 1

Scope and function of the Act

Section 1. (1) The Act shall apply to folk high schools that provide teaching and fellowship in courses with the primary aim of advancing life enlightenment, public enlightenment and democratic education and training and that have been approved by the Minister for Culture for grants. The teaching shall be of a comprehensively general nature. Individual subjects or subject groups may feature prominently, but never at the expense of generality. The activities of the schools shall be organised according to their self-elected basic values.

(2) Youth folk high schools shall be defined as folk high schools that by the end of 1971 have been approved for offering courses for students that do not meet the age requirement of this Act.

Section 2. (1) Folk high school students shall live in at the school for the duration of the course.

(2) The schools may to a limited extent admit day students, who shall not be required to live in at the school for the duration of the course.

(3) The Minister for Culture may lay down rules on day students, including rules on the number of day students.

Chapter 2

Basic conditions

Section 3. (1) Folk high schools shall meet the following conditions:

- 1) The school must be a private, self-owned institution within section 1. The management and governance of the school must be regulated by articles of association.
- 2) The school must be independent in its activity as a self-owned educational institution, and the school's funds may only benefit the school's school and education activities, however cf. subsections (2) and (3).
- 3) The school must have a parents' association or a body of representatives which shall be behind the establishment and operation of the school.
- 4) The school must have at its disposal suitable and adequate student rooms, principal and teacher accommodation, dining and living rooms, classrooms and equipment and mainly constitute one geographic and structural unit, however cf. subsection (4).



THE ACT ON FOLK HIGH SCHOOLS

Rozdział 1

Zakres i skutek ustawy

§ 1. Ustawa obejmuje uczelnie społeczne prowadzące zajęcia dydaktyczne i towarzyskie na kierunkach, których głównym celem jest wychowanie do życia, edukacja popularna i edukacja demokratyczna, zatwierdzonych przez Ministra Kultury do dotacji.

Nauczanie musi mieć szeroki charakter ogólny. Pojedyncze przedmioty lub grupy przedmiotowe mogą zajmować eksponowane miejsce, ale nigdy kosztem ogółu społeczeństwa.

Działalność szkół musi być zorganizowana w oparciu o wybrane przez nie wartości.

GRANTS FOR FOLK HIGH SCHOOLS

Basic grant (7,5%)

Grant per school ~ 112.000 EUR

Variable grant (85,2%)

Grant per students

- Week courses ~ 6.000 EUR
- Short courses (2-11 weeks) ~ 9.400 EUR
- Long courses (12+ weeks) ~ 16.000 EUR

Ekstra variable grants (7,4%)

Ekstra grants per student for specific groups

1 student
=
40 weeks

22-10-2024 20



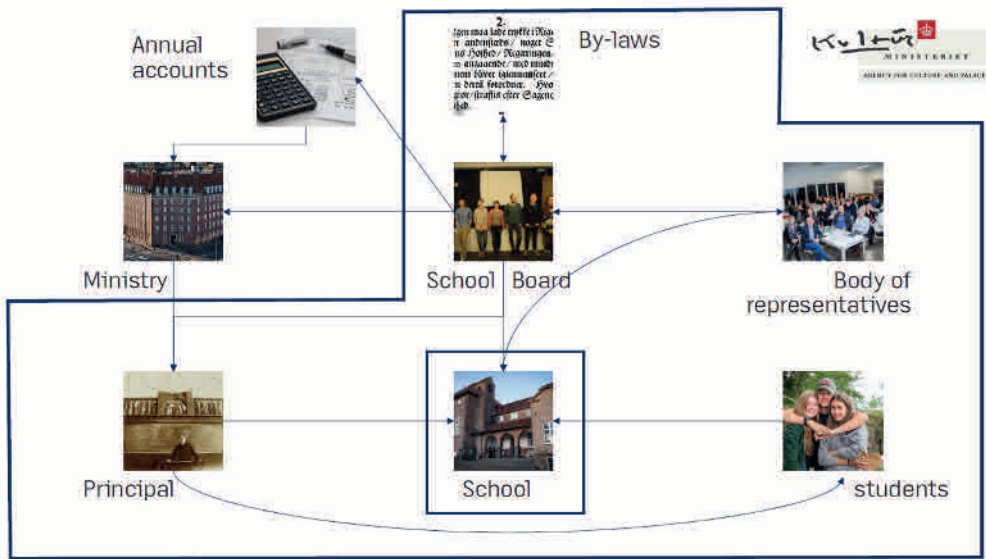
Foto: Nils Kristensen / Bornholms Ertræskole



OTHER INCOME FOR FOLK HIGH SCHOOLS

Public grants 46,2%
Student fees 46,0%
Other incomes 7,8%

"Section 8: (1) The school must have other types of income than government grants"



Zdjęcia z archiwum autorki, dołączone materiały – z prezentacji przedstawiciela Ministerstwa Kultury Larsa Heidtmanna

Tadeusz Pilch

Recenzja pracy Gabrieli Grzegórskiej pt. „Najpiękniejsza przygoda mojego życia”



Dzięki niezwykleму zbiegowi okoliczności i zapewne przez roztargnienie Autorki książka ta trafiła w moje ręce, w dwadzieścia lat po wydaniu i prawie ćwierć wieku po napisaniu jej przez Autorkę-nauczycielkę. Mimo że recenzja w takich okolicznościach jest spóźniona i mało użyteczna, to uważam za konieczne wprowadzenie tego opracowania w nurt literatury opisującej zjawisko Uniwersytetów Ludowych. Żyję obok tego zjawiska ponad pół wieku. Napisałem o nim kilkanaście artykułów i nieukończoną książkę. Poznałem jego skandynawskie źródła – jestem absolwentem jednego z najstarszych duńskich Uniwersytetów Ludowych –

Grundtvigshøjskole Frederiksborg k. Kopenhagi, byłem organizatorem zjazdu założycielskiego TUL w Opaleniu w 1981 r. Jakim cudem ta piękna książka o pięknej przygodzie życia nigdy nie trafiła w moje ręce, ani nie weszła do kanonu literatury o oświacie ludowej – nie mogę zrozumieć. Jest to książka szczegółowa: łącząca rzetelną faktografię z trafną oceną merytorycznych treści kształcących i niesłychanie pozytywną, emocjonalną ocenę klimatów i więzi międzyludzkich uczestników kursów oświatowo-intelektualnych organizowanych przez uniwersytety ludowe. Znając historię skandynawskiego ruchu uniwersytetów ludowych i zakładając, że skutki ich oddziaływania na pokolenia młodych Skandynawów były podobne do tych, które opisuje w swoich wrażeniach pani Gabriela Grzegórska, a moje osobiste obserwacje potwierdzają taką hipotezę – nie dziwię się, że blisko 200 lat ich oświatowego działania na pokolenia młodzieży skandynawskiej musiało te kraje wyprowadzić na czoło ekonomicznego i kulturowego prymatu we wszelkich klasyfikacjach światowych.

Rodzi się więc dramatyczne pytania: dlaczego polskie uniwersytety ludowe działały zawsze; od 1900 r. do dzisiaj na marginesie tolerancji wszelkiej władzy: zaborczej, sanacyjnej, komunistycznej i rzekomo wolnej Polski?

Tytuł swojego „dziela-pamiętnika” autorka określa nader zobowiązująco, ale bardzo trafnie: „najpiękniejsza przygoda mojego życia”. Po przeczytaniu książki pozostało we mnie wrażenie trafności tego tytułu. Książka zawiera dwie cechy nadające

jej szczególnie walor: poznawczy – bogactwo treści merytorycznych i faktograficznych oraz emocjonalny – osobiste, aprobujące uczucia autorki wobec treści przekazywanych przez wykładowców oraz organizatorów szkoleń i wszelkich form współzycia w całym procesie kształcenia. Ta aprobata dla wartości emocjonalnych i poznawczych procedur współzycia i kształcenia uczestników kursów jest przez autorkę rzetelnie i obiektywnie oceniana, często przy zastosowaniu rzetelnych argumentów, z użyciem własnych doświadczeń, wykorzystywania treści kształcenia dla podnoszenia własnych kwalifikacji i stosowania poznanej wiedzy w osobistej praktyce zawodowej.

Autorka nie ukrywa swojej fascynacji wobec większości treści poznawanych na wykładach, wobec okoliczności towarzyszących szkoleniom, wobec całego procesu pracy oświatowej, w jakiej uczestniczy. Weryfikuje jej użyteczność – jak wyżej wspomniałem – we własnej pracy wychowawczej i dydaktycznej. Z opisywanych przez nią wrażeń można wnosić, że nie jest osamotniona w tej aprobującej ocenie wartości organizowanego szkolenia przez TUL, czasem przez ZMW, czasami przez instytucje ruchu ludowego. Wokół tych szkoleń toczy się normalne życie społeczne, polityczne, gospodarcze. Czasem znajdują te aktualności echa na spotkaniach i wykładach, ale autorka słusznie nie włącza ich w swoje opisy i oceny. Jest skupiona na merytorycznych zagadnieniach szkoleń i ich oświatowych, poznawczych owoców. A przecież lata 80-te, jak większość naszych czasów „ustawicznej transformacji”, to zdarzenia prowokujące do sądów, ocen, emocjonalnych rozrachunków. To omijanie politycznych rozrachunków, ewentualnych możliwych sporów ideologicznych należy zaliczyć do zalet narracji książki.

Natomiast z „pamiętnika” pani Grzegórskiej wylania się jej skłonność do społecznego zaangażowania, spontanicznego budowania międzyludzkich więzi wspólnotowych, pozytywnych emocji wobec kultur regionalnych, akceptacji dla przyrody, lokalnych obyczajów, które zawsze prezentuje z aprobatą i otwartością dla ich poznania. Cała książka jest rzetelna w swej warstwie opisowej i oceniającej. Zaletą pracy jest unikanie dyskursów politycznych, te bowiem zawsze noszą znamiona zafalszowań, nierzetelności, stronniczości i innych ułomności wobec prawdy. Natomiast wiernie oddaje efekty twórcze pracy oświatowej, w szczególności TUL-u. Słusznie nie odnosi się do zjawisk pokrewnych, np. organizacji młodzieżowych, które zmieniały swoje nazwy i cele w rytm suflowanych decyzji z „białego domu” – jak nazywano siedzibę PZPR. Jedynie odstępstwa od faktograficznej rzetelności dotyczą niekiedy pomijania faktów historycznych, dotyczących np. powstawania i metamorfóz samego TUL-u lub nadmiaru aprobaty dla wybranych osób. Ale to są drobne uchybienia wobec obiektywności sądów. Natomiast ułomnością narracji jest nadużywanie personalnych identyfikatorów dla swoich opisywanych, lub wymienianych przyjaciół. Nagminnie posługuje się zdrobnieniami imion swoich bliskich przyjaciół, nie dbając o ich bliższą identyfikację dla „obcego” czytelnika – nazwiskiem, miejscem zamieszkania, itp. A rzecz jest ważna, ponieważ kręgi serdecznych przyjaciółek i przyjaciół wspianiałej autorki są bardzo liczne. W pewnym momencie przestałem się starać identyfikować kolejnie Ale, Emilki, Zosie, ...

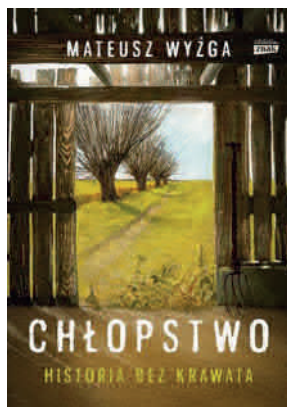
Ta „najpiękniejsza przygoda życia” pani Gabrieli Grzegórskiej nie ma w polskiej literaturze równie pięknego językowo, poznawczo i emocjonalnie dzieła opisującego wartość i uroki życia w kręgu oświatowej działalności uniwersytetów ludowych. Wzbogacona o drobne uzupełnienia historycznych zdarzeń i faktów, zachowując swój naturalny poziom obiektywnych emocji i ocen w obszarze pracy oświatowo-wychowawczej TUL, powinna doczekać się drugiego wydania i na trwale wejść do kanonu literatury poświęconej zjawisku pracy oświatowej, kulturalnej i wychowawczej Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych oraz samych Uniwersytetów Ludowych, które – jak udowodniły doświadczenia krajów skandynawskich – są najsukcesyjną dźwignią awansu kulturowego i gospodarczego na świecie!

Gabriela Grzegórska, *Najpiękniejsza przygoda mojego życia*, Włocławek 2004 r., Wydawnictwo EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek.

Warszawa 20.X.2024 r.

Sławomir Kępka

Recenzja książki Mateusza Wyźgi „Chłoptwo. Historia bez krawata”



Można historię chłopstwa pisać z punktu widzenia naukowego, czyli stosując odpowiednie metody badawcze, które mają dać odpowiedzi na pytania, na które nikt nie odpowiedział (lub zrobił to nieodpowiednio). Można na ten temat pisać także z punktu widzenia chłopca, który mieszka na wsi, z ziemi czerpie dochód i jest do tego związany z nią od pokoleń.

Autor recenzowanej książki szczęśliwie spełnia te dwa warunki. Mateusz Wyźga jest chłopskim dzieckiem, które od młodości pracowało w gospodarstwie swoich rodziców. Był także wieloletnim soltysem rodzinnej wsi Dziekanowice niedaleko Krakowa, gdzie cały czas mieszka.

Wyźga jest również historykiem i demografem historycznym, profesorem w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie. W dorobku ma m.in. książki naukowe „Parafia Raciborowice od XIV do końca XVIII wieku: studiów społeczności lokalnej” i „Homo movens. Mobilność chłopów w mikroregionie krakowskim w XVI–XVIII wieku”, które były podstawą nadania mu tytułu doktora (2010) i doktora habilitowanego (2020).

Mateusz Wyźga pisze historię chłopstwa na laptopie, nie przy swoim profesorskim biurku w Krakowie, lecz „wśród łąk i pól”. A jest to dzieło imponujące, liczące bez mała 500 stron. W przerwach autor zakasuje rękawy, wsiada do traktora lub chwyta za widły.

„Pod względem formalnym jest to pozycja wyjątkowa i przelomowa, gdyż chyba jeszcze nikt z polskich historyków nie zdecydował się na tak szerokie wykorzystanie własnego doświadczenia jako specyficznego źródła historycznego do badania dziejów społecznych i gospodarczych” (z recenzji wydawniczej dr hab. Tomasza Wiślicza).

Autor, opisując historię mieszkańców polskiej wsi na przestrzeni wieków, korzysta z bardzo wielu dyscyplin naukowych. Jest to historia życia chłopów na ziemiach polskich na przestrzeni dziejów, ale także charakterystyka ich pracy, działalności i obyczajów. Widać także, że jest pisana nie tylko przez bardzo dobrego naukowca,

ale także przez „chłopa”, czyli osobę mentalnie i obyczajowo związaną z polską wsią, na co dzień żyjącą jej sprawami i problemami.

Według autora na wsi zachowały się pokłady kultury lokalnej, których nie wchłonęła postępową „globalna wioska”. Jak pisze: „Chciałbym ocalić te wiejskie mikroświaty, w których sam dorastałem, dla przyszłych pokoleń”. Wyżga uznaje *chłopstwo* za termin lepszy niż *chłopi*, bo, „wydaje się uczciwszy – obejmuje baby i chłopów, dziewczki i parobków, a także dzieci”. Książka dotyczy głównie ludności z ziem etnicznie polskich i całej historii Polski (a w miarę potrzeby sięga także do czasów prasłowiańskich). Wyżga odpowiada także na fundamentalne pytanie: skąd się wzięło chłopstwo na terenie naszego kraju? Opisuje proces, jak ludzie pierwotnie „polowali na zwierzęta, zbierali jagódki... i nagle bach! Pszenica, żyto, uprawy i przekłętą los, a po kilku stuleciach – wioska globalna i popokulturowość”.

Autor w swojej książce także dużo czasu poświęca strukturze społecznej chłopów na przestrzeni wieków. Píše np., że niektórzy gospodarze – mimo, że nie pieczętowali się herbem – mieli własnych poddanych. Pomagała im służba, a niekiedy zatrudniali do pracy ubogą szlachtę. Autor stawia też tezę, że trudno powiedzieć, iż chłopcy byli tylko niewolnikami (chłopami pańszczyźnianymi), skoro nierzadko dorabiali się fortun i awansowali w hierarchii społecznej.

Wyżga odrzuca zatem „ahistoryczną tezę o skrajnym zniewoleniu chłopów polskich w przeszłości, wskazując na niejednoznaczność sytuacji chłopów w różnych wiekach, układach społecznych i terytorialnych. Ciekawe też są uwagi na temat roli kobiet w gospodarstwie wiejskim i o ich wkładzie w rodzinną ekonomię. Z dużym znanstwem i swobodą wyklada istotę pańszczyzny i znaczeniu „ucisku” chłopów” (z recenzji wydawniczej prof. dr hab. Krzysztofa Mikulskiego).

Niezaprzeczalnym atutem „Chłopstwa” jest narracja autora, dzięki której miniona wieś przywracana jest do życia. „Czytelnik może ją odczuć wszystkim zmysłami (warto zamknąć oczy i przywołać opisywane obrazy, poczuć przenikające je wonie i zapachy, przypomnieć sobie dawno zapomniane smaki, posłuchać dźwięków, zbliżyć się do jej mieszkańców na wyciągnięcie ręki)” (z recenzji habilitacyjnej dr hab., Małgorzaty Kołacz-Chmiel). Dla wielu mieszkańców miast może to być sentymentalna podróż w czasie do krainy dzieciństwa.

Mateusz Wyżga w swej książce pokazuje nam możliwie prawdziwy obraz polskiego chłopstwa i polskiej wsi, wolny od mód, polityki i stereotypów. Dociera do istoty tego, czym jest wieś w nas (także mieszczan od pokoleń), jak wpływa na nasze życie i czego nas uczy. Jak pisze autor: „Historia polskiej wsi jest prosta jak konstrukcja cepa. Mijały pożogi dziejowe, rewolucje i zarazy, niszczały albo przepotwarzały się miasta, ale wsie na ogół przetrwały ze swymi mieszkańcami. To opowieść o wsi wczoraj i dziś, przy kawie zbożowej z mlekiem oraz pajdzie chleba ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Czy rację miał Stanisław Wyspiański, że chłop potęgą jest i bosta?” Po przeczytaniu książki wydaje się, że odpowiedź sama się narzuca.

Mateusz Wyżga, „Chłopstwo. Historia bez krawata”, Wyd. Znak Horyzont, 2022, ss. 496.

Andrzej C. Leszczyński

„Więc wyobraźmy sobie...”

Drzewo zakorzeniło się w kulturze od najdawniejszych czasów. Drzewo kosmiczne – Axis Mundi. Drzewo rodzące złote jabłka w ogrodzie Hesperyd. Biblia mówiąca, że na rozkaz Boga „wrosły z gleby wszelkie drzewa mile z wyglądu i smaczny owoc rodzące”¹. Drzewo poznania dobra i zła. A zaraz obok drzewo życia. Odwołuje się do niego Mefistofeles w „Fauscie” Goethego: „Szara jest wszelka teoria, drogi przyjacielu, zieleni się tylko złote drzewo życia”. Drzewo życia jest oczywiście figurą symboliczną. Prawdziwe drzewa mogą zabijać, jak stało się w Warszawie, w zabytkowym Parku Praskim, gdzie na matkę siedzącą na ławce z kilkumiesięczną córeczką spadł konar uśmiercając maleństwo („To drzewo miało piękną hubę. Oglądaliśmy ją z Lilą wcześniej. Bo ona kochała listki, gałązki. Czy to moje zaniedbanie, że nie zdawałam sobie sprawy, że huba zjada drzewo i ono może się złamać?”).

Zakorzeniło się też w języku potocznym, w którym pojawia się „chłop jak dąb” albo „człowiek pozbawiony korzeni”. Gdzie mówi się o drzewie genealogicznym (niedaleko pada jabłko od jabłoni) i przestrzega się, by nie przesadzać starego drzewa itp. Poezja pełna jest dendrologicznej symboliki. Rainer Maria Rilke w wierszu pt. „Nocne niebo i spadające gwiazdy” tak ją rysuje: „Więc wyobraźmy sobie drzewo, co wzrastając/ w górę pień wznosi dumny z ogromnych korzeni,/ a wieczny wiatr i ptaki przezeń przepływają [...]”. W kwietniu 1943 r., kiedy w warszawskim getcie wybucha powstanie, Krzysztof Kamil Baczyński pisze wiersz adresowany do ginącego – swojego – narodu. „Byłeś jak wielkie, stare drzewo,/ narodzie mój jak dąb zuchwały,/ wezbrany ogniem soków żralych/ jak drzewo wiary, mocy, gniewu./ I jeśli ciebie cieśle orać/ i ryć cię rylcem u korzeni,/ żeby twój głos, twój kształt odmienić,/ żeby cię zmienić w sen upiora./ Jeśli ci liście drzeć i ścinać,/ byś nagi stał i głowę zginał. [...]”. Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” wyraża swą wdzięczność słowami: „Ja ileż wam winieniem, o domowe drzewa!”. Czesław Miłosz w podobnym duchu wyznaje w „Ziemii Ulro”, że cała jego poezja wzięła się i bierze z dzieciństwa, czyli z lasu. W „Piesku przydrożnym” tłumaczy: „Ekolog w wieku

¹ Zgodnie z Bożym zamysłem Adam i Ewa byli weganami: „Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem” (Rdz 1, 29).

dwunastu lat, rysowałem mapy mojego państwa, którego cała powierzchnia była lasem”. We „Wspomnieniu pewnej miłości” mówi o konkretnych tej miłości obiektach: sośnie, dębie czy jodle. Nie wiedział jeszcze, że istnieje siedemnaście gatunków sosen, pięć świerków czy szesnaście dębów. Dziś słowo „las” wywołuje inne skojarzenia niż za jego młodości, kiedy dominowały „lasy mieszane, z przewagą dębu wysokopiennego, grabu i lipy, czyli miały niewiele wspólnego z chudymi sosenkami, które zajęły ich miejsce”.

Zbigniew Herbert (w rozmowie z Markiem Oramusem) wspomina spacer z Miłozsem: „Chodzimy po lesie, on wszystkie ptaki nazywa po imieniu, ja rozglądam się za jakimś pniakiem, żeby usiąść i napić się wina, a on tam pohukiwał, wołał ptaki – cały wydany naturze”. Przecież i sam znajduje w obrazie drzewa wyraz trosk i odniesień metafizycznych. Oto słynny fragment z „Jaskini filozofów”: „Sokrates pozdrawia drzewo za oknem. Teraz wiemy oboje, że wszystko, co ma się zdarzyć, przychodzi do nas. Losu nie należy szukać – mówileś. Trzeba dojrzewać, rosnąć w górę, rzucać nasiona i cień – czekać. Aż kiedy przyjdzie to, co ma przyjść – przyjmając. Cokolwiek to będzie: wiatr wiosenny czy topór. Mam głowę pełną siwych włosów i ładu. Ty masz głowę pełną zielonego szumu. A jednak od ciebie nauczyłem się mądrości trwania. Korzeniom twoim kłania się Sokrates”.

Hugon Lasecki wyznaje, że tylko w lesie potrafi się modlić. „W tej katedrze, gdzie słońce/ maluje witraże,/ gdzie święte motyle i pajęczyny,/i anioły rozmaite drgają w pieśni;/ gdzie konary korona,/ gdzie modlitwą igły i liście”. Wpadnie więc na chwilę do lasu, by porozmawiać z ciszą, usłyszeć motyla, „Obejść pajęczynę i kroplę rosy,/ by spadając nie obudziła blasku poranka”.

Trwałość

Widoczny jest leksykalny związek wyrażen „drzewo” i „drzewiej”, co znaczy: dawniej, kiedy nas jeszcze na świecie nie było. Drzewo to „stanie silne” (Aleksander Brückner) stale i pewne. W nim objawia się potęga życia. „Pod sękatymi pniami – pisze Manfred Lurker w „Przesłaniu symboli” – które przeżyły niejedno pokolenie, ludzie uświadamiali sobie krótkotrwałość własnego życia. W postaci owoców brali od drzewa siłę życiową, w liściach i kwiatach szukali lekarstwa na najrozmaitsze choroby, a tworzące dach gałęzie posłużyły im za wzór namiotu i domu”.

W kwietniu i we wrześniu – w okresie nasadzania – Krzysztof Penderecki nie koncertował. Jechał do swoich Lusławic, gdzie od lat, na wzór polifonicznej symfonii, komponował swój ogród. „Popatrzmy na drzewo: ono nas uczy, że dzieło sztuki musi być zakorzenione – w ziemi i na niebie. Bez korzeni nie ostoi się żadna twórczość” – podkreślał dodając, że jako dendrolog często czuje się pewniej niż jako kompozytor.

Bywa, że symboliczna trwałość drzew w bolesny sposób zderza się z doświadczeniem ich realnej kruchości. Ks. Adam Boniecki wspomina w „Tygodniku Powszechnym” swój – w ścisłym sensie tego słowa – las. Posadził go jego ojciec dla upamiętnienia narodzin pierwotnego syna i nazwał jego imieniem: Adam. Ostatni raz

widział go autor w wieku siedmiu lat. Dziś nie ma już śladu po rodzinnych zabudowaniach ani po tamtym lesie. Pisze Boniecki: „[...] drzewa są idealnym miejscem przechowywania pamięci. Spokojne trwanie drzewa, trwanie na jednym miejscu, do którego wracając po latach sprawdzamy, czy ono nadal tam jest, wydaje się zaprzeczeniem naszej zmienności i nieubłaganego przemijania”. Chyba wiem, co czuje ksiądz marianin, gdy pisze o lesie, którego już nie ma. Kilka lat temu odwiedziłem z siostrą nasze „miejsce pamięci” (określenie Pierre’a Nory), dawną posiadłość w Ostrówkach koło Chodzieży, gospodarstwo pełne drzew owocowych i leśnych, wśród których chowaliśmy się, znikło ze świata. Nie zostało śladu po rozgrabionych zabudowaniach, powycinanych drzewach, najgłębszej studni we wsi. Stały tylko dwie osierocone lipy. Myślę teraz o dumnych dwustuletnich lipach, jakie widziałem pół wieku temu na Alei Zwycięstwa. Dziś żałę się martwymi kikutami i kłębami rozrastającej się na nich jemioli. A przecież mogłyby rosnąć czterysta lat i dłużej.

Podczas obozów teatralnych, jakie organizowaliśmy w Mierzwicach nad Bugiem, szczególnym szacunkiem darzyliśmy leciwą rosochatą sosnę, królującą nad wielobarwnymi nadbużańskimi łąkami. Chyba Basia Ulikowska zauważyła, że przypomina baobab, co z przedziwną gotowością uznaliśmy za nazwę magiczną. Pod Baobabem prowadziliśmy uczone debaty, ćwiczyliśmy sceny, spotykaliśmy się wieczorami na metafizyczne zwierzenia. Pamiętam wczesne zrywanie się z łóżka, witanie wschodzącego słońca i obejmowanie nie tak licznych tam brzoź, strażniczek lasu o pięknej łacińskiej nazwie *betula pendula*. Dało się czasami słyszeć, że stękają i jęczą. Wiele lat później dowiedziałem się o *chipko*, hinduskim ruchu kobiet chroniących drzewa przed komercyjną wycinką. Chroniły drzewa własnym ciałem, przytulając je i obejmując: *chipko* w języku hindi oznacza „obejmować”. Urszula Zajączkowska, botaniczka i poetka mówi, co czuje siedząc na drzewie i przytulając się do niego: „Zapach, szelesty, podmuchy. Delikatne drgania pnia poruszanego wiatrem. Tak jak człowiek przytula się do człowieka i czuje ruch klatki piersiowej, to tutaj czuć oddechy drzewa – poruszające się masy powietrza bijące w koronę. Poruszasz się razem z nią. Ptak blisko usiądzie i nawet się tobą nie zdziwi”.

Stanisław Vincenz („Prawda starowieku. Obrazy, dumy i gawędy z wierzchowiny huculskiej”) tak opisuje zakłęty w sobie, nieistniejący już świat drzew. „Był to las odwieczny, z pierwowieku niepokonany, smokowy. A sprzężony przeciw obcym natrętom nie wpuszczał do wnętrza nikogo, ani małych, ani wielkich gości. Nawet wichry nie miały tam dostępu. Nawet dla nowych pokoleń drzew nie było tam miejsca. Jedno drzewo trzymało tam drugie, jedno żyło się z drugim. Nawet zmurszałe już drzewa utrzymywały równowagę. Każdy spróchniały konar coś podtrzymywał, czemuś służył, znaczył coś w prawiekowej zgodzie”. Prof. Bogdan Jaroszewicz, kierujący Białowieską Stacją Geobotaniczną UW, podaje wiele przykładów współdziałania drzew. Pniak po ściętym drzewie może się zabliznić dzięki pomocy, jakiej udzielają mu sąsiednie drzewa poprzez system korzeniowy. Gdy roślinożerca zaczyna objadać liście akacji afrykańskiej, emituje ona etylen przenoszony przez wiatr do otoczenia. Sąsiednie drzewa traktują go jako ostrzeżenie i przesuwiają do swych liści taninę, co pogarsza ich smak i obniża ich strawność.

Drzewa przestają być traktowane jako źródła drewna². Same są wartością – rzucają cień, zasłaniają przed wiatrem, chronią przed utratą ciepła lub nadmiernym promieniowaniem słonecznym, regulują obieg wody i klimat, oczyszczają powietrze i gleby. Stają się współmieszkańcami, bez których trudno wyobrazić sobie życie. Indywidualne nazwy drzew są formą zapraszania ich do wspólnoty, jaką tworzą ludzie wraz z naturą. Na skraju Puszczy Białowieskiej góruje Strażnik Wsi Budy (nazwał go tak tutejszy miłośnik drzew, Tomasz Niechoda). Znana jest historia kilkusetletniego Dębu Jagielly (prawie 40 m wysokości, niespełna dwa metry średnicy), zwalonego w 1974 r. przez wichurę. Podczas pogrzebu, jaki urządono mu kilka dni później, postanowiono, że – ogrodzony złamanymi konarami drzew – pozostanie tu do swego naturalnego końca. Spoczywa więc od kilkudziesięciu lat w pozycji leżącej trawiony przez wdzięczne mikroorganizmy wtapiając się powolutku w Puszcę. Kazimierz Orłoś w dedykowanym wnuczce Melanii „Śnie o brzozie” pisze o małym drzewku, które przyniósł z lasu w wiaderku i posadził blisko domu. „Brzoza, którą nazwałem na cześć żony imieniem Teresa, wyrosła na wielkie drzewo. W czasie upałów stawiamy leżaki w jej cieniu. Kiedy wieje wiatr, zwłaszcza jesienią, słyszymy szum. Cichy, jeśli wiatr jest słaby i liście jedynie poruszają się z szelestem. Głośny w silnych porywach wiatru. Miotane i szarpane gałęzie przypominają flagi powiewające na maszcie”.

Panowie stworzenia, władcy rozkazów

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) od lat alarmuje, że kryzys ekologiczny to także kryzys zdrowotny. Efekt cieplarniany oraz bezmyślna, nastawiona na maksymalizację zysku³ gospodarka sprzyjają pojawieniu się nowych patogenów, m.in. koronawirusów. Dziś widać jasno, że człowiek stał się protowirusem infekującym Ziemię i wywołującym skutki, jakich właśnie doświadczaliśmy pochowani w swych domowych więzieniach.

Na świecie rośnie dziś blisko trzy biliony drzew i jest miejsce do zasadzenia 1,2 bln kolejnych bez ograniczania powierzchni upraw. Dodatkowy bilion drzew pochłonąłby ponad 100 gigaton dwutlenku węgla. To tyle, ile ludzkość emituje przez 10 lat⁴. W książce Haliny Barbary Szczepanowskiej i Marka Sitarskiego pt. „Drzewa.

² Władysław Kopaliński pisze („Opowieści o rzeczach powszednich”), że drewno, obok kamienia i gliny, to materiał używany przez człowieka najdawniej.

³ Już Arystoteles pisał o chrematystyce (χρηματιστική), sztuce bogacenia się za wszelką cenę.

⁴ Prof. William Nordhaus, noblista w dziedzinie ekonomii, tak o tym mówi: „Elektrownie, fabryki, samochody, wszelka działalność produkcyjna, wszystko to, czego używamy, lub to, co posiadamy, powoduje emisję dwutlenku węgla lub innych gazów cieplarnianych”. Wśród innych gazów dominuje produkowany przez zwierzęta, groźniejszy od CO₂ metan. David Wallace-Wells („The Uninhabitable Earth. Life after Warming”) podaje, że w ostatnich trzydziestu latach wypuszczono do atmosfery więcej CO₂, niż w czasie, jaki upłynął od paleolitu.

Zielony kapitał miast” przedstawiono konkretne wyliczenia. „Jedno drzewo przyuliczne na badanym terenie Pragi-Północ przechwyciło średnio 1,69 m³ opadów rocznie [...]. Na terenie badanych ulic 352 drzewa przechwyciły hipotetycznie 689 m³ opadów w ciągu roku, a w stosunku do wszystkich drzew przyulicznych Pragi-Północ byłoby to 23 500 m³ wody deszczowej. Wartość pieniężna tej usługi świadczona przez 352 drzewa badane rocznie wyniosłaby więc 7568 zł, a drzew przyulicznych na terenie dzielnicy Pragi-Północ 258 000 zł”. Najskuteczniej oczyszczają powietrze brzozy i dęby.

Prof. Jaroszewicz mówi o roli drzew chroniących środowisko przed ocieplającym się klimatem. O nieodwracalnych szkodach związanych z wycinaniem drzew starych o najwyższym w Europie stanie naturalności, co miało miejsce w Puszczy Białowiejskiej⁵. Badacze ekosystemów mówią, że jedyną szansą przeciwdziałania klimatycznej katastrofie jest sadzenie drzew, a bardziej jeszcze – pozwolenie, by mogły rosnąć i rozkrzewiać się samodzielnie. Zdolność lasów do wylapywania z atmosfery dwutlenku węgla kazałaby zalesić ok. półtora miliarda hektarów wszystkich łądów⁶, głównie Rosji, Australii, Kanady, Brazylii i Chin. Niestety, trwa wylesianie, rzeź drzewostanu, czyli deforestacji (ang. *forest* – las). W ciągu ostatniego półwiecza największa na świecie, zajmująca 5,5 mln km² puszcza amazońska („płuca świata”), straciła 20% swego obszaru. Wycięto w niej prawie wszystkie (90%) skupiska drzew deszczowych wzdłuż wschodniego wybrzeża nad Atlantykiem, ich miejsca zajmują pastwiska oraz kopalnie żelaza i miedzi⁷. Współczesna cywilizacja to okres, w którym wycięto 46% drzew rosnących na Ziemi. Co roku ginie ich 15 miliardów, przybywa ledwie 5 miliardów. Są oczywiście wyjątki: najbardziej zalesiona w Europie Finlandia (lasy zajmują 74% powierzchni kraju) nie wycina swoich drzew, lecz kupuje je gdzie indziej, głównie w Polsce, gdzie panuje wciąż dendrofobia uzasadniana wydumaną ochroną interesów gospodarczych. 80% polskich lasów należy do Skarbu Państwa, czyli są to lasy publiczne, lecz publicznej kontroli nie było nad nimi nigdy. Choć i w naszym kraju zdarzają się takie cuda, jak ten w Rzeszowie, gdzie dwie nauczycielki, niczym hinduski z *chipko*, własnym ciałem obroniły zdrowy, dwustuletni dąb przed urbanistycznymi planami władz miejskich. Dewastacji Puszczy Karpackiej przeciwstawia się społeczny ruch Dzikie Karpaty. Trójmiejskie lasy chce chronić przed zniszczeniem fundacja *Fidelis Silvas* („Wierni Lasom”).

Moje obrazy zagłady lasu, od których nie mogę się uwolnić, to najpierw setki tysięcy drzew położonych na ziemię przez wichurę w Nadleśnictwie Rytel pod Choj-

⁵ W oparciu o tzw. lex Szyszko (ustawę bez konsultacji i bez udziału opozycji uchwalono 16 grudnia 2016 roku w Sali Kolumnowej) w ciągu pół roku wycięto w Polsce 3 mln drzew.

⁶ Na Ziemi mogłoby rosnąć 4,4 mld ha lasów; rośnie 2,8 mld.

⁷ W październiku 2019 roku obradował w Watykanie synod pod nazwą: „Amazonia – nowe drogi dla Kościoła i na rzecz ekologii integralnej”, podczas którego sprecyzowano pojęcie grzechu ekologicznego. Dominika Szkatuła, świecka misjonarka, mówi że dla miejscowej ludności dżungla to świątynia Boga. „Ścinając drzewo mówią do niego. Proszą o pozwolenie ścięcia, tłumacząc, że to dla utrzymania życia, nie dla zysku. Robią tak, wiedząc, że to drzewo jest częścią stworzenia”.

nicami. Oglądałem je wielokrotnie z okien pociągu, bez przerwy, od Gutowca, przez Rytel aż po Krojanty. Złamane przy ziemi albo w połowie pnia. Nieliczne ocalałe jakimś cudem sprawiają wrażenie płaczków uzalających się nad losem tamtych, powalonych. Patrząc myślałem o sztuce Alejandro Casony „Drzewa umierają stojąc”. Te umierały jak ludzie, leżąc. A potem już ludzkie drzewobójstwo. Harwestery w Puszczy Białowieskiej, jedynym w Europie lesie trwającym od ostatniego zlodowacenia (12 tysięcy lat). Widziany najpierw w telewizji, a potem bezpośrednio, czterohektarowy cmentarz ściętych w 2018 r. sosen, dębów i buków w Łebie. Pokot drzew na Mierzei Wiślanej po pięciu dniach pracy morderczych kombajnów w 2019 r. O mierzei, którą po raz pierwszy zobaczyła pół wieku temu, w tonie lamentacyjnym pisze w „Znaku” Józefa Hennelowa: „Dlaczego to robimy? Dlaczego pozwalamy sobie wierzyć, że mamy takie prawo?”. I nieco dalej: „Można ogłosić, że nie liczą się ani morze, ani zatoka, ani piękno zlocistej plaży nad samym Bałtykiem, że to my, władcy rozkazów i finansów, decydujemy, w którym kierunku płynąć mają rzeki i kiedy to, co raz stworzone i dane, zupełnie przestanie mieć znaczenie”. Andrzej Stasiuk zauważa, że wypędzamy ze swojego życia chaos, dzikość, to co naturalne. „Jakbyśmy się tego bali. Albo tego nienawidzili. A przecież bez tego po prostu nie przetrwamy. Będziemy panami stworzenia na dosłownej i metaforycznej pustyni”. Urszula Koziol stawia bardzo rzeczową diagnozę: „Polskie rzeki chorują, wysychają. Chorują drzewa. Gleba. Chorują owady. Znikają trzmiele, pszczoły. Znikają motyle. Maleją ptaki. Chorują. I plaży. I rośliny. Maleją ludzie – zwłaszcza gdy chodzi o ich wymiar duchowy. Ale i fizyczny. Chorują”. Przytaczam te słowa i myślę o opowiadaniu Olgi Tokarczuk pt. „Transfugium”. O jego bohaterce, Renacie (imię oznacza odrodzenie), która w klinice o tytułowej nazwie dezzerteruje (takie jest znaczenie tego łacińskiego słowa) z człowieczeństwa, przeistacza się w zwierzę, w wilka.

Judi

Kiedy w zalesionym Surrey panuje zima, aktorka Judi Dench zamyka się w domu z mężem Davidem Millsem i książkami. Cichym, lekko zachrypniętym głosem (przeziąkniętym ginem, przyznaje), czyta sonety Szekspira. Sonet 97:

„Nad wszelkie braki
Gorszy brak ciebie: przezeń i letnie dni wieją
Chłodem, przezeń głos tracą najśpiwniejsze ptaki,
A gdy zabrzmią, to głosem tak głuchym, że drżymy
Jak liście, gdy poczują pierwsze tchnienie zimy”

(tłum. Stanisław Barańczak)

Za oknem widzą las. Wiele drzew posadzili własnymi rękami, na pamiątkę zmarłych bliskich. W ogrodzie rośnie między innymi Michael, który otrzymał imię po zmarłym w 2001 r. pierwszym małżonku Dench, Michaelu Williamsie. Spróbowali wspólnego życia po dziewięciu latach znajomości i wyszła im – mówi dziś – wielka miłość, największa. To właśnie z Michaelem aktorka rozpoczęła botaniczno-du-

chową działalność. Każda sadzonka ma za zadanie utrzymać ciągłość życia kogoś, kto odszedł.

Nie mogę oderwać wzroku od ekranu. Dokument BBC⁸ to poetycko-naukowa podróż gwiazdy brytyjskiego kina przez cztery pory roku i cztery fazy rozwoju drzew. Dench, od dziecka miłośniczka przyrody, poznaje na przykład sekrety wiecznie zielonych cisów, potrafiących przetrwać największe mrozy. Słucha przez stetoskop niczym lekarz, jak pod plynie „krew” roślin, pijących hektolitry wody. Dowiaduje się, że gleba skrywa niesamowicie rozwinięty, korzeniowy system komunikacji albo, że liście przesyłają sobie sygnały o zagrożeniu ze strony insektów. Albo że drzewa, tak jak inne organizmy, odczuwają ból. W jej twarzy nie ma cienia gry. Jest wzruszenie i zachwyt kogoś, kto odkrył piękno żywego sąsiedztwa.

⁸ Judi Dench. *Moja miłość do drzew*, Wielka Brytania 2017.

Wyboiste drogi polskiej tolerancji

Poniższy tekst powstał u schyłku XX w. i został wygłoszony przez prof. T. Pilcha na jednej z sesji letnich TUL, którą zorganizował OR TUL w Gdańsku z/s w Klaninie. Wzbudził on spore zainteresowanie słuchaczy i jako że przechował się w maszynopiśmie, zostaje przypomniany po latach. Warto spojrzeć na podjęty przez Autora temat z perspektywy minionego ćwierćwiecza doświadczeń naszej polskiej historii. Lektura treści wykładu daje czytelnikowi rzadką możliwość konfrontacji projektowanej przez Autora przyszłości z tym, co przyniosła rzeczywistość, na przykład w odniesieniu do stosunków polsko-ukraińskich, do przywołanych tu postaci i zdarzeń. Nader ciekawe są także inne kwestie, zamierające chociażby spojrzenie na mechanizmy działania organów władzy państwowej różnych rządów w związku ze zjawiskiem nietolerancji.

Historyczne korzenie tolerancji

Opinie o poziomie tolerancji współczesnych Polaków są niezwykle zróżnicowane. Z jednej strony spotykamy zdanie o wyjątkowej tolerancji polskiej, ugruntowanej rzekomą tradycją. Z drugiej strony słyzy się niezwykle krytyczne sądy o współczesnych Polakach, przypisujące im ksenofobie, uprzedzenia i nietolerancję – na co przytaczane są liczne i niekiedy spektakularne przykłady. W naszej historii istotnie znaleźć możemy argumenty przemawiające za relatywnie wysokim poziomem tolerancji. Piszę o relatywnym rozumieniu tolerancji, ponieważ pojęcie to jest zawsze silnie uwikłane w kontekst historyczny, kulturowy, obyczajowy czy lokalny. To, co w jednej kulturze jest objawem skrajnej nietolerancji, w innej jest tylko wymogiem panującego obyczaju lub elementem lokalnego kultu. Pozycja społeczna kobiety, jej udział w życiu codziennym jest dobrym przykładem na to, jak ta sama kwestia jest odmiennie traktowana w różnych kręgach kulturowych i w różnych epokach historycznych. U średniowiecznych Słowian lub w kulturze Islamu publiczny udział kobiet w życiu społecznym byłby obrażą dobrych obyczajów i wywołał radykalny sprzeciw strażników tradycji. Kontrowersje wokół polskiej tolerancji najdobitniej ujawniają się w odniesieniu do kwestii żydowskiej. Przy rozważaniu tej kwestii trzeba jednak zauważyć, że nietolerancja wobec Żydów ma swój uniwersalny zasięg i wymiar. Nie jestem w stanie osądzić, jakie są tego przyczyny poza jedną hipotezą, dopuszczającą wytłumaczenie tego fenomenu: hermetycznością religijną, kulturową i społeczną wspólnoty żydowskiej. Mimo owej zasady izolacji religijnej i kulturowej początkom osadnictwa żydowskiego w Polsce, które jedni datują na X wiek, inni dopiero na XII – towarzyszył klimat aprobaty społecz-

nej i opiekuńczych gestów panujących. Przez następne osiem wieków rozwinęła się na ziemiach Polski i najbliższych krajów sąsiadujących niezwykle bogata i dynamiczna kultura żydowska z wszelką stosowną infrastrukturą od szkolnictwa poczynając, poprzez wydawnictwa i twórczość literacką, na szkołach i prądach filozoficzno-religijnych kończąc. Ziemie dawnej Rzeczypospolitej stały się chyba największym centrum diaspory żydowskiej i życia duchowego Judaizmu. Jak do tego doszło? W XIII w. w większości krajów Europy Zachodniej, szczególnie w Hiszpanii, Francji, Anglii, w południowych prowincjach Cesarstwa Niemieckiego Żydzi podlegali bądź jawnie dyskryminacyjnym przepisom, bądź byli prześladowani i mordowani pod pozorami obrony wiary. Najwybitniejszy papież średniowiecza, czyli Innocenty III, w 1205 r. ogłosił, że wszyscy Żydzi za ukrzyżowanie Chrystusa skazani są na wieczną niewolę, a długi wobec nich należy anulować. Dziesięć lat później, w 1215 r. nakazał Żydom obowiązkowe noszenie na odzieży „znamienia hańby” – przez mężczyzn złotego kółka, a przez kobiety dwu białych pasków. Żydów prześladowała Francja Filipa Pięknego, tworząc dla nich getta, mordował ich angielski król Edward I, a w 1290 r. całkowicie wygnał z Anglii. Dwa wieki później okrutnym prześladowaniem poddała Żydów Hiszpania, m.in. zmuszając do przyjmowania chrztu, którego szczerą weryfikowała Święta Inkwizycja, aż w końcu królowa Izabela I w 1492 r. królewskim edyktem wypędziła Żydów z Aragonii i Kastylii. We wszystkich niemal przypadkach, od papieskiej bulli poczynając a na krwawych mordach angielskiego Edwarda I kończąc chodziło o pieniądze, którymi najczęściej, z nadania władców, zarządzali Żydzi jako jedyni wówczas „wykwalifikowani ekonomiści”. Bogactwo Żydów, pokusa uwolnienia się od długów i pospolita chciwość uruchamiały doktrynalne i prawne mechanizmy prześladowań, rabunku i morderstw. Trochę inaczej było tylko w Hiszpanii, gdzie po wiekach niewoli arabskiej na plan pierwszy wysunęły się tendencje do osiągnięcia za wszelką cenę jedności narodowej, religijnej i politycznej a służyć temu miało eliminowanie z życia narodu obcych, głównie Żydów i Maurów. Tak więc, pomijając przypadek Hiszpanii można powiedzieć, że to pieniądze, chciwość i nieuczciwość były pierwotnymi i głównymi źródłami „chrześcijańskiego” antysemityzmu, zapoczątkowanego bullą Innocentego III, wiecznie zadłużonego i potrzebującego pieniędzy organizatora krucjat i teokratycznego porządku ówczesnego świata.

Ten przydługi, historyczny wywód miał pokazać źródła napływu i osiedlania się na ziemiach Królestwa Polskiego coraz liczniejszych grup ludności żydowskiej. I oto na tych ziemiach spotyka ich na ogół przyjazne przyjęcie i dobre traktowanie. Książę Wielkopolski Bolesław Pobożny w 1264 r. wydał pierwszy przywilej dla ludności żydowskiej miasta Kalisza, gwarantujący jej ochronę życia cywilnego i gospodarczego oraz ochronę żydowskich świątyń i cmentarzy. Polska jawnie nie respektuje zalecenia papieża o obowiązku noszenia przez Żydów „znaków hańby” oraz mieszkania w wydzielonych dzielnicach. Naraża się przez to na gniew legata papieskiego, który w 1267 r. domaga się od książąt i biskupów polskich przestrzegania zarządzeń papieża. Dopiero wprowadzenie w Polsce osadnictwa miejskiego na prawie magdeburskim doprowadza do powstania dzielnic żydowskich. Ale jest to raczej wówczas

podyktowane względami organizacyjno-porządkowymi i fiskalnymi niż doktrynalnymi lub uprzedzeniami rasowo-religijnymi. Na tej samej przecież zasadzie powstają kwartaly sukienników, rzeźników i innych grup zawodowych i społecznych. Król Kazimierz Wielki w XIV w. potwierdza przywileje dla Żydów, wydane przez swego dziadka Bolesława Pobożnego i rozciąga je na całe królestwo. Można by zaryzykować twierdzenie o filosemityzmie Kazimierza Wielkiego zważywszy, że bankierem królewskim jest Żyd Lewko, syn Jordana, a najsłynniejszą nalożnicą Żydówka Estera. Od VIII do XV w. Półwysep Iberyjski był głównym centrum życia kulturalnego Judaizmu. Tam ukształtował się jeden z głównych nurtów religijnej mistyki żydowskiej – Kabała. Po okresie prześladowań i wygnaniu Żydów z Francji w 1181 r., z Anglii w 1290 r., z Austrii w 1421 r., z Hiszpanii w 1492 r., z Portugalii w 1498 r. zaczęli się przemieszczać do Europy Wschodniej, Polski, Czech i Rosji. W Polsce stworzyli najliczniejszą diasporę, która przez wiele wieków była centrum życia religijnego i kulturalnego judaizmu. To na ziemiach Polski rozkwitał chasydyzm, czyli jeden z głównych ruchów religijnych nowożytnego judaizmu. W Polsce rozwinęła się świecka i religijna kultura żydowska. Wprawdzie od czasów Kazimierza Wielkiego w Polsce stosunek do Żydów zmienił się znacznie, to nie sposób wytłumaczyć racjami rozumu i przesłanek historyczno-społecznych takiego poziomu antysemityzmu, z jakim dzisiaj spotykamy się w naszym kraju. Nie sposób pojąć genezy swoistej filozofii antysemityzmu, która wyraźnie odróżnia tę postawę od nastawień społecznych do rumuńskich cyganów, czy sąsiadów ze wschodu.

Współczesne odmiany i osobliwości naszej tolerancji

Kultura polska jest jak dywan utkana z wielu wątków, nitek i wzorów. Wśród nich jaśnieją wyjątkowym blaskiem i takie, które stworzyli Żydzi. Przyznają to nawet zagorzali antysemita. Ale kiedy mała, wiejska szkoła chce przyjąć imię Jana Brzechwy – poety, którego zna i lubi każde polskie dziecko – pojawia się „ekspert” i oznajmia, że Brzechwa to Żyd. W pierwszym odruchu chciałoby się zapytać „i co z tego”? Ale to naiwna chęć. Okazuje się, że pojawił się wielki metafizyczny niemal problem, który za sprawą tajemniczych sił nadal niewinnej kwestii nazwania szkoły imieniem poety piszącego o kaczce dziwacze rangę sprawy narodowej, obrony tożsamości Polaków itd. itp. Niestety, niechlubną rolę nieprzyjawnego komentatora wybrał miejscowy proboszcz. Mieszkańcy wioski uzasadniają swoją niechęć do Brzechwy – Żyda konieczną obroną resztek polskości – wszak „w sejmie jest 80% Żydów, a w Senacie aż 90% – niech więc choć wioska Dmosin zostanie czysto – polska. Na tym przykładzie widać, że polski antysemityzm jest zjawiskiem bardziej mistycznym niż społecznym. Jest niemal całkowicie uwolniony od racjonalnego myślenia, od uwikłania w grę ekonomicznych interesów a argumentację znajduje w prawdach mitologicznych. I co dla sprawy ogromnie ważne: rozstrzygająca niemal w tej kwestii postawa miejscowego duszpasterza okazuje się czerpać swoją rację z postawy Innocentego III z XIII w., a nie z inspiracji nauk i postawy Jana Pawła II – papieża Polaka, który wszak zrewolucjonizował stosunki chrześcijaństwa z judaizmem.

Mitycznemu demonizowaniu kwestii żydowskiej towarzyszy głęboki brak orientacji społeczeństwa w rzeczywistych rozmiarach mniejszości żydowskiej w Polsce. 34% Polaków zawyża znacznie liczebność Żydów w Polsce. Podobnie zresztą dzieje się z szacunkami liczebności Cyganów. Tymczasem są to mniejszości znikome. Żydów źródła sejmowe szacują na 5–10 tys. czyli mniej niż promil procenta ogólnej liczby ludności. Cyganów jest 20–25 tys. czyli wskaźnik procentowy jest niewiele większy. Ale te rozbieżności między faktami a sądem społecznym są potwierdzeniem mitologizowania kwestii żydowskiej i cygańskiej. Nietolerancji wobec Żydów wróżyć długi żywot. Właśnie dlatego, że nie jest ona zakorzeniona w konfliktach ekonomicznych, w grze interesów, nawet nie musi respektować fizycznej obecności Żydów, którzy przecież są ułamkiem procenta polskiego społeczeństwa. Jest natomiast silnie zależna od mitów i stereotypów na temat Żydów, wymykających się spod kontroli rozumu i procesów myślowych. Wszelką nadzieję na zasadniczą zmianę nastawienia polskiego społeczeństwa do Żydów można utracić, obserwując nikłe skutki nauk i postawy największego autorytetu moralnego Polaków – papieża Jana Pawła II. Komentatorzy pontyfikatu zgodnie przyznają, że rola papieża w przezwyciężaniu chrześcijańskiego dziedzictwa m.in. Innocentego III oraz budowie nowych stosunków „ze starszymi Braćmi w wierze” jest epokowa, rewolucyjna. I wskazują szczególnie na gesty pojednania i ekspiacji, jakie papież wielokrotnie wykonał. Zdaje się, że nic z tego wielkiego pontyfikatu nie przeniknęło do świadomości Polaków w dziedzinie stosunków polsko-żydowskich. W tej dziedzinie zdaje się większym rządcą dusz jest Bolesław Tejkowski niż Jan Paweł II. To najbardziej pesymistyczny wniosek, jaki wyciągnąć można z małej historii wiejskiej szkoły w Dmosinie i z wielkich dramatów narodowych w Jedwabnem.

Jeszcze jedna kwestia nasuwa się w tym momencie jako przedmiot refleksji i rozterki. Jest nią sprawa asymilacji. Asymilacja ma potocznie pozytywną konotację i jest marzeniem i celem starań „większości”. I odwrotnie: w świadomości „mniejszości” asymilacja jest zmorą i największym zagrożeniem. I tu znowu paradoks. Polska „większość” wcale nie marzy o wchłonięciu, o zasymilowaniu żydowskiej lub cygańskiej „mniejszości”. Podkreślanie ich odrębności i tożsamości wręcz uważa się za pozytywny warunek koegzystencji. To asymilację uważa się za podstępny formę przenikania i zagrożenia „plemiennego”.

Polska tolerancja narodu szlacheckiego

W tym miejscu nasuwa się pewna analogia ze stosunkami polsko-ukraińskimi, które również łączy osoba Jana Pawła II. Oto przed kilku laty, w 1996 r., przed bodajże piątą pielgrzymką papieża do ojczyzny, wypłynęła sprawa zwrotu kościoła św. Teresy ukraińskiemu kościołowi grekokatolickiemu, będącego aktualnie w użytkowaniu przez katolicki zakon. Sprawa musiała mieć swoje racje historyczne i moralne, skoro papież uznał za właściwe zaangażować się osobiście na rzecz zwrotu owego kościoła Ukraincom. I oto stała się rzecz niewiarygodna. Nie tylko nie spełniono życzenia Jana Pawła II, ale zawiązał się komitet protestacyjny przeciwko rewindykacji kościoła.

Aktywnie w proteście uczestniczyli zakonnicy i miejscowe duchowieństwo, łamiąc symbolicznie jedną z kardynalnych zasad kościoła, jaką jest reguła posłuszeństwa. To nie była walka w obronie religii i jej instytucji. To nie była obrona sprawiedliwości. Trudno wszak uznać, że papieska decyzja mogła naruszać cokolwiek z wymienionych wartości. Historia ta oświetla natomiast niesłuchanie trudne i bolesne dziedzictwo dawnych stosunków polsko-ukraińskich. Tu najdobitniej ukazuje się wieloznaczność pojęcia „mniejszości” i dylematy związane z jej posiadaniem. Są społeczeństwa, w których mniejszości są zwyczajnością, mało dostrzegalną polimorficznością struktury społeczeństwa. Istnieją także nieliczne społeczeństwa, dla których „mniejszości” są chlubą, ochraniają i pielęgnowaną (np. kanadyjscy Indianie czy norwescy Lapończycy). Najczęściej jednak mniejszości są utrapieniem, a nawet zagrożeniem dla tzw. „większości”. Niestety, Polacy należą raczej do tej ostatniej grupy społeczeństw. W stosunkach polsko-ukraińskich jest pewna asymetryczność świadomości. Ukraina, podobnie jak inne prowincje kresów wschodnich Rzeczypospolitej znalazły się w jej zasięgu w procesie poniekąd naturalnego kształtowania się organizmów państwowych w średniowieczu. Polska postrzega Rzeczpospolitą Obojga Narodów jako twór geopolityczny, ukształtowany w procesie pokojowych sojuszy i naturalnej inkorporacji amorficznych politycznie terenów wschodnich.

Odczucia tego nie podzielają ani Litwini, ani Ukraińcy, ani inni mieszkańcy kresów wschodnich. Dla nich Polska była państwem obcym językowo i religijnie. Przez swą wielkość polityczną była państwem hegemonicznym wobec nich. Poprzez ustrój polityczny i stanowy była organizmem dominującym w sensie najbardziej dosłownym, mianowicie ludność kresów wschodnich stała się poddanymi szlachty polskiej lub możnowładców miejscowych, którzy skwapliwie przejęli wzory okrutnego poddaństwa chłopskiego od szlachty polskiej. Była to więc wówczas Polska pańska i Polacy – „pany”. I w tym kontekście trwała kilkuwiekowa symbioza narodów o odmiennym postrzeganiu wzajemnych związków i relacji na wielkich obszarach kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Tego dotkliwego poczucia nierówności i uposądkowania u mieszkańców ziem wschodnich nie zmienia w najmniejszym stopniu rozkwitła i kultywowana w XV i XVI w. tolerancja wobec różnowierców przede wszystkim, ale także wobec ludzi innych narodowości. Trzeba bowiem pamiętać, że była to Rzeczypospolita narodu szlacheckiego. Prawa, obowiązki i wolności odnosiły się niemal wyłącznie do stanu szlacheckiego. Nie korzystał z nich prosty lud, który oprócz odmienności religijnej i językowej w „polskich panach” widział ponadto gnębieli ekonomicznych. Z rozkwitem bowiem Rzeczypospolitej w XV i XVI w. jako mocarstwa politycznego, jako kraju wysokiej kultury i postępu cywilizacyjnego szło w parze zniewolenie i wyzysk chłopów, które z czasem przybrało formy patologiczne. Doprowadziło do trwałego podziału społeczeństwa i zasiało nienawiść w chłopstwie do panów zarówno rdzennej ludności polskiej, jak również ludności białoruskiej i ukraińskiej. Szlachta polska, a także spolonizowani możnowładcy „ruscy” manifestowali poczucie wyższości i pogardy do „chamów”. Na takiej glebie nie mogła wyrastać tolerancja. Wyrastały raczej rozpaczliwe powstania chłopskie, gotowość do bezrozumnych rzezi, skwapliwie wykorzystywanych przez zaborcę austriack-

kiego (rabacja galicyjska), czy rosyjskiego (chłopi wobec powstania listopadowego). Wątek nienawiści klasowej stał się trwałym motywem literackim. Swoje krwawe żniwo zebrał na kresach wschodnich w czasie ostatniej wojny jako bezpośrednie następstwo fatalnej polityki narodowościowej rządów sanacyjnych i niefortunnej polityki wschodniej Piłsudskiego. Jakimś refleksem tych zaszłości są trwające do dziś resentymenty i stereotypy miasta i wsi. Miasto, choć w olbrzymiej większości ma genealogię chłopską, odziedziczyło i przyjęło za swoje wzory szlachecką wyższość i pogardę dla wsi. Wieś sponiewierana moralnie i zmarginalizowana ekonomicznie bezprzykładną w dzisiejszych czasach eksploatacją demograficzną i gospodarczą – uwierzyła w swoją niższą kondycję. Tak oto do różnych innych obszarów nietolerancji polskiej doszła nietolerancja między miastem i wsią jako niechlubne dziedzictwo Polski stanowej. Na tych stereotypach i odczuciach ludzi wsi wyrosła wielka przed wojną siła ruchu ludowego, który dobitnie manifestował swą antypańską postawę. Warto zauważyć, że dla równowagi przedstawiciele dawnej klasy szlacheckiej nigdy nie uznali swojej historycznej winy wobec wsi. Nie ma więc bezpośredniego związku między wyjątkowo chlubną tradycją polskiej tolerancji a współczesnymi stosunkami narodowościowymi i by tak rzec – klasowymi. Ówczesna polska tolerancja miała wymiar globalny w sensie politycznym i religijny w sensie przedmiotowym. Była specyficzną wykładnią interesów państwa, czyli „narodu szlacheckiego”, który suwerenności Rzeczypospolitej strzegł z godną szacunku determinacją, nawet, a należałoby powiedzieć, prawie zawsze wbrew legatom i nuncjuszom papieskim oraz większością hierarchii katolickiej. Pokój religijny był wszak koniecznym warunkiem pokoju i przetrwania wieloetnicznej i wieloreligijnej Rzeczypospolitej. Równość szlacheckiego stanu, podniesiona do rangi głównego artykułu wiary społecznej szlachty skutkowałam też szacunkiem dla innowierczych „braci szlachty”, kalwinów, arian czy prawosławnych. Ale to, co skłaniało katolicką szlachtę do tolerancji wobec innowierców szlacheckich nie było szacunkiem do odrębności religijnej, lecz sakralnym stosunkiem do tożsamości stanowej. Polski szlachcic natomiast miał w jednakowej głębokiej pogardzie chłopka katolickiego, prawosławnego czy protestanckiego. Przywilej żydowski Bolesława Pobożnego z 1264 r. potwierdzony przez Kazimierza Wielkiego w 1505 r. zostaje zatwierdzony przez sejm z inicjatywy króla Aleksandra. Odnawia go następnie i znacznie modyfikuje Zygmunt I w 1531 r. Wreszcie w 1573 r. zostaje uchwalona tzw. Konfederacja Warszawska, zwana wielką kartą polskiej tolerancji. Jest to dokument wyjątkowy w życiu politycznym ówczesnej Europy. Podobnie jak i czymś niezwykle był przywilej żydowski Bolesława Pobożnego z 1264 r., wydany w czasach, gdy niemal w całej Europie zachodniej szalał terror religijny Świętej Inkwizycji, a Żydzi byli prześladowani i wypędzani z większości krajów. Konfederacja Warszawska miała jednak inny, szerszy wymiar. Dotyczyła wszelkich innowierców i można rzec, głównie spoza środowiska żydowskiego. Żydzi bowiem na mocy innych regulacji prawnych byli chronieni w swoim kulcie i odrębności kulturowej. Zaczyna się tekst konfederacji bardzo obiecująco. Brzmi tak: „My Rady Koronne, duchowne i świeckie i rycerstwo wszystko i stany insze jednej a nierozdzielnej Rzeczypospolitej [...] Oznajmujemy wszystkim wobec komu należy ... iż

staraliśmy się o to wszyscy pilnie na zjeździe warszawskim, jako byśmy przykładem przodków swych sami między sobą pokój, sprawiedliwość, porządek i obronę Rzeczypospolitej zatrzymać i zachować mogli [...] A iż w Rzeczypospolitej naszej jest różność niemal religii, zapobiegając temu aby się z tej przyczyny między ludźmi sedycja (rozruchy) jaka szkodliwa nie wszczęła, która po inszych królestwach jasnie widzimy, obiecujemy to sobie spólnie, za nas i za potomki nasze na wieczne czasy pod obowiązkiem przysięgi, pod wiarą, czcią i sumieniem naszym, iż którzy jesteście *dissidentes de religione* (różni w wierze), pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w Kościelech krwi nie przelewać, ani się penować (karać) odsądzeniem majątności, na honorze, więzieniem i wygnaniem, i zwierzchności żadnej ani urzędowi do takowego progressu (postępu) żadnym sposobem nie pomagać”. Dalej następowało zobowiązanie do przeciwstawienia się czynnie wszelkim prześladowaniom na tle religijnym, ktokolwiek by je podejmował i do traktowania ich jako z samej istoty sprzecznych z prawem. Ale to, co służyć miało tak pięknie wolności szlacheckiej, nie mogło przecież być źródłem jakichkolwiek zaburzeń „odwiecznego” porządku społecznego i naruszać świętego prawa zwierzchności nad poddanyimi. Dlatego też w zakończeniu „wielkiej karty tolerancji” znajdujemy znamienne zastrzeżenie: „Wszakże przez tę konfederacją naszą zwierzchności żadnej nad poddanyimi ich, tak panów duchownych, jako i świeckich, nie derogujemy (nie ujmujemy) i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom ich nie psujemy. I owszem, jeśliby takowa licencja gdzie była pod pretekstem wiary, tedy jako zawsze było, będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego tam tak w duchownych jak i świeckich rzeczach podług rozumienia swego skarać”.¹ Oto, myślę przyczyna, dla której tolerancja stała się przedmiotem chluby polskiej myśli politycznej, także poniekąd polskiej praktyki i ład politycznego, a nie stała się własnością polskiej świadomości narodowej i powszechnego respektowania. Odnosiła się wszak do 10% ówczesnego społeczeństwa. Ogromna większość cierpiała nieznośny ucisk. Polskie poddaństwo uważane jest za jedno z okrutniejszych, a chłop był praktycznie wyjęty spod prawa. Chłop ukraiński czy białoruski, miał jeszcze dodatkowe poczucie prześladowania za mowę i wiarę. Nie tylko więc takie stosunki nie krzewiły pięknych idei tolerancji, a wręcz przeciwnie, sprzyjały ksenofobii, zapiekłemu poczuciu krzywdy i kierowaniu agresji na obiekty zastępcze, np. na Żydów, którzy w imieniu pana zbierali podatki lub dzierżawili karczmy. Gwoli ścisłości trzeba też dodać, że mimo powyższych solennych regulacji prawnych od czasu do czasu zdarzały się incydentalne procesy, a nawet stosy dla Żydów i innowierców. Często były one rezultatem prowokacji lub nadużycia władzy przez świeckich lub duchownych możnowładców. Po jednej z takich prowokacji, w wyniku której spalono w Sochaczewie trzech Żydów i jedną chrześcijankę – Polskę musiał opuścić moralny sprawca egzekucji nuncjusz papieski Alojzy Lippomono (1556).²

¹ cyt. za S. Salmonowicz, *Konfederacja Warszawska*, Warszawa 1985, Zamek Królewski, ss. 21–22.

² cyt. za J. Tazbir, *Szlaki kultury polskiej*, Warszawa 1986.

Tolerancja to nie bilans równych rachunków

Współczesne stosunki polsko-ukraińskie są równie zagmatwanym historyczno-psychologiczno-społecznym problemem, co i stosunki polsko-żydowskie. Większość historyków i politologów, zajmujących się profesjonalnie Ukrainą i Polską jest zdania, że we wzajemnych uczuciach i postawach Ukraińców i Polaków więcej jest mitologii i irracjonalnych uprzedzeń niż rzeczowych i racjonalnych przesłanek myślenia i postępowania. Widać to szczególnie u młodszych pokoleń, które nie znają z autopsji realnego współżycia naszych dwu narodów na kresach, ani szczególnej atmosfery politycznej przed wojną, w której sprawa ukraińska była ważnym elementem sporów i orientacji politycznej. W młodym pokoleniu występuje szczególna dwoistość wyobrażeń o Ukrainie. Z jednej strony jest to nierealny wizerunek literacki pięknych, bezkresnych „dzikich pól” i prostego ludu, odmalowany mistrzowsko przez Sienkiewicza. Z drugiej strony złowrogi wizerunek Ukrainy walczącej z Polską, wyniesiony z literatury i filmów PRL. „Łuny w Bieszczadach”, „Ogniomistrz Kaleń” – to najbardziej reprezentatywne dzieła, budujące ów złowrogi wizerunek Ukraińca. Niestety, w polskiej świadomości ten drugi wizerunek jest trwalszy. Na tyle jest on trwały i znaczący dla polskiej, narodowej mentalności, że usprawiedliwia niesławną akcję „Wisła”. Tym bardziej, że wzmacniany jest nie do końca wyjaśnionymi dramatami, jakie były udziałem obu naszych narodów pod okupacją niemiecką i sowiecką. Analiza przeszłości prowadzi donikąd. Próba bilansu wzajemnych cierpień jest bez sensu. Pytania o to, kto zaczął, kto więcej wycierpiał, kto więcej zabił jest zajęciem intelektualnie jałowym, a moralnie zuchwałym. Czy można uznać zadawanie śmierci za czynność buchalteryjną i jeśli liczby się wyrównają, to bilans jest zamknięty? Ukraińcy nie zapomnieli do dzisiaj stereotypu Polaka – pana i Polaka – katolika, który nimi poniewierał, który ich siłą na katolicyzm nawracał. Dlatego przy całym respedzie dla prawd historycznych, potrzebie ich naświetlania, stosunki nasze powinny być budowane nie na reminiscencjach historycznych i bilansie krzywd, lecz na rozumowej i emocjonalnej wspólnotcie interesów narodowych, kulturalnych, na racjonalnej nadziei i humanistycznej wizji przyszłości.³ Nie uleczy się narodowej świadomości pod żadną szerokością geograficzną, jeśli nie uświadomimy sobie, że olbrzymia większość odczuć i sądów w odniesieniu do „innych” jest zbudowana na stereotypach. Stereotyp to stan wiary, zwerbalizowany przymiotnikowo i zabarwiony wartościująco. To, na ogół negatywny sąd, wyprowadzony z fałszywych lub mglistych przesłanek. Jest dziedziczony społecznie i kulturowo i słabo poddaje się modyfikacji przez własne doświadczenia.⁴ Niestety, stereotypy odgrywają olbrzymią rolę w życiu społecznym. Tworzą biegunową świadomość „swoich” i „obcych”. Wzmacniają więzi „plemienne”. Często służą manipulacji politycznej, kreując „wrogów”, „wykluczonych”, „kozła ofiarnego”. Szczególnie dzieje się tak

³ por. J. Hrycak, *Jeszcze raz o stosunku Ukraińców do Polaków*; Mykoła Riabczuk, *Polski, Polacy, Polska – próba filologicznego krajoznawstwa* [w] *Więź*, nr 3 (473) 1998 „Ukraińcy o nas. Ukraińcy o sobie”.

⁴ por. C.N. Macrae i in. *Stereotypy i uprzedzenia*, Gdańsk 1999.

w sytuacjach kryzysowych. Wystarczy przypomnieć irracjonalną hecę antyżydowską, rozpętaną przez partię komunistyczną w 1968 r.

Ten wielce skomplikowany splot doświadczeń historycznych, mitologii narodowej i stereotypów wroga, sąsiada ofiary – owocuje zgola niesymetrycznym, wzajemnym postrzeganiem. W rankingu najbardziej lubianych przez Ukraińców narodowości Polacy i Amerykanie zajmują trzecie i czwarte miejsce. Na pierwszym i drugim miejscu znalazły się „bratnie” narody – Rosjanie i Białorusini.⁵ Natomiast na liście sympatii i niechęci Polaków, obejmujących 19 nacji Ukraińcy znajdują się na trzecim miejscu od końca. Co prawda Ukraińcy i Słowacy należą do nacji, wobec których najszybciej wznoszą się nastawienia pozytywne.⁶ Ukraińcy tłumaczą tę istotną różnicę we wzajemnej sympatii i niechęci, charakterem kontaktów wzajemnych. Kiedy już otwarto granice między nami – to z Polski na Ukrainę ruszyli przedsiębiorcy, biznesmeni i wysoko kwalifikowani fachowcy, tworząc raczej pozytywny wizerunek Polaka. Z Ukrainy natomiast do Polski ruszyli biedni, drobni handlarze, bezrobotni w poszukiwaniu pracy, wreszcie młode dziewczęta, skuszone łatwym zarobkiem.⁷ Do tego ogólnie pozytywnego wizerunku Polaków nie psuje nawet na ogół skandaliczne zachowanie polskich służb granicznych, które powielają ów tradycyjny stereotyp polskich panów. Dodatkowym wyjaśnieniem owej niesymetryczności postrzegania jest ogólny kierunek wzrostu prestiżu, który w Europie idzie ze wschodu na zachód. Dla Ukrainy zachodem jest Polska, dla Polaków zaś nacje leżące na zachodzie, z wyjątkiem Niemców, zajmują górne pozycje listy prestiżu.

Bolesne oblicza naszej tolerancji

Po odzyskaniu suwerenności w 1989 r. w Polsce zaczęły się otwarte, publiczne i do bólu szczere debaty o naszych stosunkach z innymi narodami. Powoli do świadomości Polaków dociera prawda, że Polska i Polacy nie zawsze byli ofiarami przemocy i prześladowań. Że nie cała przeszłość da się wyjaśnić obroną słuszych, narodowych interesów. Polacy odkryli i ciągle odkrywają o sobie prawdy, które ukazują inne, niż dotąd znaczenie faktów historycznych i inne oblicze części Polaków. Okazuje się, że akcja „Wisła”, była niezależnie od źródeł i inspiracji, czystką etniczną, czyli w świetle prawa międzynarodowego zbrodnią. Że towarzyszyły jej inne zbrodnie, które obciążają pamięć narodową; jak obóz w Jaworznie, obóz dla Niemców w Łambinowicach, jak prywatny obóz i ludobójstwo w Aleksandrowie Kujawskim. Wreszcie akty niepojęte w świetle właściwości chrześcijańskiego społeczeństwa: pogromy w Kielcach, Jedwabnem, Radziłowie i wielu innych miejscowościach na terenach Podlasia. W tych odkrywanych faktach i w prawdzie, jaka się z nich wylania społeczeństwo polskie dopatruje się jakiegoś nieznośnego dysonansu. Z jednej strony piękne karty dawnej historii i ogrom cierpień, jakie poniósł naród w latach nowożytnej niewoli od zaborców i współczesnych okupantów, największy w Jerozolimie las

⁵ tamże, s. 15.

⁶ źródło: CBOS, badania z października 1998 i 1999 r.

⁷ op.cit. Mykoła Ribiczuk, Polski, Polacy, Polska...

drzewek „sprawiedliwych wśród narodów świata” – a z drugiej strony Polak jako gnębiel, zaborca pobratymców ze wschodu, jako uczestnik okrutnych pogromów; Polska realizująca czystki etniczne, sprzedająca lemkowski cmentarze! To musi wywołać szok i gesty obronne. Obrona idzie dwoma torami. Jednym jest słuszne poszukiwanie prawdy, pełnej prawdy i tylko prawdy. Drugi tor obrony to interpretacja prawdy. Owszem, Polska anektowała kresy wschodnie, ale przyniosła tam kulturę, zaprowadziła porządek społeczny. Owszem był pogrom kielecki – ale była to prowokacja NKWD. Akcja „Wisła” była polityczną i wojskową koniecznością. W jedwabieńskim mordzie udział brały męty społeczne, a spalono nie tysiąc sześćset Żydów, lecz zaledwie (!) osmiuset itd. itp. Równocześnie ta obrona uruchamia ogromne emocje społeczne i kreuje różnorodne twory polityczne, organizmy społeczne oraz inicjatywy indywidualne i grupowe. Komitet obrony dobrego imienia Jedwabnego można uznać za gest racjonalny i usprawiedliwiony. Wszak ani nazwa miejscowości, ani ludzie nie mają ze zbrodnią nic wspólnego i nie powinni być przedmiotem nagonki. Trudno jednak usprawiedliwić państwową agencję, która handluje lemkowskimi cmentarzami, okazując pogardę najelementarniejszym uczuciom naszego kręgu kultury. Trudno zrozumieć interpretację katolickiego biskupa, który nie zaprzeczając prawdzie w pokrętej ekwilibryście szuka „racjonalizacji” wielkiej tragedii w Jedwabnem. Akurat katolicki biskup przemoc i agresję powinien zawsze potępić, nie oglądając się na historyczny kontekst, teoretyczne źródła uwarunkowań czy jakiegokolwiek inne okoliczności. W przeciwnym wypadku mamy do czynienia z relatywizowaniem zła. Klasycznym przykładem relatywizowania zła była pielgrzymka trzech parlamentarzystów polskich do Londynu, do „bezwprawnie” uwięzionego tam dyktatora Chile – Augusta Pinocheta – aby złożyć mu hold. Wprawdzie Pinochet mordował, ale mordował komunistów, więc należy mu się uznanie i cześć. Osobliwością raczej bluźnierczą tej pielgrzymki był fakt wręczenia dyktatorowi ryngrafu z Matką Boską, szczególną świętością Polaków. Następny krok w swoistym przetargu prawdy, zła i tolerancji to bogata twórczość pisarska i wydawnicza, w której czytelnik znajduje dosłownie wszystko: opisy mordów rytualnych, protokoły mędrców Syjonu, negacje istnienia komór gazowych, zdemaskowane spiski „żydokomuny” przeciw chrześcijaństwu i Polsce, wreszcie humor – prymitywny, zjadliwy i rasistowski. Wielkość tej produkcji wydawniczej jest ogromna, jedna z największych w Europie. To taką twórczość można dzisiaj obwiniać za szerzenie nietolerancji, tworzenie stereotypów, kreowanie rzekomych wrogów. Jej głównym tworzywem jest „nienawistna mowa” (hate speech). Zasadą zaś dychotomiczny podział świata na „swoich” i „obcych”, „naszych” i „innych”. Takie właśnie schematy są podstawą działania stworzonej przez Bolesława Tejkowskiego Polskiej Wspólnoty Narodowej Stronnictwa Narodowego – złowrożej organizacji, zbudowanej na chorej osobowości przywódcy i okaleczonej wyobraźni jej członków, w znacznej części młodzieży. Organizacja Tejkowskiego działa w jawnej sprzeczności z polskim prawem, szczególnie z artykułem 256 k.k. o nawoływaniu do nienawiści i z art.119 k.k. o nawoływaniu do przemocy. Tejkowski obesłał cały rząd, sejm i senat listami posłów i senatorów narodowości żydowskiej. Żeby nie było wątpliwości zatytułował go „Walka o Polskę”. I jak dotąd pod rządami

prawa – włos mu z głowy nie spadł. Pod rządami prawa kwitną wspomniane wcześniej produkcja i handel humorem rasistowskim.

Tolerancja – państwo – prawo

Właściwością współczesnego państwa o orientacji demokratycznej jest zanikanie w jego funkcjach nietolerancji dla czegokolwiek. Dominuje przyzwolenie uniwersalne ograniczone chwiejną zasadą: „co nie jest zabronione – jest dozwolone”. Jest to jedno z najbardziej balamutnych hasel współczesnego liberalizmu społecznego. Wychodzi z założenia, że państwo, jako twór polityczny, ma kompetencje do rozpoznania i oznaczenia wszystkich rzeczy zabronionych bo szkodliwych. (Ciekawostką polityczną i szyderstwem logicznym z tej reguły jest fakt, że dzisiaj w państwie afgańskich Talibów świętą zasadą prawa jest powiedzenie: „wszystko co nie jest wyraźnie dozwolone – jest zakazane”). Po wtóre zakłada, że tolerancja państwa i prawa winna obejmować także czyny, zachowania i słowa nietolerancyjne obywateli.

A to w imię wolności obywatelskich i wolności słowa. Po trzecie zakłada, że słowa, ideologia, projekty winny walczyć o swe prawa na wolnym „rynku idei”, który to niewidzialny rynek, jak ręka opatrności jedne dopuści do publicznego uczestnictwa, a inne rzuci w piekielny ogień potępienia. Wszystkie te przekonania mają swoje oparcie w praktyce i ideologii państwa Stanów Zjednoczonych. Demokracje europejskie odrzuciły tak skrajne rozumienie funkcji regulacyjnych państwa i prawa. Wolność słowa, choć ceniona wysoko, nie ma wszelako sakralnego charakteru i w pewnych warunkach można za słowo odpowiadać kamie. Jest to całkowicie zrozumiale. Inne są doświadczenia z wolnością słowa w Europie, inne zgola w Ameryce. W praktyce polskiej ścierają się dwa poglądy na rolę państwa w walce z nietolerancją. Pierwszy pogląd, liberalny, negujący sens walki z nietolerancją przez państwo i pozostawiający zjawiska wszelkiego rodzaju ekstremizmów osądowi opinii publicznej. I pogląd przeciwny, domagający się rygorystycznego respektowania przepisów prawa w tej dziedzinie, czynnych regulacji zachowań i słów, naruszających słuszną wartość osób. Przeciwko pierwszemu pogładowi można postawić ten zarzut, że nietolerancja, jako z natury pewna postać agresji, wymaga przeciwdziałania siły, którą dysponuje państwo. Opinia publiczna, jak dowiodła tego historia (choćby Republika Weimarska i faszyzm), jest bezsilna wobec nietolerancji systemowej. Sądzić należy, że opinia publiczna w ogóle jako twór amorficzny i nieinstytucjonalny jest bardzo nieskutecznym mechanizmem regulacji współczesnej rzeczywistości. Dowodzi tego istnienie i działalność w naszym kraju ruchów nacjonalistycznych mimo ich potępienia przez tzw. opinię publiczną. Przeciw drugiemu pogładowi przemawia zaś to, iż aparat ścigania państwa i jego prawo są mało precyzyjnym instrumentem różnicowania czynów zabronionych od dozwolonych w dziedzinie tak subtelnych zjawisk, jak odczucia, pojęcie godności, granice krytyki i ataku. Żadną miarą nie można jednak zrozumieć prawnej zasadności orzeczenia Sądu Okręgowego w Legnicy, który uwolnił od winy autorów i wydawców broszury „Dobry humor”, oskarżonych przez czarnoskórego mieszkańca Legnicy. Nie można też udzielić temu wyrokowi

społecznej aprobaty. Wyrok sędziego Krzysztofa Głowczyńskiego, wydany w imieniu Rzeczypospolitej, jest manifestacją ideologii państwa, które wycofuje się z aktywnej roli kreatora ładu społecznego. Wiele wyroków wydanych w związku z działalnością Tejkowskiego, Świtonia, L. Bubla i innych, uznających jako zasadę „niską szkodliwość czynu” – to nie tylko klęska państwa prawa i choroba wymiaru sprawiedliwości. To przede wszystkim dominacja liberalnej ideologii społecznej, wedle której podobnie jak w gospodarce, tak i w ideologii i kulturze należy dopuścić do wolnej gry sił, w której zwyciężą „najsprawniejsi”. W tym przypadku „najsprawniejsi” oznacza: najbardziej agresywni, krzykliwi, epatujący obscenicznością i chwytliwym hasłem. W tym swoistym darwinizmie kulturowym klęskę poniesie jedna z elementarnych cnót: tolerancja.

Tolerancja – społeczeństwo – polityka

Zjawiska nietolerancji w naszym kręgu kulturowym mieszczą się na pograniczu obyczajowości, konwenansu i polityki. W rzadkich przypadkach podlegają osądowi moralnemu i nigdy niemal nie są przedmiotem zainteresowania sądownictwa. Zjawisko zaś staje się coraz bardziej masowe, dokuczliwe a w perspektywie może spełnić się zapowiedź Alfreda Gróssera, wybitnego politologa francuskiego, utrzymującego, że nietolerancja w Europie zastąpi swą grozą i niszczycielską siłą dżumę. W potocznym rozumieniu zachowania nietolerancyjne ograniczają się do prześladowań innowierców lub ludzi obcych etnicznie, czyli są inspirowane religią lub uprzedzeniami rasowymi. W istocie obszar zachowań nietolerancyjnych człowieka jest o wiele szerszy i obejmuje właściwie wszelkie cechy człowieka, ale także wartości ważne dla człowieka oraz zjawiska społeczne, jak choćby zachowania religijne czy np. muzykę lub modę. Najczęściej zresztą zjawiska kultury, które wymieniam są związane z człowiekiem i tępione wraz z ich twórcami lub nosicielami. Zachowania nietolerancyjne wobec człowieka, jego cech (np. koloru skóry), jego zachowań, (np. praktyk religijnych), przekonań (np. poglądów politycznych, ideologii) wynikają z procesów rozumowych lub pseudorozumowych i mają silne zabarwienie emocjonalne. Cechy i właściwości człowieka, które są przedmiotem zachowań nietolerancyjnych w świetle reguł prawa oraz zasad kultury i obyczaju nie szkodzą innym i są uprawnione. Zachowania nietolerancyjne często przybierają postać zorganizowanego ruchu i w postaci pseudonaukowych teorii stanowią osnowę ideologicznych, zorganizowanych zachowań (np. podkultury młodzieżowe, partie neonazistowskie). Nietolerancja w takich razach jest wszechstronna i totalna. Zawiera różne składniki i posługuje się różnymi mechanizmami socjotechnicznymi, a więc programowaniem swoich przekonań, zohydowaniem, budzeniem wrogości wobec obiektu swojej niechęci, dążeniem do zorganizowanego nękania „przeciwnika”, wreszcie aktami fizycznej agresji. Celem tak rozumianej nietolerancji jest fizyczna eliminacja lub zniszczenie „wroga”. Wśród wielu źródeł nietolerancji większość z nich ma podłoże irracjonalnych zachowań i przekonań, w taki lub inny sposób racjonalizowanych przez ideologię ruchu lub samego człowieka nietolerancyjnego. U podstaw wszelkich odczuć nietolerancyj-

nych, zdaniem psychologów społecznych, leży atawistyczne poczucie odmienności i obcości. Inny i obcy to słowa – klucze, pozwalające zrozumieć zachowania agresywne. Pozwalają zrozumieć zachowania w grupie pierwotnej lub w świecie zwierząt, gdzie agresja – zdaniem Konrada Lorenza – jest istotnym elementem organizacji instynktów chroniących życie. Ale nie są dostatecznym wytłumaczeniem zachowań człowieka u końca XX w. Podobnie, jak nie znajdują współcześnie usprawiedliwienia dwa inne źródła zachowań nietolerancyjnych, mianowicie przesady oraz ignorancja. Poziom oświecenia ogólnego naszego społeczeństwa w znacznym stopniu ukształtowany został chrześcijańskimi zasadami miłości bliźniego, które nie pozwalają usprawiedliwić aktów wrogości wobec człowieka odmiennej rasy lub religii. Natomiast groźne i niepodatne na wpływy oświecenia lub religii są dość powszechne źródła zachowań nietolerancyjnych, wypływające z dyspozycji psychicznych warunkowanych cechami osobniczymi lub warunkowane okolicznościami zewnętrznymi. Tutaj pojawia się zjawisko indywidualnej przemocy o charakterze kryminalnym, które się jakby „racjonalizuje” poprzez odwoływanie się do stereotypów społecznych jakoby „usprawiedliwiających” agresję. Przykładem takich zachowań były głośne zabójstwa bezdomnych przez skinów, czyszczących miasto Legionowo ze „śmieci”. Należy tu także wyznaczenie jednego z morderców Tomka Jaworskiego, który „nie lubił studentów”. Argumentacja oskarżonych o pogrom Cyganów w Mławie, którzy byli „winni” ich społecznego upośledzenia. Tu także pojawia się złowroga rola ugrupowań lub partii politycznych, głoszących nienawiść wobec jednostek, grup lub wartości społecznych oraz złowroga rola publikacji typu „humor żydowski”, dowcipy o homoseksualistach itp. Publikacje takie wyrządzają zawsze poważne szkody społeczne poprzez upowszechnianie określonych schematów myślenia (np. Żyd = kombinator, policjant = nierozgarnięty, blondynka = puszczańska itp.); poprzez opieranie fabuły dowcipu o domniemane pejoratywne cechy: chciwość, głupota, prymitywizm itp., wreszcie poprzez dualistyczną wizję świata ludzkiego, skonstruowanego zawsze wedle zasady: lepszy – gorszy, mądry – głupi, porządny – łobuz, cywilizowany – prymitywny. Te przesłania tworzą długofalowo określony, niepożądany i niebezpieczny stan świadomości społecznej. Doraźnie zaś obiektywnie poniżają osoby, przeciw którym są skierowane. Edukacja i wychowanie nie są ani powszechne, ani nie korygują w dostatecznym stopniu skłonności do agresji, szczególnie w środowiskach dotkniętych degradacją społeczną. Pewna część każdego społeczeństwa żyje na obrzeżach kultury humanistycznej, a można nawet powiedzieć, że żyje w kręgu kultury przemocy i nietolerancji. Osobista frustracja, wychowanie we wzorach i atmosferze autorytaryzmu – to jedne z przesłanek do traktowania ludzi spoza kręgu „swoich” z pogardą i agresją. Jeśli na domiar złego jest to ktoś, kto swoim wyglądem, strojem zachowaniem „prowokuje” agresywną reakcję takiego osobnika – to można być pewnym agresywnego zachowania. Ludzie z kręgu podkultury przemocy będą zawsze reagować agresją na widok policjanta czy przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, jeśli go zidentyfikują. Agresja ta jest tłumiona lekkiem przed karą. Te hamulce nie działają w sytuacji, gdy obiektem agresji jest przedstawiciel mniejszości albo osobnik, za którym nie stoi aparat represji, powaga urzędu, lub inna siła zdolna do

umownego kontruderzenia. Agresja jest szczególnie łatwa, gdy napastnik może spodziewać się, jeśli już nie aprobaty otoczenia, to jego obojętności. Niewłaściwa reakcja policji w takich wypadkach dodatkowo wzmacnia przekonanie osobników agresywnych, że ich zachowanie było w zasadzie prawidłowe. Brak kary za taki czyn tworzy trwałe przekonanie o naturalnym podziale świata na „ludzi” i „frajerów” wedle przestępczej grypsery. Nie tylko nie buduje w ich świadomości hamulców i mechanizmów kontroli, lecz trenuje w sposobach unikania kłopotliwych kontaktów z policją i sądem, mówiąc inaczej jest to okoliczność doskonaląca sztukę popełniania przestępstwa. Byłoby bowiem naiwnością sądzić, że kontakt z prokuratorem wzbudzi w takim osobniku poczucie winy i ekspiacyjną refleksję. Wręcz odwrotnie, wzbudzi tylko uczucie zagrożenia i refleksję nad sposobami unikania odpowiedzialności za swoje czyny. Czyny, które przecież w majestacie prawa uznane zostały za mało szkodliwe, czyli w rozumieniu zainteresowanych, za dozwolone.

Patologiczne marginesy tolerancji

Tu zbiegają się psychologiczne skutki umorzenia postępowania oraz upowszechnianie o przedstawicielach narodowości, ras, profesji zjadliwego humoru. Sąd uniewinnia wydawców „dobrego humoru” – bo powód – murzyn nie dowiódł swego osobistego związku z oskarżonymi „dowcipami” i warszawski sąd uniewinnia notorycznego chuligana za obelgi i agresję fizyczną wobec małżeństwa Polki z murzynem – bo wyzwiska i agresja „nie były publiczne”. Humor pełni różne społeczne funkcje. Może uczłowieczać i odczłowieczać, może demonizować i uzwyczajniać ludzi, może przyozdabiać ludzi różnymi „ciepłymi” cechami, lecz może także zozydzać ludzi. Nie można obiektywnie ocenić funkcji humoru w odniesieniu do przedstawicieli mniejszości bez uwzględnienia kontekstu społecznego i kulturowego. Kontekst ten nie pozostawia wątpliwości, że w polskiej kulturze i świadomości istnieje określona liczba narodowości (Cyganie, Rosjanie, Niemcy, Czesi), którym jako równoważniki odpowiadają epitety o negatywnym zabarwieniu (pepiczki, szwabysy, kacapy, brudasy itp.). Na określenie ras używa się obraźliwych epitetów: asfalt, żółtek... W polskiej tradycji językowej od połowy XIX w. pojęciu Żyd przypisana jest konotacja negatywna. Wręcz używa się tego pojęcia jako obelgi, epitetu. Można jeszcze wymieniać liczne przykłady, w których słowo, nazwa ma znaczenie nie opisowe, lecz wartościujące i zarazem stygmatyzujące: pedał, cichodajka, papuga, garbus... Pedagogice społecznej nie są znane przypadki, aby dowcipy i tzw. humor łagodzący obyczaje, tworzyły klimat serdeczności lub przyjaźni, budowały więzi międzyludzkie. Natomiast łatwo nam wskazać na negatywną rolę „czarnych” dowcipów w tworzeniu się negatywnych stereotypów osobowych. Taką rolę odgrywa niewybredny humor w kreowaniu stereotypu teściowej, Żydów, policjantów czy Cyganów. Humor taki nigdy nie jest wolny od elementów poniżenia, wyśmiewania, niekiedy demonizuje i pozbawia godności. Jest on szczególnie okrutny w odniesieniu do osób w jakiś sposób bezbronnych i noszących wyśmiewane cechy w widoczny sposób, np. ludzie kalecy, murzyni. Humor taki jest elementem podkultury agresji. Tworzy określony klimat i buduje społeczną świa-

domość o wyraźnych cechach wyższości wobec ośmieszanych, tworzy przyzwolenie dla zachowań agresywnych, może być uznany za czynnik kryminogeny. Uznanie tego typu humoru za świadectwa wolności słowa i zdobyczy demokratycznych jest żalosnym nieporozumieniem. Podkreślając jeszcze raz konieczności indywidualnego osądu każdej sytuacji w inkryminowanej sprawie (np. dowcipy opowiadane o Polakach przez Polaków – nie wyrządzają szkody, lub mają nawet terapeutyczny sens. Te same dowcipy opowiadane w szwedzkim parlamencie zostały ukarane wysoką grzywną przez odpowiednie czynniki), nie wolno nam zapominać o braku granic między niewinnym żartem a zjadliwym szyderstwem i braku możliwości obiektywnego osądu skutków psychologicznych takiego dowcipu. Na moim seminarium pisana była praca o sytuacji dziecka polskich emigrantów w Berlinie. Obok perypetii ekonomicznych do rangi jednego z najdokuczliwszych elementów życia polskich rodzin było naśmiewanie się niemieckich rówieśników z dzieci polskich emigrantów. Kiedy wyniki tych badań prezentowałem pedagogom w Uniwersytecie Technicznym w Berlinie, czyli Niemcom, byli zdumieni, że dziecinne żarty i psikusy mogły kogośkolwiek ranić. Mimo to poszedł sygnał do środowisk pedagogicznych o dwoistym znaczeniu i odbiorze zjawiska. Sąd nad istotą i wartością dowcipów osławionego pana Leszka Bubla oraz Państwa Saduskich nie należy do nich, lecz do tych, w których jest wymierzony. Skutki nie zależą od intencji autorów i wydawców, lecz od subiektywnych odczuć wyszydzanych osób i obiektywnych, ale niemożliwych do określenia skutków społecznych, które tworzą określoną atmosferę utrwalającą postawy społeczne, budują stereotypy, które sprzyjają nietolerancji społecznej, zachowaniom ksenofobicznym i agresywnym. Z punktu widzenia pedagogiki społecznej tego typu twórczość i tego typu wydawnictwa są wysoce szkodliwe. Nie tylko bowiem krzywdzą „innych”, niemal zawsze słabszych, ale co może równie ważne, upowszechniają w społeczeństwie zarazę nietolerancji, narażają nasz kraj i naród na oskarżenia o antysemityzm, nietolerancję i inne negatywne właściwości, które tzw. wolny świat uważa za znamiona zacofania i kulturowego prymitywizmu. Nie jest żadnym usprawiedliwieniem obecność podobnych zachowań w kulturach innych narodów – choćby amerykańskiego. Każdy naród tworzy bowiem swoistą kulturę, przebył inną drogę historyczną i ma inne mechanizmy regulacji zachowań społecznych. Wedle wartości regulujących polską kulturę życia zbiorowego tworzenie i wydawanie takich utworów jak „Dobry humor” jest szkodliwe, naganne i obiektywnie kryminogenne. Nie sądzę, aby znalazły się w naszej rzeczywistości inne i lepsze mechanizmy przewyższania ułomności polskiej tolerancji niż wychowanie i edukacja. Prawo jeszcze przez długi czas będzie niewydolne, a polityka raczej sama posługuje się „nienawistną mową” niż łagodzi obyczaje. Trzeba więc nadzieję wiązać ze zróżnicowanym i polimorficznym procesem oświecania polskiego społeczeństwa i internalizowania odczuć wspólnoty i solidarności z całą rodziną ludzką. O poziomie tolerancji decyduje stan świadomości, wiedza, no i pewien zespół właściwości osobniczych, które są rezultatem wychowania. Im zatem więcej wiedzy, znajomości zjawisk, tym wyższy poziom „racjonalnej” tolerancji. I odwrotnie: im więcej ignorancji, tym łatwiej rodzą się postawy nietolerancyjne i ksenofobiczne.

Kilka słów o Bożym Narodzeniu i tradycjach świątecznych

Tekst przedstawia niektóre zwy czaje bożonarodzeniowe, charakterystyczne dla wybranych terenów Polski. Został opracowany na podstawie podanej niżej bibliografii.

Gdy za oknem ciemno, gdy śnieg prósząc leniwie, z wolna otula świat puszystą pierzynką, gdy mieniające się niecodziennym blaskiem witryny sklepów zachęcają przechodniów do zakupów, a w galeriach handlowych, w radiach i telewizorach rozbrzmiewa nieśmiertelne *Last Christmas*, warto może zanurzyć się, choćby teoretycznie, w magię świąt i tradycji bożonarodzeniowych.

Historia

Okres to szczególnie, bo od niepamiętnych lat oznacza czas przesilenia zimowego, które pogańscy Słowianie obchodzili jako „Gody” (od ‘rok’), święto godowe, rozpoczynające nowy rok słoneczny, czas odrodzenia.

Najważniejszą nazwą chrześcijańską tych świąt jest oczywiście Boże Narodzenie. Oddaje istotę święta – kończy się wyczekiwanie ludzi, spada brzemień grzechu Ewy, na ziemię przychodzi Zbawiciel, Syn Boga, by dać ludziom odkupienie (które dokonana się na Golgocie). Dzieło odkupienia rozpoczyna się w noc wigilijną. Wszechświat zamiera w obliczu cudu.

Boże Narodzenie to jedno z najstarszych świąt, sięgające IV wieku. W Anglii, Francji czy Niemczech świętowanie zaczyna się 25 grudnia, w dniu uznanym za dzień narodzin Jezusa – Syna Bożego. Pod koniec IV w. obchody Bożego Narodzenia zostały poszerzone o kolejne święta: 26 XII – męczennika, św. Szczepana, 27 XII – św. Jana Apostoła, 28 XII – święto Młodzianków, czyli dzieci zamordowanych na rozkaz Heroda. Ten czas świętowano aż do 6 stycznia, czyli Epifanii (Objawienia lub Trzech Króli). Wigilia jako taka została wprowadzona dwa wieki później. Warto dodać, że 24 grudnia w wielu krajach jest nadal zwykłym dniem. W Polsce to jednak najważniejszy dzień obchodów (choć nadal przed południem Polacy chodzą do pracy), a uroczyste wieczerze wigilijne na naszych ziemiach zaczęto obchodzić w XVIII wieku.

Sacrum i profanum

W rocznym cyklu życia człowieka i nieodłącznie związanej z nim kultury, te święta mają ogromny potencjał odnowy – następuje przesilenie słoneczne, „rodzi się”

słońce, a z nim ożywa świat. Świat Boski łączy się z ludzkim, dzięki narodzeniu się Syna Bożego – Zbawiciela. Z tego splątania dwóch porządków – Boskiego i ludzkiego wynika – na co zwracają uwagę badacze – wyjątkowa wróżebność okresu bożonarodzeniowo-noworocznego. Takie zacieranie się granicy między *sacrum* a *profanum* pozwala bowiem ludziom z jednej strony na prawie namacalne obcowanie ze świętością, z drugiej zaś – otwiera również granice do podziemi. Najbardziej magicznym czasem zacierania się tego co namacalne, ziemskie, z transcendentnością jest Wigilia. Był to także w tradycji ludowej czas obcowania z duszami bliskich zmarłych. Świadczy o tym szczególne zachowanie domowników, którzy starali się, by dusz w żaden sposób nie skrzywdzić, za to zaopatrzyć je we wszystko, czego potrzebują. Na czym te starania polegały? Zaczniemy od sprzątania domu. Otóż w tym dniu nie zamiatano podłóg, by nie zmieść dusz, przebywających z domownikami. Gdy na dworze robiło się ciemno, gospodarze rytualnie zapraszali dusze zmarłych do domu. Na czas wieczerzy zostawiano przy stole puste miejsce, by goście z zaświatów mogli wygodnie przysiąść i się pożywić. Co więcej, kobiety, siadając do wieczerzy, najpierw spódnicami omiały krzesła, bo na nich mogły przesiadywać dusze przodków. Później rozkładano w pobliżu pieca słomę, żeby duszom przodków było wygodniej. Bywało, że w ogóle nie sprzątano ze stołu wigilijnego przez całą noc, aby dusze mogły się pożywić. W trosce o dusze, w wielu okolicach przez całą noc palono światła, podtrzymywano ogień w piecu, aby zziębnięci przybysze z zaświatów mogli się przy nim ogrzać. Bywało wreszcie i tak, że dla zmarłych zbierano do jednego naczynia po jednej łyżce z każdej świątecznej potrawy i zostawiano na noc, w oknie stawiając świecę, by pomogła w mroku znaleźć miejsce, gdzie czeka poczęstunek.

Troska o dusze zmarłych przodków – wigilijnych gości, nie mogła jednak uspić czujności domowników przed czyhającymi wszędzie złymi mocami. Aby zatem nie wejść w konflikt z owymi ciemnymi mocami czy duszami naszych przodków, należało odpowiednio się przed nimi zabezpieczyć. Pomysłowość ludzi w tej dziedzinie była nie do przecenienia. Przykład? By zabezpieczyć odpowiednio domową przestrzeń, chroniąc zwłaszcza te jej obszary, które mogłyby „wpuścić” niechcianych gości z podziemi, pod stół chowano siekiery, kamienie i inne ciężkie przedmioty. Co więcej, zabiegi te wiązały się także z innymi motywacjami. Otóż przez całą wieczór wigilijną trzymano nogi na tych atrybutach. Wierzono, że moc twardego metalu lub kamienia przeniknie do kości i dzięki temu przez cały rok nie będą bolały nogi, zwłaszcza podczas ciężkiej pracy w polu.

Wigilijna noc wiązała się z wieloma ludowymi przesadami i zabobonami. Jeden z nich głosił, że wszystkie zapasy na święta np., węgla, drewna czy wody, należy zgromadzić w chacie przed północą, w przeciwnym razie zostaną one zjedzone przez myszy. Był to również czas „straszenia” drzew, czyli zaklęcia urodzaju. Miało ono określony przebieg i przeważnie uczestniczyły w nim dwie osoby. Mistrz ceremonii podchodził z siekierą do jabłonki i mówił, grożąc jej: „Będziesz rodzić? – bo cię zetnę!”, na co odpowiadała druga osoba: „Będę rodzić, będę!”. I taką formułkę powtarzano trzykrotnie, aby dopełniła się magia. W celu „spisania umowy”

zawiazywano wokół takiego drzewa powrósełko ze slomy lub siana. Ta tradycja na-
wiazuje zresztą do biblijnej przypowieści i nieurodzajnym drzewie (Łk, 13, 6-9).

Ozdoby świąteczne

Wyjątkowość Bożego Narodzenia wymagała również niecodziennej oprawy. Starannie wysprzątaną izbę, należało jak najpiękniej przyozdobić. Na wsiach, zwłaszcza tych z centralnej Polski, wnoszono snopy: pszenicy, żyta, owsa albo jęczmienia. Dekorowano je owocami lub smakolykami, co miało zapewnić dobrobyt i ustawiano w kątach. Z kolei na ziemi sądeckiej, na pamiątkę stajenki, ważnym elementem dekoracji świątecznej była słoma. Rozkładano ją nie tylko na całej podłodze, ale również na ławach, na których siedziano przy wieczerzy, ozdabiano nią także ściany i obrazy. Do wystroju używano też zielonych gałązek świerku, sosny, rzadziej jodły, które odgrywały bardzo ważną rolę. Te rośliny zimozielone postrzegano jako żywe, żywotne, przetrzymujące zimę i traktowano jako element magii vegetacyjnej, związanej z budzeniem przyrody do życia. Pamiętajmy, że święta to czas przesilenia zimowego. Pojawienie się gałązek zielonych miało więc przynosić nadzieję na zmiany w przyrodzie.

Na południu Polski znany był też zwyczaj wieszania pod pulapem podłaznika albo podłazniczki. W Wigilię rano mężczyźni szli do lasu i przynosili czubek choinki lub gałęzie, obowiązkowo z drzewa iglastego, które były podwieszane w świętym kącie, specjalnym miejscu wydzielonym w domu, gdzie wieszano święte obrazy, czasem nad stołem. Zdobiono go w trakcie wieczerzy różnymi elementami, które miały określoną symbolikę. Najczęściej były to: jabłka – symbol zdrowia, urody i młodości oraz orzechy – symbol prawdy, mądrości, siły i płodności. Z czasem doszły ozdoby z kolorowego papieru. Obowiązkową ozdobą był również świat zrobiony z oplatka. Umieszczano go w centralnym punkcie podłaznika. Ta typowo polska dekoracja, wykonana z białego lub różnokolorowego oplatka, miała najczęściej kształt kuli. Świat jest zresztą nadal używany jako bożonarodzeniowa ozdoba.

Znacznie później zagościła najpopularniejsza dziś w naszych domach, choinka. W polskich miastach pojawiła się na przełomie XVIII i XIX wieku, na terenach zamieszkałych przez osadników niemieckich i głównie w domach ewangelików, czyli na Pomorzu, Warmii, Mazurach i Śląsku na terenach wiejskich jeszcze później, bo w dwudziestoleciu międzywojennym. Początkowo dekorowana orzechami, jabłkami i smakolykami. Z czasem ozdób na choince przybywało. Nadal królowały na niej jadalne ornamenty, takie jak jabłka, pierniki, złocone orzechy, chlebek świętojański czy czekoladowe i marcepanowe słodkości. Wszystko to dopełniano jednak łańcuchami i drobnymi ozdobami, wykonanymi przez dzieci lub całe rodziny, uzupełniającymi zbiór choinkowych cudeniek w jesienne wieczory.

Należy jeszcze podkreślić, że zgodnie z tradycją, choinkę powinno się ubierać 24 grudnia. Co do tej daty wszyscy są zgodni (choć obecnie ubrane choinki stoją w niektórych domach długo przed świętami). Nie ma natomiast zgody co do terminu rozebrania drzewka. Niektórzy uważają, że czas choinki kończy się w święto Trzech

Króli, 6 stycznia, inni, że w Ofiarowanie Pańskie (Matki Bożej Gromniczej), 2 lutego, kiedy to w Kościele kończy się okres Bożego Narodzenia. Jeszcze inni rozbiegają choinkę po prostu wtedy, gdy... igliwie zaczyna się sypać.

Wieczera wigilijna

Gdy już wszystko zostało przygotowane a uczestnicy odświętnie ubrani, gdy za oknem zapadł zmrok, a na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, można było zasiąść do wigilijnej wieczerzy, która tak na wsi, jak i w mieście miała bardzo uroczysty charakter. Jednak tradycje wiejskie były znacznie bogatsze od tych miejskich i traktowane bardzo poważnie.

Na stole ustawiano co najmniej siedem potraw. Zgodnie z dawnym zwyczajem, w chłopskich chałupach na wigilijny stół trafiały potrawy przygotowane na bazie produktów stanowiących podstawę codziennego wyżywienia – mąki, grochu, kaszy, kapusty, w niektórych regionach także ziemniaków, oraz z roślin gospodarczych – w Polsce środkowej jadano polewkę z konopi, do dawnych wigilijnych potraw należy również zupa z siemienia lnianego. Główne dania to kutia przygotowywana z ziaren pszenicy, maku, migdałów i rodzynek (od nazwy tej potrawy wieczerzę, zwłaszcza na Litwie, nazywano „kucją”). Na chłopskich stołach – oprócz kutii, potraw z ryb oraz kapusty – pojawiały się: rzepa, jabłka, orzechy, czosnek, których spożywanie miało zapobiegać chorobom. Charakterystyczne dla kolacji wigilijnej były potrawy nawiązujące do tradycji mówiącej o obecności na Wigilii dusz zmarłych przodków. Były to suszone owoce, np. śliwki, które symbolizowały uśpione życie, i mak, będący symbolem zarówno życia, jak i śmierci”.

Znacznie bogatsze były stoły wigilijne w dworach szlacheckich, gdzie królowały znacznie wykwintniejsze, choć oczywiście postne potrawy. W menu znaleźć się mogły np.: barszcz z uszkami, zupa rybna, zupa migdałowa, szczupak z chrzanem, lin smażony, paszteciki z ikry i mlecza na muszelkach, kapusta z grzybami, łamańce z makiem, kutia, budyń migdałowy z szodonom (gęstym sosem jajecznym, na słodko). To podstawowe menu uzupełniały takie smakołyki, jak: bakalie, winogrona, jabłka, konfitury, kasztany i spore ilości wszelkiego alkoholu.

W XVIII w. na stołach – najpierw szlacheckich dworów, potem także chłopskich chałup – pojawił się opłatek. Jego historia sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa i zwyczaju zabierania do domu pobłogosławionego po mszy chleba (*eulogia*) dla tych, którzy nie mogli uczestniczyć w nabożeństwie. Wierzono wtedy, że opłatki zapewnią domowi dostatek, obfitość chleba, a okruch opłatka wrzucony do studni miał oczyszczać wodę i zapewnić ludziom zdrowie. Dzieląc się opłatkiem, składano sobie życzenia: „abyśmy mogli się dzielić tym opłatkiem w przyszłym roku, abyśmy za rok znowu wszyscy spotkali się przy tym stole.” Dodać należy, że tradycją wiejską było także dzielenie się opłatkiem ze zwierzętami domowymi (po wieczerzy wigilijnej). Co ciekawe, nie wszystkie doznawały takiego zaszczytu. Świnie na przykład nie otrzymywały opłatka, ponieważ – według tradycji – nie było ich w stajence betlejemskiej. Z kolei koń, jak głosi przekaz, odmówił Maryi i Józefowi pomocy

w ucieczce przed Herodem do Egiptu podczas rzezi niewińątek. Oplatka nie dostały początkowo również pies i kot.

Po życzeniach rozpoczynano spożywanie wieczerzy wigilijnej. Tradycją wiejską było, że podczas wieczerzy tylko pani domu mogła odchodzić od stołu. W czasie posiłku nikt nie mógł rozmawiać. Uważano też, by nikomu nie spadła łyżka, gdyż zwiastowało to śmierć w nadchodzącym roku. Za dobry znak natomiast uważano kichanie, zapowiadające pomyślność i zdrowie. Jedzono powoli, w ciszy i skupieniu. Liczba gości musiała być parzysta. Jak ognia unikano zwłaszcza „feralnej” trzynastki.

Kolędniczy, prezenty, pasterka

Po wieczerzy wigilijnej, do wiejskich chat i do szlacheckich dworców przybywali kolędnicy, przebrani za biblijne postacie: Trzech Króli, Heroda, a także baby, dziadów, Cyganów, Żydów czy diablów. Śpiewając radosne piosenki, tzw. kolędy, życząc zgromadzonym szczęścia w nowym roku i przekomarzając się z domownikami, kolędnicy „zapracowywali” na nagrodę, w postaci smakołyków. Na obszarach Polski wschodniej obdarowywano także napotkanych biedaków.

W dworcach koniec wieczerzy wiązał się z kolejnymi atrakcjami. Otwierano wówczas drzwi salonu, gdzie gości witał już unoszący się, oszalamiający aromat świeżo parzonej kawy, herbaty i wspaniałych ciast, a podekscytowane dzieci niecierpliwie czekały na prezenty. Obdarowywano zresztą nie tylko najmłodszych. Tradycja prezentów wigilijnych wiązała się pierwotnie ze składaniem darów душom naszych przodków i Panu Jezusowi, aby w kolejnym roku byli dla nas przychylni. Pod choinką kładziono m.in. miód, ciastka z bakaliami, zawieszano na niej ciastka, jabłka i cukierki, które stanowiły również prezenty dla przybyłych do domu gości. Obdarowywanie miało czasem charakter symboliczny. Jeśli na przykład panna zdjęła z choinki jabłko i wręczyła go kawalerowi, z którym mieli się ku sobie, to oznaczało, że w nadchodzącym roku wszyscy będą bawić się na ich weselu. Był to też czas wspólnych śpiewów i oczekiwania na wyjazd na pasterkę.

Jazda saniami nocą w białej, roziskrzonej gwiazdami scenerii była kolejną świetną zabawą. Jechano bowiem bardzo szybko, ba! ścigano się, gdyż – jak głosiła przepowiednia, kto pierwszy przekroczy próg kościoła, tego w nowym roku czeka szczęście i dostatek.

Uroczysta pasterka to ostatni akcent wigilijnego świętowania, a gromkie „Bóg się rodzi, moc truchleje” rozbrzmiewać będzie jeszcze i w świątyniach, i w szlacheckich dworcach, i w wiejskich chałupach nie tylko w dni rozpoczętych właśnie świąt, ale także w ciągu następnych kilku tygodni.

Życmy więc sobie i my, abyśmy mogli dzielić się z bliskimi oplatkiem również w kolejnym roku, byśmy też mogli wszyscy zasiąść za rok do wigilijnego stołu.

Bibliografia:

Baron-Jaworska A., *Cicha noc w ziemiańskim dworze. O tym, jak nasi dziadkowie spędzali czas Bożego Narodzenia*, <https://ciekawostkihistoryczne.pl/2019/12/23/cicha-noc-w->

ziemianskim-dworze-o-tym-jak-nasi-dziadkowie-spedzali-czas-bozego-narodzenia/
(dostęp: 22.11.2024)

Basik O., *Kiedy bombka zastąpiła świat*, <https://www.uw.edu.pl/wp-content/uploads/2015/12/pismo-uczelnia-zima-2015-kiedy-bombka-zastapila-swiat.pdf> (dostęp: 22.11.2024)

Gloger Z., *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*, <https://polona.pl/preview/fd0177e6-4995-4f6c-bc05-458d86b1e36d> (dostęp: 2.11.2024)

Kasprzyk-Cheviraux M., *Polskie wigilie dawniej i dziś*, <https://culture.pl/pl/artykul/polskie-wigilie-dawniej-i-dzis> (dostęp: 12.11.2024)

Kowalski W., *Wigilia na dawnej wsi. Trochę obrzędowości chrześcijańskiej, trochę pogańskiej*, <https://dzieje.pl/kultura-i-sztuka/wigilia-na-dawnej-wsi-troche-obrzedowosci-chrzescijanskiej-troche-poganskiej> (dostęp: 2.11.2024)

Skąd wzięło się 12 dań wigilijnych?, https://nauka.uj.edu.pl/aktualnosc/-/journal_content/56_INSTANCE_Sz8leL0jYQen/74541952/135242448 (dostęp: 21.11.2014)

Świąteczne zwyczaje, <https://www.uw.edu.pl/swiateczne-zwyczaje/>

Niekończąca się opowieść o drabinie do nieba, którą każdemu iść trzeba wg scenariusza widowiska pasyjnego Sławomira Konarzewskiego pt. „...i widzę niebo otwarte...”

Jest 23 listopada 2024 r., kościół pod wezwaniem WNMP w Ostrowi Mazowieckiej. Jest chłodny, listopadowy wieczór, ciemno i nieprzyjemnie na zewnątrz, ale w kościele panuje niezwykle ruch i ożywienie, wielu zaabsorbowanych ludzi biega, coś nosi, ustawia, przebiera się. To grupa aktorska „Rzeczpospolita Apostolska”, która przygotowuje się do kolejnego występu, bo już czternasty rok mija, jak z powodzeniem wystawiane jest przed publicznością widowisko pasyjne „...i widzę niebo otwarte”. Kiedy kończą się przygotowania, gaśnie światło, na wielkiej scenie ustawionej przed ołtarzem pojawia się ks. Jan Okuła, który wita gości i zarazem wprowadza do tego, co za chwilę zadzieje się w murach świątyni. Z jego słów przenika radość i zadowolenie, jest zarówno jej duchowym mentorem jak i wnikliwym recenzentem sztuki. „Widowisko, o którym mowa posiada w całej swej rozciągłości pozytywne przesłanie. To, co dobre i szlachetne – dobrym pozostaje i bardziej rozkwita, to co niepewne – nabiera koloru przewidywalności, to co bardzo trudne i najtrudniejsze, oczyszczenie ze zła – w świetle łaski staje się płaszczyzną doświadczenia transcendencji. „...i widzę niebo otwarte...” Tytuł widowiska jest znamieny i wielopłaszczyznowy. „Niebo otwarte” widział i zaświadczył o nim pierwszy męczennik – św. Szczepan. (...) Magia teatru polega między innymi na tym, że przenosi ona uczestniczącego w nim widza w inną przestrzeń czasową, nie tracąc momentu aktualnego „teraz” (cyt. ze wstępu do scenariusza „Misterium Pasyjne ‘...i widzę niebo otwarte...’”, Stare Lubiejewo, 28.XII. 2020 r.)

Następnie przed publicznością staje autor scenariusza, aktor i reżyser w jednej osobie, czyli Sławek Konarzewski. Jest wzruszony z wielu powodów i podkreśla, że swoją twórczość taktuje nie tylko jako spełnienie pasji, ale przede wszystkim realizację potrzeby ewangelizacji. Opowiada o powstaniu widowiska, które napisał na podstawie tekstów Ewangelii, ale też wykorzystał w nim dawne zwyczaje wielkopostne i pasyjne, kultywowane na terenie Podlasia i Kurpi do końca XIX wieku, opracowania etnograficzne Oskara Kolberga i Zygmunta Glogera oraz teksty z psalterzy i starych książeczek do nabożeństwa. W widowisku pojawiają się też nawiązania do powieści Michaiła Bulhakowa „Mistrz i Małgorzata” oraz „Listów Nikodema” Jana Dobraczyńskiego. Reżyser następnie przywołuje tradycje teatru antycznego, szekspirowskiego oraz teatru Zofii Solarzowej, do których odwołuje się w swoim dziele, wymienia też inne osoby, będące jego współtwórcami: drugiego re-

żysera Piotra Trentowskiego, autorkę tekstów Teresę Kolakowską, kompozytora muzyki – Pawła Andruszkiewicza i wielu innych. W wystąpieniu Sławka nie zabrakło oczywiście podziękowań dla wszystkich darczyńców, którzy wsparli jego dzieło, a więc przedstawiciele lokalnych władz samorządowych oraz przedsiębiorców. Wskazuje równocześnie, że aktualna realizacja spektaklu możliwa jest dzięki środkom pozyskanym z projektu „TUL łączy pokolenia” w ramach programu Wspierania Rozwoju Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2023, który realizuje Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego.

No i wreszcie zaczyna się spektakl... już pierwsze kwestie aktorów wskazują, że scenarzysta miesza chronologię biblijnych wydarzeń. Bo Jezus już umarł, a na scenie św. Paweł mówi o tym, że to on zabił Szczepana, który uwierzył i wypowiedział słowa „...i widzę niebo otwarte...” Ten wątek poczucia winy za to, czego się nie uczyniło, przewijał się w całym widowisku. Pozostaje w pamięci wspaniała gra aktora, który wcielił się w rolę Jezusa, poruszała w każdym momencie, zarówno gdy wygłaszał swe orędzie do ludu, jak i kiedy umierał. Niezwykły łoskot rozległ się w świątyni, kiedy upadał pod krzyżem i leżał zupełnie nim przywalony. Poruszał także po śmierci, kiedy leżał ułożony na kształt Piety w ramionach swej Matki. Mury kościoła wspaniale zwielokrotniały wszystkie efekty dźwiękowe oraz pieśni chóru, rekompensując tym samym niewygodę ławek i panujących chłód. W historii Jezusa nie mogło zabraknąć oczywiście postaci Judasza, w którą znakomicie wcielił się reżyser. Słynny judaszowy uśmiech zdrójcy i cała scena zdrady – wspaniale. Bardzo przekonujący był Szymon Piotr, jego rozterki i poczucie winy za okazaną słabość – wymowne. Wspaniale odegrana rola Szczepana, śpiew i gra aktorska Cieśli, sugestywni i błyszczący strojami Faryzeusze, boleść i rozpacz Matki Jezusa, szaleństwo jego Uczniów... to wszystko wybrzmiało donośnie i zapadło w pamięć na długo, jak sądzę, wszystkim obecnym.

Wiele można by tu jeszcze pisać o grze bezimiennych Aktorów, o wmieszanych do treści ewangelicznych słów innych dzieł literackich oraz pieśni. To naprawdę bardzo udane dzieło scenarzysty, reżysera i aktora Sławomira Konarzewskiego. Jest on niewątpliwie człowiekiem z pasją i talentem, pozostaje bezkompromisowy i autentyczny w swoich przekonaniach i pewnie dlatego udaje mu się od tylu lat realizować swoje przedsięwzięcia. Bo wręcz niewiarygodne wydawać się może to, że tak wielu ludzi pragnie grać w Jego teatrze. Udała mu się rzecz niebagatelna – wokół swojej sztuki stworzył prawdziwą, lokalną wspólnotę ludzi, których dzieli wiek, zainteresowania, wykonywana praca i sytuacja życiowa, a łączy TEATR. Sławek też wykazał się przenikliwością, bo już przygotował swego następcę, który będzie kontynuował dzieło.

Żaluję, że do tej pory twórczość mojego Kolegi z TUL-u, Sławka Konarzewskiego, znalazłam jedynie na podstawie tekstów scenariuszy. Dopiero czas, miejsce i ludzie dopełniają miary dzieła. Gratuluję i dziękuję za możliwość doświadczenia tego niezwykle poruszającego widowiska.

I kończąc pragnę przywołać słowa z „Mistrza i Małgorzaty” Bulhakowa: O, nie, mój filozofie, nie zgodzę się z tobą – tchórzostwo nie jest jedną z najstraszliwszych ułomności, ono jest ułomnością najstraszliwszą!

Joanna Mudzikowa – wspomnienia z okresu II wojny światowej

Poniższy tekst stanowi transkrypcję wywiadu, który z Joanną Mudzikową, Haliną Suslik (córką Joanny Mudzikowej) oraz Zofią Kaczor-Jędrzycką przeprowadziła dziennikarka radiowa Justyna Piernik. Audycja zatytułowana „Opowieści po zmroku” została wyemitowana na antenie Polskiego Radia (Program 2) w dniu 30.11.2015 r. Link do audycji na stronie internetowej Polskiego Radia:

<https://www.polskieradio.pl/8/2384/artukul/1551916,wojenna-odwaga-kontaktowej-dziewczyny>, gdzie można odsłuchać nagrania.

Justyna Piernik: Dobry wieczór Państwu. Opowieści po zmroku. W cyklu „Kobiety Polskiego Ruchu Ludowego” przed nami spotkanie z Joanną Mudzikową. Urodzona w 1923 r. w Poznaniu, wychowana w rodzinie o patriotycznych tradycjach, w czasie wojny została przesiedlona do podkieleckiej wsi Piórków. W audycji opowie o realiach życia w czasie okupacji w tej ubogiej miejscowości, o swojej działalności konspiracyjnej, o losach swojej rodziny i całej społeczności lokalnej na tle historycznych wydarzeń XX wieku. W rozmowie z Joanną Mudzikową wzięły udział także: pochodząca z Piórkowa Zofia Kaczor-Jędrzycka oraz córka bohaterki – Halina Suslik.

Halina Suslik: Myślałam, że idę z mamą po prostu, żeby jej pomóc dojść, bo jej ciężko chodzić. Szczerze mówiąc, na przestrzeni tych moich kilkudziesięciu lat życia mama rzadko opowiadała o tym, co przeżyła. Najczęściej rozmawiali, kiedy się spotykali w gronie znajomych, *a pamiętasz to, a pamiętasz tamto* i korygowali wspomnienia, bo różnie ludzie różne rzeczy wspominają. Raz się zdarzyło, kiedy byliśmy u mojej siostry, drugiej córki, kiedy opowiedziała nam wszystko od dzieciństwa do wojny, ale tak się splotała jak bóbr, że więcej do niektórych tematów ześmy nie wracali.

Joanna Mudzikowa: Jestem tutaj, ale myślałam, że raczej będę się przysłuchiwać, bo zapomina się niektóre szczegóły, a przyjdzie moment, że moje dzieci, wnuki powiedzą, też będą pytać w pewnym momencie o babcię i dziadka i nie wszystko będą umiały powiedzieć, więc dla mnie to będzie takie przypomnienie. Urodziłam się w Poznaniu, byłam młodszą córką starszego wachmistrza z 15. Pułku Ułanów Poznańskich, w którym ojciec służył. Ojciec mój był powstańcem wielkopolskim z 1914 r. Przeżycia swoje wojenne i takie różne wojskowe kłopoty były już nam, dzieciom, młodzieży znane, gdy zaczął się tragiczny rok 1939. My byliśmy we trzy

dziewczyny, byliśmy po dwóch klasach gimnazjum, które szkoliło młodzież powszechnie, pod każdym względem, nie tylko wiedzy, nie tylko historii, kultury i tak dalej, ale uczono już nas obchodzenia się z bronią, obsługi chorego, zajmowania się rannymi. Przechodziliśmy szkolenie w LOP-ie, to była Liga Ochrony Powietrznej i tam jakiejś przed desantowej. Nie pamiętam, czy te desanty były już, czy nie, ale niezależnie od tego szkoły postawiły na młodzież gimnazjalną, która już w wieku 16–17 lat była dorosła.

Justyna Piernik: Zaczął się rok 1939. Trzy siostry, to znaczy?

Joanna Mudzikowa: Moja siostra Maria, która w tej chwili jest w bardzo złym stanie, żyje, ma 93 lata i mieszka w Poznaniu. Druga siostra, jej bliźniaczka Władysława, która zmarła w 2002 roku, to była też żona jednego z Mudzików, bo myśmy zgarnęły co ładniejszych chłopaków z Pyrgowa, tak to należy powiedzieć, bo młodzież była piękna i wszędzie się różne sprawy działy. Zaczęła się działalność konspiracyjna, o której będziemy później mówić.

Justyna Piernik: Zanim jeszcze o działalności konspiracyjnej, to w którym roku Pani się urodziła i Pani siostry?

Joanna Mudzikowa: Urodziłam się 9 lipca 1923 r. Siostry urodziły się w styczniu 1922 r., a brat młodszy urodził się w sierpniu 1926 r. Moja matka z czworgiem dzieci na początku 1940 r., mając niemieckie dokumenty, została wyrzucona ze swojego domu, który był bezpieczny i piękny. I zostaliśmy, jak większość poznaniaków, nie wiem czy wszyscy, ale wielu, przywiezieni do obozu pod Poznaniem, gdzie przesiadzieliśmy w barakach wojskowych, w boksach takich. Słoma była już starta, bo już to przemielone było przez różne poprzednie ekipy, głównie wojskowych, policjantów i inteligencję poznańską.

Justyna Piernik: Jak wyglądało życie poznańskiej inteligencji jeszcze przed 1939 rokiem? Trochę Pani może pamiętać, bo 1939 roku była Pani nastolatką.

Joanna Mudzikowa: 14, 15, 16 lat, ponieważ tak, jak mówiłam, ojciec był starszym wachmistrzem w 15. Pułku Ułanów Poznańskich, więc byliśmy związani w dużym stopniu z wojskowością. Były rodziny wojskowych, które się opiekowały dziećmi i młodzieżą, były różne spotkania, odbywały się manewry wojskowe. Mieszkaliśmy na terenie koszar, kiedy wojsko wyjeżdżało na manewry do Biedruska, to wszystkie dzieci obserwowały, co się działo. Szacunek do wojska, do ludzi związanych z wojskiem mam we krwi, niezależnie od tego wszystkiego, jakby to wyglądało na dzisiejsze czasy.

Justyna Piernik: Jakie znaczenie ma to, że Pani jest kobietą? Jaką rolę odgrywały kobiety właśnie w takiej wojskowej rodzinie?

Joanna Mudzikowa: Doskonale nam się żyło w tamtych czasach. Do 1939 r. te kontakty ze środowiskiem rodziców utrzymywały się poprzez jakieś spotkania, jakieś opowieści z czasów pierwszej wojny światowej. Ojciec opowiadał też o różnych swoich przeżyciach, zwłaszcza o tym, kiedy był ranny. No i takie *wojskowości* w czło-wieku już tkwią od samego początku, choćby to było tylko małe opowiadanie, bo nie wszystkie szczegóły przecież się wyjawia.

Justyna Piernik: A matka?

Joanna Mudzikowa: Matka prowadziła dom, w którym było czworo dzieci. Żony wojskowych nie miały prawa przed wojną pracować i nie pracowały. Jeśli tak było, to dotyczyło to tylko osób samotnych, które nie miały rodzin, to mogły w wojskowości pracować. Natomiast żony, nawet podoficerów, nie miały zezwolenia na żadną pracę, więc matka była w domu, gaża ojca wystarczała na utrzymanie całej, sześciuosobowej rodziny. Wszystko zawaliło się tak jak powiedziałam, w 1939 roku, kiedy ojciec został jako rezerwista powołany do wojska. Był na wschodzie, potem został z niewoli zabrany przez Rosjan i przewieziony pod holenderską granicę do obozu. No i tam przesiedział całą okupację, potem, kiedy rozpuszczono obóz, pracowali na roli i dopiero w 1945 r. spotkaliśmy się. A to, co się działo z matką i z nami czworgiem, no to właśnie dekretem niemieckich różnych dokumentów mogę udowodnić, że zostaliśmy przewiezieni do obozów, które nas pomieściły przez ten czas, aż uzbierał się odpowiedni transport, żeby pociągami osobowymi, ale bez żywienia i bez toalet, przewieźć przez różne Tomaszowe, Mazowieckie, Opoczno i wszystkie miejscowości, bo pociąg w prawo i w lewo jechał tak daleko, aż dojechał w marcu 1940 r. do Ostrowca Świętokrzyskiego w potworną zimę.

Myśmy byli na te warunki nieprzygotowani, z miasta, no i buty miałyśmy, nie buty, tylko śniegowce tak zwane, bo się nosiło wtedy *ulanki*. Tak nazywały się gumowe buciki, czyli śniegowce. Było zimno, byliśmy zmarznięci, byliśmy głodni, byliśmy brudni, bo w tym obozie w Głownie pod Poznaniem, gdzie nas lokalizowano do czasu, aż się zbiorą wszystkie grupy i resztę przewiozą tam, gdzie trzeba, żeby rozprowadzić to towarzystwo, to trwało te dwa-trzy tygodnie, więc przez te trzy tygodnie już człowiek był troszkę *zszmaczony*. Ale zaświeciła dla nas gwiazdka, że jeśli jest Ostrowiec i stoją dziesiątki sań z jednym konikiem, z drugim konikiem, przykryte derką, w jakichś czapach, zamrożone, wszystko zimno, bo to czekali od wczesnych godzin rannych, czekali, aż te pociągi przyjadą na określone godziny, żeby rozparcelować tych wysiedleńców. No i czekamy, jest lista, znów kolejna lista, odczytywanie, najpierw po niemiecku, potem po polsku, myśmy trochę niemiecki liźnęły w szkole już, ale to było słabo, niewiele się wiedziało, tylko człowiek wiedział, jak się nazywa i w jakiej grupie ma stać. I wtedy były sanie i po kolei rodziny wsiadały do poszczególnych stań. Trafiliśmy do sań z jednym konikiem.

Justyna Piernik: Ma Pani tutaj przed sobą kserokopię dokumentów, zaraz wrócimy do tych sań i do tej podróży. Jakie to są dokumenty?

Joanna Mudzikowa: To są dokumenty niemieckie z Polskiego Instytutu Zachodniego. W 1966 roku na skutek rejestracji wszystkich wysiedleńców z terenu Poznania i okolic poznańskiego, bo to była część Polski wcielona do Niemiec, a Generalna Gubernia, do której zostałam przywieziona, to już było zupełnie co innego. Jest to dokument niemiecki, który precyzyjnie określa wszystko, co potrzeba. Są to listy imienne. Kuczyńska z domu Dybiona. Urodzona w 1898 r. Maria Marianna, jest tu napisane, Marianna urodzona w 1922 r. Władysława – 1922 r. Joanna, czyli ja, 1923. I Stefan urodzony w 1926 roku. I na podstawie tych dokumentów, co Polski Instytut Zachodni potwierdza, że zostaliśmy przywiezieni do tej Generalnej Guberni.

Justyna Piernik: I teraz już jesteśmy w tych saniach, tak?

Joanna Mudzikowa: Już jesteśmy w Ostrowcu. Wsiadamy na te saneczki, bo to były saneczki drewniane. Konik stoi po kolana w śniegu. Jedziemy te trzydzieści parę kilometrów w mrozie, zasypiamy. Zimno nam, a o toalecie nie ma mowy. W ogóle straszna rzecz. Przejeżdżamy do Piórkowa i co się okazuje? Wychodzi do nas mężczyzna, to był pan sołtys z Górnego Piórkowa, starszy człowiek i mówi, że ponieważ w Piórkowie nie ma domu, w którym można by nas pięcioro było ułoować, wobec tego – postanowieniem gminy – dzielimy państwa po dwie osoby do każdego domu, a trzecia osoba, czyli chłopak, będzie oddzielnie. Załamało się nasze życie całkowicie. Mnie i Maryłę do domu zaprosił pan Ignacy Gałęziowski. Wysiadamy sztywne z tych sań, wchodzimy do domu. Jedna izba, bo wszystkie domy w Piórkowie maleńkie. Przeważnie jednoizbowe i ewentualnie była komora. Są trzy dorosłe osoby i starsza pani, babcia, Zofia Gałęziowska jest w ciąży. Niedługo potem urodzi się chłopak, będzie miał na imię Mieczysław, pierwszy chłopak na cześć Mudzików. Ale niezależnie od tego wszystkiego cieszymy się, że jest kubek gorącego mleka i że jakoś będziemy funkcjonować. Mama z drugą siostrą, miałam siostry bliźniaczki, jak wiadomo, bardzo jedna i druga były blisko, ale musiałyśmy się podzielić, trafiły do państwa Jankowskich, gdzie było chyba siedmioro dzieci już wtedy, a potem ósme się jeszcze urodziło przy nas. Tam jest maleńka izba. Wieś nie miała ani światła, ani drogi, ani wodociągów, ani kanalizacji. Wszystko było bardzo skromne. Cała wieś to było ledwie kilkanaście domów. Wieś urocza, ale niestety, warunki do życia były bardzo trudne. Skromnie bardzo było. Najlepsze jedzenie to był barszcz i kartofelki, które były okraszone słoniną, to było najcudowniejsze jedzenie. Dzieci w każdym domu było bardzo dużo. Młodzieży było bardzo dużo, po cztery, pięć osób, po sześciu było chłopców czasem, jak u Sitarских, było pięciu, u sąsiada drugiego też było czterech chłopaków i dziewcząt było dużo. Młodzież była taka, jak jest i dzieci były takie same. Szkoła była niepowszechna, bo myśmy powszechną miały w Poznaniu, tam, na zachodzie. Natomiast tutaj była szkoła podstawowa, chyba sześciopoddziałowa, której kierownikiem był Franciszek Mudzik, który został powołany do wojska i w czterdziestym roku zginął w Katyniu. To jest ojciec mojego męża i męża mojej siostry, która również wyszła za jednego z Mudzików. I tak co dwa tygodnie mała kolonia, czyli jeśli mniej mórg gospodarstwo zajmowało, to dwa tygodnie byłyśmy. Jeśli była duża kolonia, czyli tam osiem czy sześć mórg, to wtedy było się miesiąc i tak przez całą wieś, co dwa tygodnie, co miesiąc zmienialiśmy miejsce. Życie było bardzo ciężkie. To, co było w czasie okupacji, to tylko można między bajki włożyć. Nie było wyżywienia, nie było pracy, nie było komunikacji, nie było radia, nie było światła, nie było toalety, nie było nic. To była bardzo biedna wieś, ale ludzie byli szczerzy i kochani. Tam się zaczęły znajomości. Były różne przypadki tego rodzaju, nazwisk nie będę wymieniała, bo ci ludzie wprawdzie już nie żyją, ale we wdzięcznej pamięci zachowuję ich aż do czterdziestego czwartego roku, kiedy było drugie wysiedlenie w czasie frontu. To były takie uwagi: jak to daliście się wyrzucić z domu? Widocznie nic nie jesteście warci. Gdzie jest ojciec? Dlaczego nie ma z wami ojca? Co się dzieje? Świadomość ludzka była kształtowana dopiero na podstawie tego, co jeden opowiedział drugiemu. Te wszystkie opowieści wieczorne odbywały

się przy lampeczkach naftowych, bo była nafta, ale nie zawsze w domu było światło, więc wieczorem, kiedy zapadał zmrok, siadano się, czy tam było co zjeść, czy nie było co zjeść – i ludzie sobie opowiadali. Myśmy opowiadali o swoim życiu i o tym, jak było u nas, skąd myśmy się tu znaleźli, co było w szkole, czegośmy się uczyli. Myśmy chodziły we trzy do gimnazjum państwowego, żeńskiego, które miało szeroki wachlarz szkolenia. Obejrzałyśmy, jak wygląda elektrownia, widziałyśmy też, jak wygląda gazownia. Chodziłyśmy do huty szkła, gdzie nam pokazano, jak się robi butelki, szklanki i różne inne rzeczy. Chodziłyśmy do garbarni, gdzie nam pokazywano, jak moczą się skóry z jakichś krokodyli i żab ogromnych. Nie wiedziałam, że żaba może mieć na metr szerokości łapy rozłożone. Z tych skór wyrabiano różne galanteryjne rzeczy na potrzeby bieżące. Czyli bogatej Polski dwudziestolecia, bo jaka by ta Polska teraz w pamięci u nas pozostała, to była bogata Polska w porównaniu z tym, cośmy zastali na wsi. To było nasze zetknięcie ze wsią kielecką, bardzo biedną, a tak, jak mówię kochaną i tak do tej pory w mojej pamięci zachowaną.

Zofia Kaczor-Jędrzycka: Pani Joanno, niech Pani jeszcze powie, jakie umiejętności przywiozłyście do Piórkowa?

Joanna Mudzikowa: Myśmy wyniosły ze szkoły i z domu przekonanie do robót ręcznych. W szkole uczono nas szydełkowania, pracy na drutach, cerowania, latania, opiekania się chorym itd. Czyli tak w szeroko pojętym znaczeniu, bo była higiena tak zwana, czego teraz w szkołach nie ma, ale daje to ogólne pojęcie o tym, jak wygląda życie w przeciętnej rodzinie, co tu dużo mówić. No i niezależnie od tego wszystkiego, te wszystkie nasze umiejętności zaczynały się przydawać. Coś zszyć, popruć stary sweter, z trzech czy czterech swetrów zrobić jeden, który zachwyci pół wsi! Potem, w drugim domu mówią: no jak to tam zrobiłaś dla Julki Rejowej, to zrobiłaś to czy tamto, a dla mnie nie zrobisz? No, rób! No to człowiek robił, pracowaliśmy, co miał zakodowane, ale były też roboty fizyczne. Kiedy były sianokosy, potrawy, to jest drugi sianokos, trzeba było z panem starszym Kaczorem, dziadkiem pani Kaczor, do siana, naprzeciwko szkoły. Chłopcy wtedy byli w szkole i przyglądali się, co to jakieś dziewczyny, jakieś takie przywożone, co to się dzieje, takie młode, a te przystojne, a one inaczej ubrane, a inaczej się zachowują... i zaczynały się tak zwane bliższe kontakty. A poza przyjemnością przy sianie, to były bardzo nieprzyjemne historie, kiedy było kopanie kartofli czy buraków, czy tam obcinać nać od buraków, żeby dla krów była pasza na jesień, na zimę i takie różne rzeczy, ale to były fizyczne, ciężkie prace. Nie do wszystkiego i we wszystkich domach nas dopuszczano. Mówili na przykład: no, wy nie umiecie, te białe rączki się nie nadają do tego.

Były takie domy, że pani, obieramy ziemniaki z Marylą u Ścidarskich, ale to już nie o to chodzi, obieramy, ona tak się przygląda, ta kobieta, było tam pięciu chłopców, jedna dziewczynka, czyli sześcioro dzieci i wdowa. Żyli w bardzo skromnych warunkach, kobieta przygląda się i w końcu mówi: panny zostawiaj te ziemniaki, bo musi być i dla żywieniny i dla ludzi. My za cienko obierałyśmy ziemniaczki... Były też i przyjemne rzeczy, że kobieta oceniła, że to coś jest źle, ale dla niej będzie dobrze, bo będzie robiła tak, jak sama mieszka, jak chce. No były różne potrzeby, a to wyhaftować, a to coś szyć. Wyhaftowałam wiele obrusów i mam nadzieję, że do tej po-

ry, wprawdzie już może powydzierane, ale gdzieś tam szmatki chyba wisiały długo, długo po wojnie, jak przyjeżdżaliśmy, zresztą widziałam. To były takie roboty, które dodatkowo wykonywano się w domu, wieczorem, zimą, kiedy nie było światła, więc tylko w dzień się te rzeczy robiło, a wieczorem się opowiadało. Były takie historie, że pan starszy Kaczor, ojciec pana Jana Kaczora, mówił. W tych domach, gdzieśmy były, były rozmowy, rozmowy, opowieści, śmiechy, śpiewy, tam i tam różne rzeczy, wychodził pan Koczek i mówił: „kawalerka do domu, panny do łóżek!”, no i trzeba było się podporządkować, bo tam rygor był niestety, taka była sytuacja, że moralność była na pierwszym miejscu, nie wolno było się za bardzo koligacić. No ale koligacje powoli przychodziły, potem przyszła konspiracja i no to się zaczęły inne rzeczy. I przywozili, gdzieś tam ktoś był w mieście, jakiś kawalek gazety, papierów, gazet nie było, bo nie było, nie było, no nie było.

Do Ostrowca było trzydzieści parę kilometrów, do Opatowa osiemnaście, gdzie chodziło się pieszo i to bardzo często, do Łagowa było siedem kilometrów, na jarmark trzeba było pójść, zanieść kurze jajka, czy tam gospodyni wiozła coś, czy niosła, czy kury, czy coś kupić, czy coś załatwić, ale to wszystko było w zasięgu kilku kilometrów. Nic na miejscu nie mieliśmy, był jeden sklepik, bardzo sympatyczny, ale w tym sklepiku nic nie mieli, pokątnie jakieś słoniny do kupienia, czy no, bardzo skromne. Każdy dom hodował trochę drobiu, były krowy, prawda, był koń, to było już dobrze, jak były dwa koniki, to było już dobre gospodarstwo, to już była tak zwana duża kolonia. Mleko się zbierało, żeby zrobić, zdjąć śmietany, zrobić masło, potem w Opatowie, czy w Łagowie sprzedać na jarmarku, ale niezależnie od tego wszystkiego życie było skromne, co tu dużo mówić, było bardzo skromne, bo takie były warunki.

Konspiracja zaczęła się już w 1941 r., kiedy w ogóle o Katyniu to na wsi wiedziały pojedyncze osoby, bo ostatnia wiadomość ze Starobielska od Franciszka Mudzika to przyszła na początku 1940 roku, a w marcu, około 9 marca zginął. Te wiadomości były podawane z ucha do ucha, tylko komuś zaufanemu, bo tego nie wolno było mówić. W tym czasie niemiecka kontrola była na każdym kroku, niezależnie od tego wszystkiego, co było na wsi, to całą gospodarką rządili Niemcy. Przyjeżdżali, zabierali kontrybucje, działy się straszne rzeczy, bo tłukli, kradli, gęsi wynosili. Pamiętam pana Barana, który był tak potłuczony po plecach, położyli go na kieracie, w którym koń chodzi wokół i snopki młóci, wtedy się depcze, żeby ten koń troszkę zmiękczył słomę i tak go strasznie potłukli, że ponad cztery tygodnie leżał cały fioletowy, mało że nie umarł. Opiekowała się nim jego córka, myśmy wtedy były u pana Barana, bo to już były miesiące, jeden za drugim leciał. Działy się rzeczy straszne, ale niezależnie od tego wszystkiego, jak przyjeżdżał powiedzmy pan Zwiejski, to była przepiękna postać, przepiękna. Przywódcy Wiciowi to były osoby, od których dowiadywał się człowiek tego wszystkiego, co już wiedział, ale uzupełniał swoją wiedzę ze szkoły. Szkoła w Piórkowie miała sporą bibliotekę i z tej biblioteki myśmy korzystały. Do tej pory pamiętam, jak przyszły listy gdzieś tam z Opolskiego, jakaś dziewczyna prosiła, żeby mąż mój poświadczył jej, że ona była w takim i w takim czasie, chciała uzyskać jakieś tam uprawnienia do ziemi, której kawalek

dostali. I pisze, mówi, że zazdrościła nam, że my prowadzimy krowę na pastwisko, czy ktoś tam jest, pilnuje swoich krow czy gęsi, a my zawsze z książkami. I to była ta kultura, która zachęcała młodych do czytania, do interesowania się, dlaczego one tak czytają, co one w tych książkach mają, co się tam dzieje? No myśmy były jeszcze cały czas uczennicami. Mając 16 lat, siostry 17, potem 18 i 19 lat, no to była młodzież, która mogła coś od siebie dać tym ludziom, którzy z tym nie stykali się, bo kończyli te 6 czy 5 klas, czy nawet 4 i więcej do szkoły już nie chodzili. Była pani Religa, nazywa się Religa, ale mówiono na tę panią Relidzyna, na samym początku wsi, jak się Piórków zaczynał, której córka była na robotach w Niemczech i ta pani kiedyś zwróciła się do nas, gdy po kościele wychodziliśmy. Chodziło się co niedzielę do kościoła, był ksiądz Krupa, a jakże i zwróciła się do nas, czy byśmy jej nie przeczytały listu, bo od córki dostała list, a nie umie przeczytać. Owszem, przeczytałyśmy jej list, Maryla, potem nie tylko czytała list, ale pisała list w imieniu matki do córki, która była ciekawa, co się dzieje w Piórkowie, a co u Dudków, a co u Gryśów, a co tam u Kaczorów, a co się dzieje u Mudzików? Wiedzieli, że umarła pani Mudzikowa, dlaczego umarła, co się stało i to wszystko w listach, w delikatny sposób, bez używania nazwisk, starałyśmy się przekazywać tym, którzy prosili o napisanie listu, jak ta córka pani Relidzyny w Niemczech. To też była nauka.

Niezależnie od tego wszystkiego, oddziaływanie rodziny Mudzików było ogromne. Ojciec był kierownikiem szkoły, jak mówię, do 1939 roku, dokąd nie poszedł na wojnę i zginął. Matka zginęła w 1941 roku na skutek fatalnych okoliczności z więzienia na Świętym Krzyżu, które było jednym z najcięższych więzień w Polsce.

Rozpuszczono więźniów z powodu głodu i kanibalizmu. Były jeszcze napisy: *ludom-żerco, będziesz karany śmiercią*, to ja sama na własne oczy widziałam w latach powojennych, jak tam jeździliśmy, odwiedzaliśmy Święty Krzyż. W czasie okupacji tego jeszcze nie widziałam, bo tam nie było dostępu i rozpuścili tych więźniów po wsiach. Rozeszli się po całej okolicy, niestety, zarażeni tyfusem. Przyszedł również taki jeden włóczęga do szkoły. Matka Krystyna Mudzikowa przyjęła go, nakarmiła barszczem. Potem ubranie z niego ściągnęli, spalili, ubrali w rzeczy chłopaków, wykąpali, odchuchali, podkarmili 2–3 dni, ale on szedł w swoją stronę, mówił po rosyjsku, paradoks. Ojciec zginął od Rosjan, matka dała serce i pomoc Rosjaninowi, ale to nieważne, bo to w tamtych czasach w ogóle się nie liczyło, o tym się nie mówiło.

Poszedł, zostawił tyfus we wsi. Matka zachorowała na tyfus plamisty i w strasznych okolicznościach, przy zapaleniu opon mózgowych, w Wigilię Bożego Narodzenia 1941 roku zmarła. To była mama mojego męża, przyszłego męża.

Była tu straszna zima, była tak straszna zima, że od Piórkowa do kościoła była niedaleka droga, żeby trumnę nieść, w drugi dzień świąt, bo w drugi dzień Bożego Narodzenia było nabożeństwo, był pogrzeb. Żeby wykopać grób na cmentarzu, trzeba było kilofem czy czym rąbać, bo nie było jak, zamarznęte wszystko. Potworne zimy tam były, zimy były tam tak straszne, że równe syberyjskim, równo z dachami było zasypane i chodziło się tak, jak ścieżkę kto wydeptał. Pamiętam, że ja kiedyś na randkę umówiłam się z Mietkiem, tośmy się nie mogli spotkać, bo ja szłam od Piórkowa jedną ścieżką, a on szedł od szkoły i tylko z daleka żeśmy sobie pomacha-

li, a to szło się przez łąkę, która latem jest rzeczką i można było, jakby było lato, to można było sobie ładnie przejść, ale zimą, jak się idzie po śniegu, to żadna miłość w oczach ani w głowie nie pozostaje; ale mimo to miłości i znajomości były.

Jeśli chodzi o młodzież tak zwaną średnią czyli tą, która już troszkę świata liźnęła i coś widziała, tak jak powiedzmy – Mieczysław Mudzik – był już po maturze. Mój mąż przyszedł, brat jego młodszy to tam o dwa lata, następny prawie mój równolatek, bo Tadzik z dwudziestego piątego roku był, a Witek to był z dwudziestego tam któregoś znów dalszego i jeszcze młodszy. A na wsi tych chłopaków, z których każdy trzymał się jakichś tam swoich idealów i swoich potrzeb, swoich znajomości. Miały miejsce różne układy, że tak powiem, znajomości i sympatie. No, ja właśnie zaprzyjaźniłam się z wieloma osobami i miałam bardzo dobre układy.

Michał Kot uczył nas obchodzenia się z bronią, o czym myśmy już wiedziały, gdzie się strzela, gdzie się cyngiel pociąga, jak się opatruje chorego. No to już wtedy wiedział, że taką dziewczynę po gimnazjum można posłać do wsi, do Komady, do Żernik, czy do Modliborzyc, czy gdzieś wysłać i powiedzieć. Bo wtedy nie było ani telefonów, ani komórek, ani niczego nie było, więc trzeba było kontakt mieć. Nawiązywały się te pierwsze, nie tylko znajomości konspiracyjne, ale pierwsze znajomości w ogóle osób znaczących, jak Ludwik Dworakowski, do którego kawal trzeba było do starego dworu pójść. Pomyliłam gdzieś za Goloszycami drogę i znalazłam się na terenie byłego dworu. To już były późniejsze lata 1944–43, zgubiłam drogę i trafiłam w Goloszycach. Wychodzi do mnie młody człowiek i mówi: Panna czegoś szuka?

Coś w takiej formie, bo nie było formy *ty*, mówienia bezpośrednio, jakiegoś obcowania. Byliśmy – albo panna Jaśka, albo panna Mania, czy panna jakaś inna. A jeśli zwracał się ktoś młodszy, to mówił pani Jaśka, czy pani jakaś tam inna. Było bardzo ładnie, no i pyta, a ja mówię, że zgubiłam drogę i muszę tutaj gdzieś. A on na to: a skąd panna jest? Więc ja mówię, że jestem z Piórkowa. A z Piórkowa, to od Mudzików i tu już miałam kontakt, wiedziałam, że trafiłam w dobre ręce i z tych Goloszyc, czy spod Goloszyc, wyprowadzi mnie na dobrą drogę, rowerem kawalek, a ja pieszo do Piórkowa dotarłam i pytają mnie: no jak, spotkałaś? No mówię, spotkałam jakiegoś takiego człowieka, a to był syn dziedzica. Tam jeszcze były resztki, bo już się pakowali, już uciekali, że to był 1944 rok, rozparcelowane tam wszystko było.

Justyna Piernik: Była Pani łączniczką?

Joanna Mudzikowa: Byłam, trudno powiedzieć... nas nie nazywano łączniczkami, tylko kontaktowe dziewczyny. No, łączniczki to w tej chwili tak się spopularyzowało, że ja mając kilkadziesiąt lat od lat wielu, wielu po wojnie kontakt w kole Batalionów Chłopskich, to stwierdziliśmy, iż wielokrotnie, że najczęściej było łączników i najczęściej było tych właśnie osób, które działały, a nie ma tego podstawowego elementu, który zaczynał się od zera – osoba, która przychodzi z niczym, która coś może powiedzieć, może coś załatwić, ale jeszcze o konspiracji nic nie wie. Trzeba jej dopiero powiedzieć, co było ZWZ, co było AK, a co teraz jest BH, bo to było bardzo ważne. Myśmy na początku mieli ZWK AK, u nas nie było BCh. To się dopiero nawiązywała konspiracja. Wtedy, kiedy przyjeżdżał Zwiejski. To był starszy pan, po studiach, pracował w policji i od nich dopiero zaczynała się organizacja grupy.

W Piórkowie, w szkole zaczęło się wydawanie takiego biuletynu, no trudno nazwać to... *Wies w walce* to się nazywa. *Wies w walce*, *Żołnierz wolności*, wydawaliśmy to, trzeba było przeczytać, trzeba było walkiem smarować. Nie mieliśmy falki, nie mieliśmy taśmy, nie mieliśmy, ale mieliśmy za to bardzo sprytnych chłopców. Mój brat Stefan, który miał pseudonim Bohun, bo już wszyscy byliśmy zaprzyjaźnieni, to tak oddzielnie mówię.

Justyna Piernik: A czy wy byliście zaprzysiężeni?

Joanna Mudzikowa: Tak, Marysia Zbierska zaprzyjaźniała mnie, siedziałyśmy na słowie, tam gdzieś pod jakimś stogiem, zaprzysięgała nas. Odbierała przysięgę. Witamy na ojczyznę, na tego i tak dalej. I Bohun, i Witek, najmłodszy, Jurand miał z kolei piękny pseudonim, bo się już wzorowali na *Ogniem i mieczem*, na Sienkiewiczzu i na przeszłości w ogóle, coś cudownego! Pojechali do Łagowa, był młyn u Pardaka, ukradli tak zwane pasy transmisyjne i ukradli siatkę, która przesiewała ziarno na kręcenie, mielenie zboża, pszenicy, czy tam żyta na chleb i tak dalej. I to po kryjomu, do tej pory to chyba niewiele wiemy, to właśnie tacy czternastoletni czy szesnastoletni chłopcy, bardzo sprytni, po cichutku, bosy, przyszli i przytargali, ale nie tylko przytargali dla nas te siatki ukradzione u młynarza, co jemu też zrobiło wielki kłopot, ale to był bardzo bogaty człowiek, jeśli chodzi o to. Ale przywieźli też skórę, z tak zwanych napędowych kół i mieliśmy skórę na zelówki pod buty. U pana Pustuły potem te butki raz miałam podbite i nosiłam je całą zimę. Pan Pustuła mówił: pani Jaśka to ma dobry zelówek.

Justyna Piernik: Była Pani dziewczyną kontaktową, tak to się nazywało?

Joanna Mudzikowa: Tak.

Justyna Piernik: I co jeszcze należało do Pani obowiązków czy zadań?

Joanna Mudzikowa: Miałam pod opieką partyzanta, który był chory, miał postrzał lewej nogi i trzeba było mu zmieniać opatrunki, po kryjomu. To tam szłam zawsze rano pod pozorem, że krowę się wyprowadziło. Krowę się zostawiało uwiązaną gdzieś, a ja sobie szłam dalej, zmieniałam mu opatrunek. No żadne bandażę, tylko szmaty po prostu, bo nie było tego wszystkiego, nie było gdzie ani skąd zdobyć. Zmieniałam mu opatrunek, przekazywałam mu informacje, że rodzina jest powiadomiona i ma spokojnie leżeć i tak odwiedzałam go chyba ze trzy tygodnie, a potem chłopca już w lepszym stanie zabrano, już nie był pod moją opieką. Mieliśmy kontakty z grupą Jana Piwnika „Ponurego” i Eugeniusza Kaszyńskiego „Nurta”, który raz do szkoły przywiózł nam dużą grupę chłopców zawszonych, brudnych i śmierzących. Trzeba było szybko ugotować kartofle i barszcz, bo to podstawowe, najcudniejsze jedzenie na tamte czasy było i ile tylko się da mleka. Była krowa w Piórkowie też w szkole, szkoła miała jedną krowę. I cielątko też było, które potem zjedliśmy, ale to już jest straszna rzecz. No i umyć ich, pomóc im przebrać się ze swoich rzeczy, jakie tam chłopcy mieli, pomoc dać, a to koszula, a to gatki jakieś. Poza tym trzeba powiedzieć, że na wsi w Piórkowie, kiedy przyjechaliśmy w 1940 roku ze zdumieniem obserwowałam, że w domach są warsztaty tkackie. Kobiety hodowały len, trzeba było ten len pielic, opiekować się nim, potem zbierać, międlić i tam różnym procesom poddawać. To też wszystko zapamiętałam, jak się

to robi. A w końcu, jak już były nitki, to przybyły *kadziólki*, kobiety przędły i z tego robiło się płótno, które było w długich pasach, a jak przychodziła wiosna i słońce, to moczyło się je w wodzie, wykladało na łąkę i bielilo, żeby zbielało to płótno. Z tego się szyło koszule, kulo się bieliznę i wtedy było tak, że lniany to jest dobry, bo wiejski, bo wyhodowany przez nas, wypracowany. Natomiast karton to było płótno, które czasem z miastowych pochodziło, lachy jakieś takie, to karton to było coś gorszego, lniany to było bardzo dobrze, mówiło się lniany. Później byliśmy już bardzo w konspiracji, że tak powiem, powstała taka grupa, Sitarski, Firmanty, Kuczyński, czyli mój brat, Mudziki, bo wynosili się do lasów obcy.

No i straciło się kontakt, ale zaczął się również niespokojny czas i na parę miesięcy straciło się kontakt, bo ta część, która do lasów poszła, to nie było wiadomo, gdzie oni bywali. Nie mieliśmy kontaktu, bo nie było żadnej komunikacji, więc nie było, myśmy nie wiedzieli, co się z nimi dzieje przez szereg miesięcy. Ale raz zdarzyło się, że zajeżdża do Piórkowa bryczka, z pięknymi końmi dworskimi, wypasionymi, jak tam nie wiadomo co i siedzi na niej czterech czy pięciu partyzantów z bronią. Zabrali mnie i pojechaliśmy do państwa Kaczorów pokazać się, Mietek przyjechał pokazać swoich partyzantów, więc takie kontakty luźne były. No już wtedy wiadomo było, że będziemy parą, ale to już takie były tylko kontakty bardzo luźne, bo oni uciekali do lasu, uciekli i wyjechali. Ale chcę powiedzieć, że zdarzyło się również tak, że któregoś powszedniego dnia ja z Tadzikiem i z moimi znajomymi poszliśmy do lasu na grzyby, był to sierpień. Nadleciały samoloty, czy jeden samolot nadleciał, ostrzelał, był ranny ksiądz, zginął kościelny, jego synek i pani Maria Tuszyńska, ostatnia nauczycielka, która uczyła młodzież jeszcze w Piórkowie. No i wtedy my z tego lasu pędzimy, bo tu jakieś strzelaniny, coś się koło kościoła dzieje, zastajemy trupy leżące, leży ksiądz z urwaną nogą, trzeba go ratować. Co było robić? Zdjęłam halkę, to już ksiądz musiał wybaczyć, owiązałam mu tę nogę, umierał mi na rękach i ze Stachem Grycem, który już wtedy z Anielą, księżą gospodynią był żonaty, przenieśliśmy go na plebanie i tam nam ksiądz umarł, a pani Tuszyńska, kościelny i jego synek zginęli na miejscu. To była właśnie taka tragedia piórkowska. Wieś na trasie, malutka, nic się nie dzieje, cisza, spokój i nadleciał samolot, rzucił granaty i koniec, i trupy.

Ale to wszystko też składa się na życie wsi. Ludzie bardzo przeżywali to wszystko, a nie wiedzieli pewnych rzeczy. Kontakt był przez panią Wrotnowską, jeśli chodzi o wiadomości ze świata, bo to była pani, która miała brata pana Gruszczyńskiego, który prowadził aptekę w Łagowie, więc tam radio było. Albo w jakichś takich bardziej rozwiniętych wsiach, poza Piórkowym, poza Łagowem, czy u nadleśniczego za Łagowem, któremu zresztą, muszę powiedzieć, na drutach zrobiłam dwie pary kalesonów, które zrobiły podobno furorę w całym nadleśnictwie, bo takich nie miał nikt! To właśnie tam, jeśli były radia, wiem, że mieli telefon, czyli dobre radia mieli i były stamtąd wiadomości, co się w świecie dzieje i te wiadomości to były tak z ucha do ucha, jeden drugiemu opowiedział i to wszystko przenosiliśmy na papier. A potem było: no, Jaśka ubieraj się, trzeba zawieść tam gdzieś, do Modliborzyc, no do Modliborzyc to z Bronką Jagiellówną chodziłam. Raz zaprowadziła mnie i we dwie poszłyśmy, a potem już sama chodziłam, bo najlepiej było chodzić samej.

Nie przydarzyło mi się nigdy nic w tym czasie do 1944 r., kiedy nagle patrzmy, jedzie czołg, ma czerwoną szmatę, czyli sztandar, wystaje jakiś i krzyczy powitanie po rosyjsku. I to była druga tragedia Piórkowa, bo pierwsza tragedia Piórkowa była, kiedy wyrzucili całą wieś, ludzie uciekali, ale nas wyrzucili za parę dni, bo ta pierwsza *rozpietka*, co przyjechała, dojechała do Nieskurzowa i dopiero się lokowali. Zdumienie było, bo przedtem byli Niemcy, którzy mówili: *uciekajcie poznaniacy, uciekajcie, bo tu jadą Ruscy!* Gdybyśmy z nimi uciekli do Opatowa, to z nas by nic nie było, miazga byłaby teraz, pani by nie rozmawiała z nami, bo całą tę jednostkę, nie wiem ilu tych Niemców było, to niestety Rosjanie rozwalili.

I wtedy tak, między dwoma lasami, górny Piórków, dolny Piórków, wszyscy, kto miał konia i wóz, brał tam siano, worek mąki, jeśli miał, kurę czy gęś, bo Rosjanie to już wyjedli wszystko, nawet nasze króliki witkowe wszystkie wyjedli. Nic nie było, większość książek poszła na papierosy, machorkę mieli, a nie mieli papieru, ale tu bibliotekę mieli, no i oczywiście zabrali prawie wszystek papier. Odbudowaliśmy ile tylko się dało po wojnie, ale to już inna sprawa. I wtedy, jak nas wysiedlono, każdy brał co mógł. Myśmy wzięły z mamą krowę i jałoweczkę, to już była całkowicie rosyjska strona, aż do samego Sandomierza i Koprzywnicy.

I potem nagle siedzimy w tej Wiązownicy, bo to wieś, do której myśmy dotarli. Raz się spało na dworze, raz w stodole, nie było warunków. Były trzy osoby dorosłe i moja mama i nas czworo, bo dziadek wrócił z lasu pierwszy, bo zachorował, miał zapalenie płuc. Jeden z braci wrócił z partyzantki, ale nic nie wiedział o Mietku i o Witku, którzy są po stronie niemieckiej. Wciąż nie było wiadomo, gdzie oni są i raz mi powiedział Jankowski, że widział Mietka w Sandomierzu. Ja mówię: jak to w Sandomierzu? A skąd oni się tam wzięli, no bo tam te grupy partyzanckie się przemieszczały. No to co ja robię? Z tej Wiązownicy, to też jest kilkanaście kilometrów, przez Koprzywnicę, idę pieszo, idę, idę, idę, jadą furmanki, wozy, konie, jakiś tam Iszak woła do mnie, bo to z Turkowa stały te grupy. W Turkowie stały rosyjskie wcześniej, dotarłam do Sandomierza, Sandomierz jest zapchany wojskami radzieckimi, w ogóle nie ma gdzie nogi postawić, nie ma gdzie co zjeść, nie ma gdzie się zatrzymać. Przenocowałam w kościele, w ławce i rano wróciłam, Mietka nie spotkałam, no bo jak można spotkać kogoś w mieście. Nie znam nikogo i nagle, któregoś dnia, Maryla wychodzi, moja siostra i mówi, Jaśka, mówi, Jaśka, Mietek idzie! No ja nie chcę, czasem mnie tak nabierały, bo ja tu wciąż o tym Mietku, o tym Mietku i nagle – wchodzi Mietek! To było coś niesamowitego, padliśmy sobie w ramiona, mama płakała, siostry płakały, ja ryczałam, Mietek nie wiedział, co robi, z którą się żegnać, z którą się witać, co się działo, a on biedny. Niemcy byli jeszcze w Kielcach, bo on był już wtedy w lasach kieleckich, porozwiązali grupę, chłopcy po uciekali, bo kto był bliżej domu, ten uciekał, został mu tylko Wladek Sitarski i Wittek, brat. Dotarli do Piórkowa i się okazuje, wieś spalona, ludzi nie ma, a gdzie są, a gdzie są poznanianki? No wysiedlone, wszyscy wysiedleni, a gdzie? No to wsiadł na jakiś rower powiązany sznurkami i śnieg był wielki, bo to była zima i tym rowerem do tych poznanierek tu wszędzie jeździ. Usłyszał, że gdzieś tam nad Wisłą, bo to było już nad Wisłą i na tym rowerze dotarł do Osieka, to po drodze było to

wszystko, myśmy tę drogę przeszli, jak jechaliśmy, wyrzuceni z Piórkowa po raz drugi. No i dotarł, i wtedy dopadł nas w tej Więzownicy i od tej pory zastanawialiśmy się, posiedzieliśmy, zjadł co tam miał zjeść, szczęśliwi, że widzimy się, że jesteśmy cali. Mietek był chudy, brudny, my też nie lepiej wyglądaliśmy. Rosjanin ukradł mi ostatnie skarpety, ale myślę, że pójdę boso, co tam buty. Wrócił z lasu w styczniu 1945 roku, no i powiada, nie wiemy co mamy dalej robić, mówi, byłem w Piórkowie, tam nie ma nic, rozkradziona szkoła, biblioteki nie ma, podłogi pozrywane, no i powstała myśl. Mietek mówi, no to musimy jechać do Opatowa, bo może tam znajdziemy jakieś oparcie, bo do Piórkowa nie ma po co, nie mamy miejsca do życia. No z tego mama została z siostrą i drugą siostrą, no i bierzemy rower, pchamy ten rower po tym śniegu i idziemy pieszo, idziemy przez las, idziemy drogami, dotarliśmy do Opatowa. Tam okazało się, że jeśli chodzi o społeczność żydowską, bo to wszystko były miasteczka – i Opatów, i Łagów – bardzo żydowskie, ale zaprzyjawnione. Nie ma Żydów, opuszczone domy, rozkradzione, rozwalone, pełno śmieci, pełno szczurów wielkości kota, no i zastanawiamy się, co robić dalej? Mietek dotarł do Opatowa, zajęli budynek starostwa i tam się okazuje, że są znajomi. Mietkowi zaproponowano Wydział Kultury i Sztuki i zabezpieczanie dóbr po majątkach dworskich. To były ciężkie rzeczy, bo trzeba było odbierać jakieś tam mebelki, jakieś coś, jeżdżenie po wsi, zabezpieczanie tego, co się da, trzeba było szukać po dworach. To potem starostwo zabezpieczyło, zresztą podobno była wystawa kiedyś tam nawet, a ja zostałam, zaproponowano mi, że będę urzędniczką. Nie wiedziałam, co to będzie znaczyło, bo nie byłam urzędnikiem, ale umiałam czytać i pisać, więc tam jakieś papierki, jak przynosili jakieś dokumenty, żeby coś ręcznie przepisać i przeczytać, to mogłam robić. No i tak przebablowaliśmy, nie wiedząc, co dalej robić, do maja 1945 roku. I wtedy Mietek mówi, że tu nie ma życia, musimy się przenieść do Piórkowa i zobaczyć, co jest w Piórkowie, może weźmiemy ślub, ale jeszcze nie planujemy, bo nie wiadomo, jaka jest egzystencja, co będzie u Mudzików. Bo u Mudzików jeszcze nic się nie działo, wzięli ślub i to było wszystko. I też zamieszkali w gminie rozwalonej, Piórków był potwornie zniszczony, ludzie mieszkali w ziemiankach, albo w jakichś klitkach. Jeśli chodzi o zimę 1944 i 1945 roku, to wykopywało się niezbrane kartofle i buraki, przemarznięte, robiło placki i kartoflany, co były obrzydliwe, przepraszam, muszę powiedzieć, nie do zjedzenia, były czarne. Doszliśmy do wniosku, że pojedziemy do tego Piórkowa. Pojechaliśmy jakoś do tego Piórkowa, zostaliśmy w gminie, ale moja siostra Maryla, która pojechała do Poznania i zabezpieczała dom powiedziała, że jak już Mudziki wzięli ślub, to trzeba ślub brać, jest pora się angażować, decydować. Przywiozła jakąś suknię i welon, co się potem okazało, że welon miał dziurę potworną, obrzydliwe to wyglądało, ale ja tego nie widziałam, bo to było na głowie, i poszła do księdza i mówi, że za trzy tygodnie będzie ślub. No to trzeba było Józka Sajdę umówić, organistę, który już był nie w Piórkowie, tylko w Łagowie i mówi: dobra, to robimy ślub. Wracaly tabory kałmuków Rosjan z łupami niemieckimi na wozach, na konikach, prowadzili stado bydła, jedną czy dwie krowy chłopcy nasi zorganizowali, tu się mówiło zorganizowali, albo podiwanili, ukradli, no i zaczęło się życie. No i co? Jak tak minęły te trzy tygodnie zapowiedzi,

szukujemy ślub. Tadzik z Witkiem ustalili, że pojedą do Opatowa, tylko dajcie nam pieniądze, a my pojedziemy, kupimy jakąś wędlinę, bo tam już coś się działo. No i ślub odbył się i zaczęło się wesele. Aha, jeszcze wcześniej Tadzik z Witkiem wrócili, a ja zdziwiona: no to co, to tyle tylko kupiliście? No bo myśmy po drodze próbowali. No i trochę wędliny zjedli, ale co mogliśmy, tośmy zgromadzili. Zrobiło się wesele, no i zrobiło się wesele. Kalmucy jeżdżą do późna w noc, nagle lampa gaśnie, przyjechali Kalmucy, rozgonili wesele, czy mogą zatańczyć? Zatańczyli. No i parę dni tak przekalęczyliśmy w tym Piórkowie, w tej rozwalonej gminie i powoli się dowiadujemy, kto umarł, kto żyje, ten był w lesie, ten jest tu, ten jest ów, tu mamy kłopoty, tu raz po raz ktoś wejdzie na jakąś minę, tu mu urwie nogę... Ale szło się na pole, żeby coś wykopać, żeby coś zjeść, warunki były nie do opisania.

No i doszliśmy do wniosku, że tak siedzimy, co robimy, no nic. W Piórkowie nie ma egzystencji, no i doszedł Mietek do wniosku, że tu nie ma egzystencji, musimy jechać dalej. To był początek 1945 roku, no i po tym ślubie z tym koszmarnym welonem doszliśmy do wniosku, że ma Mietek rower, bierzemy jasiczek, który dla mnie zrobiono na ramę i jedziemy do Kielc. Do Kielc jest czterdzieści parę kilometrów na tej ramie, to nie dało się jechać. Co jechały jakieś fury, jechały jakieś kalmuckie watahy, powiedzieć to mało, to uciekaliśmy do rowu, w końcu dotarliśmy do Kielc. W Kielcach rozplakałam się. Mietek mówi, że jeszcze nie widział, żebym tak ryczała, o co chodzi? Okna mają firanki, ludzie chodzą ubrani, sklepy są po tyłu, po tyłu latach. Byłam wprawdzie w Ostrowcu, byłam wprawdzie w Opatowie, ale to było po wojnie, po tych frontach, po tych zniszczeniach, po tych kradzieżach, po tych szcurach, po tym wszystkim, po tym brudzie, po tych wszach, które po nas laziły, po tym świerzbie. Ja już tam wiele razy z koleżankami rozmawiałam, bo losy naszych rodziców podobne. Ja nie wiem, czy w tych czasach, gdyby przyszło mi żyć, czy ja bym dała radę.

Justyna Piernik: Dla mnie to jest bohaterstwo wszystkich, którzy przeżyli wojnę, którzy musieli tam się odnaleźć. Dosłownie z ciarkami na plecach słucham tych opowieści.

Joanna Mudzikowa: Dla mnie to jest bohaterstwo, a w przypadku moich rodziców, to jeszcze ta świadomość, że oni dosłownie od zera zaczęli, dorabiając się przez całe lata i ja na przykład pamiętam, jak mój ojciec oszczędzał. Jeśli coś pisał, to pisał od początku strony do końca. Jak już to było niepotrzebne, przekreślał, pisał dalej, druga strona. Ja już tego nie miałam, bo już łatwiej mi to przychodziło, było podane. A moje dzieci i wnuki to tym bardziej. Dziecko bierze, narysuje dwie kreski, już na tej kartce rysować nie będzie. Takiego oszczędzania, czy tego zeszyciku, w którym oni notowali wydatki, bilet tyle, chleb tyle, buleczka dla Halinki jedna. Życie dosłownie z ołówkiem w ręku. Pomijając te sytuacje, gdzie na karku było UB, że zatrzymywali, że nie wiedziała mama, kiedy wróci i czy wróci?

Ja jeszcze chciałam dodać, że te przyjaźnie czasu okupacji, tych najtrudniejszych okresów były tak trwale, tak do końca życia, do śmierci. Pamiętam, jak ojciec zapowiadał, ojciec już był prawie w ostatnich dniach życia i przyjeżdżam do domu, a mój ojciec mówi: wiesz, Mieciu do mnie przyjechał, pożegnać się. To były takie więzi trwale między tymi piórkowiakami, między tymi partyzantami.

Justyna Piernik: Takich więzi już chyba nigdy nie będzie. Przyjaźni, serdeczności, pomocy sobie do ostatnich dni życia. Dla „Kobiety Polskiego Ruchu Ludowego” wysłuchaliśmy wspomnień Joanny Mudzikowej z okresu II wojny światowej.

W rozmowie wzięły udział także jej córka Halina Suslik oraz Zofia Kaczor-Jędrzycka. Justyna Piernik, dziękuję za uwagę. Do usłyszenia.

Kalendarium TUL za okres od lipca do grudnia 2024 r.

- 05–12 lipca 2024 r. – 47. Letnia Sesja TUL w Janowie Lubelskim pt. „Bogactwo kulturowe Janowa Lubelskiego”. Przygotowania do sesji trwały ponad pół roku, obejmowały: opracowanie programu, pozyskanie wykładowców i prowadzących warsztaty, znalezienie miejsc noclegowych i wybór tras wycieczek. Wszystkim tym zajęli się na miejscu Jadwiga i Tomasz Pietrasowie, przy wsparciu merytorycznym Elżbiety Gniazdowskiej.
- 30–31 sierpnia 2024 r. – udział Elżbiety Gniazdowskiej, Aldony Czerwińskiej i Marzenny Dębek w Ogólnopolskim Festiwalu Uniwersytetów Ludowych w Uniwersytecie Ludowym w Radawnicy, promocja działań realizowanych przez TUL.
- 22–24 września 2024 r. – ogólnopolska konferencja pn. „Metody pedagogii grundtvigiańskiej w polskiej edukacji formalnej i pozaformalnej”. Konferencja zorganizowana przez Zarząd Krajowy TUL wspólnie z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego i pod patronatem honorowym JM Rektora Uniwersytetu prof. dr. hab. Piotra Stepnowskiego. Organizacją całości zajęły się Izabela Kęпка, Aldona Czerwińska i Elżbieta Gniazdowska. Dziękujemy koleżankom Marzennie Dębek i Dorocie Skorzyckiej, które przygotowały dla uczestników soki i przetwory z owoców oraz Marzennie Dębek, Wiesławie Bach, Romanowi Szydłowskiemu i Jerzemu Szwargotowi za uświetnienie swoją grą i śpiewem wieczoru integracyjnego. Szczególnie podziękowana dla Kacpra Kęпки za wszelką pomoc organizacyjną oraz utrwalanie przebiegu konferencji.
- 19–24 października 2024 r. – wizyta studyjna w duńskich uniwersytetach ludowych, zorganizowana przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego. Z ramienia Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych uczestniczyła w niej Aldona Czerwińska.
- 5–6 listopada 2024 r. – doroczna konferencja NIW-CRSO w Warszawie, którą wypełniły warsztaty, dyskusje, indywidualne spotkania z aktywistami i aktywistkami z całej Polski oraz z pracownikami Instytutu. Podczas wydarzenia można było wziąć udział w debatach, sesjach tematycznych, spotkaniach sektorowych, inspirujących wykładach, otwartych spotkaniach dyskusyjnych i konsultacjach z pracownikami NIW. TUL reprezentowała Elżbieta Gniazdowska, prezes ZK TUL.
- Wrzesień–październik 2024 r. – opracowanie i wydanie kroniki 47. Letniej Sesji TUL w Janowie Lubelskim. W całości zrealizowała to zadanie Dorota Żebrowska – wiceprezes ZK TUL.
- Październik–listopad 2024 r. – opracowanie i wydanie publikacji pokonferencyjnej przez zespół w składzie: Aldona Czerwińska, Jacek Pniewski i Elżbieta Gniazdowska.
- Wrzesień–grudzień 2024 r. – opracowanie i wydanie kwartalnika nr 4/119/2024 przez zespół w składzie: Aldona Czerwińska, Izabela Kęпка, Jacek Pniewski.

- 23 listopada 2024 r. – wystawienie widowiska wg scenariusza i w reżyserii Sławomira Konarzewskiego pt. „...i widzę niebo otwarte”. Całość przygotowali członkowie TUL z OR TUL w Lubiejewie, widowisko zaprezentowano w Ostrowi Mazowieckiej, w czym uczestniczyli członkowie TUL z całej Polski.
- 05–08 grudnia 2024 r. ogólnopolskie seminarium – Wigilia TUL, połączona z obchodami trzydziestolecia istnienia Muzeum Augusta Zamojskiego w Jabłoni. Organizacją na miejscu zajęli się Barbara Wikło i Arkadiusz Lotek – dziękujemy!
- Grudzień 2024–styczeń 2025 – opracowanie i złożenie sprawozdania z realizacji działań w ramach projektu „TUL łączy pokolenia” – Elżbieta Gniazdowska.
- Wrzesień–grudzień 2024 r. – czas realizacji warsztatów i innych działań w oddziałach regionalnych:
 - OR TUL w Łomży rozpoczął kolejny rok działalności „Wszechnicy Tulowskiej”;
 - OR TUL w Kozuchowie zrealizował kolejne szkolenie w zakresie produkcji wina oraz warsztaty nauki gry w szachy i innych gier logicznych;
 - OR TUL w Śremie – warsztaty filmowe;
 - OR TUL we Wrocławiu, Koło w Sławie – warsztaty teatralne;
 - OR TUL w Głuchowie – warsztaty artystyczne i kulinarne. Dorobek tych warsztatów, jak każdego roku od ponad 20 lat, zaprezentowano podczas wielkiej środowiskowej wieczerzy wigilijnej „To już pora na wigilię, to już czas”;
 - OR TUL w Brzostowie rozpoczął przygotowania do 48. letniej sesji TUL w Radziejowie, którymi kierują: Elżbieta Grzegórska i Danuta Bąk, a wspiera je merytorycznie Dorota Żebrowska.

Indeks autorów

Brzezicki Mieczysław – absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, starszy asystent w Zakładzie Naukowo-Badawczym w Biebrzy, zajmujący się badaniem i dokumentacją torfowisk. Kierował grupą specjalistów, przygotowujących projekt Rozporządzenia Rady Ministrów na rzecz powołania Biebrzańskiego Parku Narodowego. Przez 13 lat pracował w tym Parku, pełniąc funkcję Głównego Specjalisty ds. Ochrony Przyrody. Ochrona naturalnych obszarów przyrodniczych stanowi dla niego wartość rangi najwyższej, jest członkiem Zarządu Oddziału Regionalnego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych w Łomży.

Ceszke Brunon – mieszkaniec Strzelna koło Pucka na Kaszubach. Absolwent Akademii Bydgoskiej na kierunku pedagogika społeczna. Autor trzech prac dyplomowych o swojej miejscowości. Od najmłodszych lat zainteresowany polityką i życiem społecznym w środowisku wiejskim. Działacz LZS, OSP i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. W Ruchu Ludowym od 1983 r. Radny Gminy Puck w latach 1984–94 oraz Powiatu Puckiego 1998–2018. W latach 1982–2020 zawodowo związany z organizacją życia kulturalnego w gminie Puck, między innymi w 1996 r. zainicjował Turniejów Kół Gospodyń Wiejskich. W okresie 1987–1990 był instruktorem ZMW w rejonie puckim. Jeden z czołowych gawędziarzy kaszubskich w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Były aktor teatru kaszubskiego i członek kaszubskiego zespołu ludowego. Działacz TUL od 1997 r. Obecnie jako emeryt jest organizatorem koła seniora, wiejskiej i strażackiej izby pamięci, kustoszem Muzeum Sportu Wiejskiego oraz animatorem lekkiej atletyki w powiecie puckim.

Kępka Kacper jest absolwentem Międzyuczelnianego Wydziału Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Obecnie jest doktorantem szkoły doktorskiej przy Wydziale Chemii Uniwersytetu Gdańskiego. W wolnym czasie gra na gitarze basowej, zajmuje się modelarstwem i interesuje się historią Bizancjum.

Kogut Katarzyna – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego i podyplomowych studiów na Southbank University w Londynie, filolog angielski i pedagog, specjalizacja: język angielski i nauczanie w szkole podstawowej. Aktualnie nauczyciel w dwujęzycznej szkole podstawowej w Mediolanie – Bilingual European School in Milano. Zainteresowania to podróże, fitness oraz historia.

Kuriata Zbigniew – absolwent kierunku budownictwa Akademii Rolniczej we Wrocławiu oraz studiów podyplomowych z zakresu urbanistyki i planowania przestrzennego Politechniki Wrocławskiej. Od 1977 r. pracował w Instytucie Budownictwa Rolniczego, a od 2000 r., – na kierunku architektury krajobrazu w Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu. Przez ponad 10 lat związany z realizacją programu ochrony dziedzictwa kulturowego i poprawy wizerunku krajobrazu wiejskiego w województwie dolnośląskim, opolskim i śląskim. Działania te mieściły się w ramach realizowanego w krajach europejskich, w tym także w Polsce, Europejskiego Programu Rozwoju Terenów Wiejskich i Odnowy Wsi. W późniejszym okresie doszedł jeszcze program „Najpiękniejsza wieś”. Pod jego kierownictwem powstało ponad 200 planów odnowy wsi, a także kilka artykułów i publikacji książkowych (jako współautor) z zakresu ochrony krajobrazu wsi. Tworzy prace malarskie, które prezentuje dla przyjaciół i znajomych. Wystawa rysunków tuszem na kartonie (forma grafik) odbyła się w październiku 2022 r. w Galerii Linia Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Została ona powtórzona w grudniu 2023 r. w Centrum Aktywności Lokalnej we Wrocławiu-Brochowie. Obecnie przygotowuje cykl 20. obrazów (farba akrylowa na płótnie), martwych natur pt. „Owoce i warzywa”. Do Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Oddziału Wrocławskiego należy od lat 90-tych XX wieku, kiedy szefem oddziału był prof. Czesław Opaliński. W TUL-u poznał Jadwigę Harasimowicz, dzięki czemu zainteresował się bliżej działalnością tej organizacji. Od 2023 r., czyli ostatnich wyborów, pełni funkcję prezesa OR TUL we Wrocławiu.

Wikło Barbara – absolwentka Studium Nauczycielskiego we Wrocławiu, kierunek rolniczy. Od 1964 r. pracowała w Szkole Podstawowej i Zasadniczej Szkole Rolniczej w Jędrzychowicach pow. Lubin. Od 1967 r. pracowała w Miejskim Ośrodku Kultury, a następnie w Domu Kultury Zagłębia Miedziowego w Lubinie, pełniąc funkcję kierownika działu artystycznego. W 1978 r. została kierownikiem Domu Kultury w Polkowicach. W 1980 r. ukończyła studia magisterskie na Uniwersytecie Wrocławskim w zakresie pedagogiki pracy kulturalno-oświatowej. Od 1981 r. mieszka i pracuje w Jabloniu, w Zespole Szkół Rolniczych aż do przejścia na emeryturę w 1999 r. Od 1986 r. należy do Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, a w 1994 r. została opiekunem utworzonej (5. XI. 1994 r.) w internacie szkoły „Izby Pamięci Augusta Zamoyskiego”. W 2003 r. zostaje prezesem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Jabłońskiej. W 2011 r. „Izba Pamięci Augusta Zamoyskiego” otrzymuje status Muzeum Samorządowego, którego dyrektorem zostaje Barbara Wikło. Działa nieustannie na rzecz upamiętnienia artysty, współpracuje w tym zakresie z władzami samorządowymi oraz instytucjami kultury z całej Polski, jest animatorką życia kulturalnego w swojej lokalnej społeczności i aktywnie współtworzy w niej uniwersytet ludowy.

Opracowała Aldona Czerwińska – na podstawie materiałów źródłowych i informacji od autorów. Indeks po raz pierwszy zamieszczono w numerze 1–2/113/2022, w kolejnych numerach uzupełniany jest o informacje o autorach, których artykuły publikowane są po raz pierwszy na łamach Kwartalnika TUL.